

Odgłosy

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 7 (1455) ROK XXIX

15 LUTEGO 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- **Nikaragua: stan wojenny**
- **Sto pięknych dziewcząt ze snu...**
- **Czy indyki z Kortowa będą znosić złote jaja?**
- **Łuna nad mokradłami**

Aktywa i pasywa literatury lat osiemdziesiątych

(Dyskusja redakcyjna)

W dyskusji udział wzięli: **TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI** — literaturoznawca, krytyk literacki; **HENRYK PUSTKOWSKI** — teoretyk literatury, krytyk literacki; **KAROL JÓZEF STRYJSKI** — pisarz i publicysta oraz reprezentujący „Odgłosy” **GRZEGORZ GAZDA**, który tę dyskusję prowadził, zanotował i opracował.

G.G.: — Dzisiejsza rozmowa o obecnym stanie literatury polskiej zaproponowaliśmy w związku ze zbliżającym się Zjazdem ZLP. Nie chciałbym już na wstępie ograniczać zakresu problemowego tej rozmowy jednak dobrze byłoby, abyśmy skupili się nie tyle na sprawach organizacyjnych czy materialno-bytowych pisarzy, ale na samej literaturze i jej artystyczno-ideowych efektach. Jakże było więc to ostatnie pięćdziesiącie w polskiej literaturze? Jak panowie widzicie jej aktywa i pasywa — zarówno w prozie, poezji jak i w krytyce?

T.B.: — Rzeczywiście może trudno byłoby nam dyskutować o sprawach organizacyjnych ZLP, natomiast możemy zastanowić się w jakim miejscu, w jakim punkcie znajduje się dzisiaj nasza literatura. Gdy czytam prasę literacką, na przykład „Życie Literackie”, a w nim artykuł Leszka Bugańskiego, sumujący rok 1985, to okazuje się, że autor dostrzega w minionym roku tylko trzy książki godne uwagi, trzy nazwiska: nagrodzona przez „Literaturę” powieść Zaleskiego, powieść Wysogłada i powieść Łozińskiego. Kiedy zaglądam np. do takiej, bardzo bogatej w pryncypialne stwierdzenia dyskusji w „Argumentach” to okazuje się, że w ogóle nie ma ani krytyki, ani literatury. Kiedy zaglądam do „Kultury”, to czytam wypowiedź znakomitego

polonisty z NRD Olschowsky'ego, który mówi, iż literatura polska straciła wigor. Rzeczywiście mógłbym uwierzyć w te wszystkie enuncjacje, gdyby nie fakt, że znajduję się w sytuacji czytelnika, który próbuje rynek wydawniczy uważnie śledzić, sporo czytać i nawet porządkować. Zatem wiem, że są to oceny bardzo jednostronne. Owszem, można się zgodzić z taką tezą, często przywoływana, że współczesna literatura właściwie nie odzwierciedla w stopniu w jakim byśmy sobie życzyli, naszych obecnych spraw i problemów. Ale czy też nie fetyszujemy nadto zadań i obowiązków literatury? Jakby to ona właśnie miała rekompensować niedostatki innych obszarów życia! Przecież literatura nie może rozstrzygać spraw aktualnych, bieżących, nie może zamieniać się w doraźną publicystykę. Jest w końcu wiele utworów z ostatniego czasu, tekstów ciekawych i podejmujących sprawy którymi żyjemy, czy którymi żyliśmy. Oczywiście sprawy te znajdują swoje odzwierciedlenie w sposób ograniczony, bo na miarę możliwości opisu rzeczywistości w literaturze. Znamienna jest np. recepcja czasów stanu wojennego w prozie. Są to na ogół takież dziwaczne aluzje, wyrwykowe obserwacje, drobne no-



Foto: Grzegorz Gałusiński

Słodka chatka z marcepana

JOLANTA WRÓŃSKA

1.

Nie było chyba takiego przechodnia promującego ulicą Piotrkowską, który bynie przystąpił do budowy plomby mieszkaniowej przy rogu Piotrkowskiej i Zamenhofska. Ciekawia ładna bryła. Dowiodła, że nawet z wielkiej płyty niekoniecznie muszą powstawać wyłącznie takie sličności jak Retkonia-Zdrój. Emocje budziła normalność, architektura dla ludzi, w ogóle do czegoś podobna. Za to żadnych wrzeseń nie wywołuje seryjna betonowa szuflada. Toteż plomba przy Zamenhofska potwierdza w całej rozciągłości los malowanego wróbla w stadzie szaraczków. Żadna, nawet prestiżowa budowa publiczna nie wywołała takiego zainteresowania, a już na pewno nie zdarzyło się to żadnemu budynkowi mieszkalnemu od lat pięćdziesiątych. Więc też prasę miała budowa jak żadna inna. Co rusz pojawiały się emfaticzne „wzwydy reporterskie” rejestrujące starannie drewnianą elewację frontową, miedzianą blachę na dachu oraz — rzadkość niesłychana — okrągłe okna. Pienia towarzyszyły wykonawcom, projektantom, a plotki — przyszłym mieszkańcom. Plotka szła za budową, jak cień. Ledwo wyłoniła się konstrukcja z za plotą, już po mieście gruchnęło, że znowu będą mieszkania za walutę wymienialną, nie dla normalnego człowieka. Pewnie znowu promineni, przepychanki, układy i sitwy. A w mieszkaniach o podwyższonych metrażach najpewniej będą kryształowa wanny, złote sedesy i wodotryski bez mała.

Chrzczyny odbyły się publicznie, noworodkowi nadano imię „BOLEK” ku czci projektanta Bolesława Kardaszewskiego, gazety powzdychały nad szarą budowlaną, złożyły sobie i nam życzenia, żeby więcej takich i zaczęła się normalna codzienność.

„Pięknie jest tylko w bajkach. A i to nie zawsze. Taka — dajmy na to — bajka o marcepanowo-czekoladowej chatce Baby Jagi, do której zawędrowali Jaś z Małgosią. Jak przyszło

6

POLSKA DROGA DO SOCJALIZMU

Zdaniem Marii Koszutskiej komunistki polscy winni uważnie śledzić praktykę partii bolszewickiej, aby nie popełnić podobnych błędów. Nie mogą jednak bezkrytycznie naśladować Rosji. Na IV Zjeździe KPP podkreśliła, że nie jest „leninista” ten, kto sądzi, iż można przenieść gotowy wzór rosyjski „bez żadnych zmian do innych krajów, nie licząc się z konkretnymi warunkami czasu i miejsca”. A wcześniej, na II Zjeździe wyraziła żal i obawę, że sytuacja wśród aktywów KPRP nie sprzyja wypracowaniu własnej koncepcji. Każda nowa myśl jest niechętnie przyjmowana i spotyka się z zaciekłym oporem. W dodatku działacze nasi — przekonywała — za długo się zastanawiają i stąd trudno o szybkie decyzje. I w końcu dochodzi do tego, że przyjmowane są obce rozwiązania pod wpływem nacisków zewnętrznych. Przedstawiciele kierownictwa Międzynarodówki mogą nas instruować i korygować, ale nie powinniśmy czekać na ich decyzje, lecz wypracowywać własne stanowisko.

Na początku 1925 r. oceniała, że Polska jest najstarszym ogniwem systemu kapitalistycznego. W związku z tym należy samodzielnie przygotować się do rewolucji, a nie czekać na przykład Niemiec, czy na wyzwolenie ze strony Armii Czerwonej. Właśnie w Polsce zostały — jak mówiła — „doprowadzone do zeru” wszystkie te podstawowe czynniki, które powodują kryzys społeczeństw kapitalistycznych. Po pierwsze — życie społeczno-polityczne kraju nurtują poważne konflikty narodowościowe, szczególnie na wschodzie Polski. Nie mogą one

znaleźć rozwiązania w ramach istniejącego ustroju i przez to stanowią siłę napędową rewolucji socjalistycznej. Po drugie — wśród chłopstwa panuje silny głód ziemi, który min nie może być zaspokojony z powodu mocnej pozycji i żywych tradycji szlachty. Dążenie chłopów do posiadania ziemi stanowi podstawę ruchu chłopskiego, dodatkowo przyspieszającego

EDMUND LEWANDOWSKI

Nauki mądrej Marii

(2)

nadejście rewolucji, potęgującego sytuację rewolucyjną. Po trzecie — kryzys gospodarczy i bezrobocie powodują wzrost niezadowolenia wśród klasy robotniczej. Dalej, kryzys systemu parlamentarnego i trudności z utworzeniem rządu ułatwiają przewrót społeczno-polityczny.

Obserwując z Moskwy rozwój wydarzeń w Polsce wskazywała na zagrażającą Polsce niebezpieczeństwo faszyzmu. Już pięć miesięcy przed przewrotem majowym trafnie przewidziała możliwość przejęcia władzy przez Józefa Piłsudskiego. Pisała: „Piłsudski ma zorganizowane pewne warstwy i dlatego możliwe jest, że faszyści przyjdą pod wodzą Piłsudskiego, rzucając hasła demagogiczne w rodzaju: „Ziemia dla chłopów”, „poprawa bytu robotniczego” — tak jak to zrobił Mussolini. W ten sposób mogliby oni dojść do władzy, a potem oddać ją burżuazji”.

Znamienna jest, że oczekiwała już wówczas przejścia Józefa Piłsudskiego na stronę burżuazji, chociaż uważano go za człowieka lewicy. Znaczącego zagadnienia, Andrzej Micewski, stwierdza: „Piłsudski po maju 1926 roku przeszedł już zdecydowanie na prawo. Lewica po raz ostatni pomogła mu w przeprowadzeniu przewrotu majowego”. Koszutska wzywała do przy-

gotowania partii i klasy robotniczej do ewentualnej walki z faszyzmem i przestrzegania przed nawiązaniem sojuszu z piłsudczykami.

PO PRZEWROCIE MAJOWYM 1926 ROKU

W maju 1926 r. na fali niezadowolenia wywołanego kryzysem gospodarczym Józef Piłsudski dokonał przewrotu. Zdobył poparcie większości społeczeństwa, a w tym i Komunistycznej Partii Polski — błędnie upatrującej w nim reprezentanta drobnomieszczaństwa i zwolennika demokracji. 27 czerwca 1926 r. Maria Koszutska uznała, że źródłem błędów majowego KC KPP było traktowanie Polski w izolacji od sytuacji w innych krajach i przecenianie

dojrzałości mas do rewolucji. W czasie przewrotu majowego istniały obiektywne warunki do wykorzystania nastrojów rewolucyjnych przeciwko szerokim masom i Józef Piłsudski to uczynił, czego jednak KPP nie potrafiła zrozumieć.

W maju 1926 r. nie dojrzały jeszcze do rewolucji klasy robotnicza i chłopska, zaś partia nie była zdolna stanąć na ich czele. Partia musi przygotować się pod względem polityczno-organizacyjnym. Musi się „zobolszewizować” aby być zdolna do przejęcia i sprawowania władzy.

W szczególności Komunistyczna Partia Polski — zdaniem Marii Koszutskiej — powinna:

— uświadomić swym członkom i wszystkim robotnikom obiektywny interes klasy robotniczej oraz wrocił im przeświadczenie o misji dziejowej i roli kierowniczej wobec innych klas;

— umieć precyzyjnie określić najważniejszy w danym momencie cel działalności i skupić na nim główne siły — nie tracąc równocześnie z pola widzenia wszystkich innych, mniej ważnych spraw;

— nawiązać sojusz z warstwami drobnomieszczańskimi (przy zachowaniu odpowiedniej czujności) i stanąć na ich czele w walce przeciwko burżuazji;

— utrzymać ścisłą więź z szerokimi masami, zdobyć ich poparcie oraz kierować codzienną walką;

— przystosować zasady organizacyjne partii do jej zasadniczych zadań;

4

Ogłoszenia

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grazyna Olechnowicz.

Literownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz Szymanski-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzeminski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumerat: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratę. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceń nadawczych indywidualnych i o 100 proc. dla zleceń instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 348. B-2.

2 ODGŁOSZY

Drugi tegoroczny atak zimy. Wichury i śnieżyce paraliżują komunikację. Na zasypanych szlakach kolejowych grzeszą pociągi. Nie wraca z tras ponad dwadzieścia autobusów PKS. Ruch ustaje nawet na drogach pierwszej kolejności zimowego utrzymania. Do odśnieżania przystępuje dziesięć tysięcy ludzi, cztery tysiące plużów. Dramatyczna sytuacja rozgrywa się na magistrali E-16 w okolicach Łęczycy. Przez dwadzieścia sześć godzin w zaspach tkwi tam ponad półtora tysiąca samochodów. Są wśród nich autokary z dziećmi. Akcja ratunkowa prowadzona jest nocą, przy bardzo silnym wietrze i niskiej temperaturze. Pomoc niesą mieszkańcy miasta, rolnicy. Tej nocy Łęczycy nie śpi.

Sobota, 1 lutego 1986 roku, trasa E-16 na północ od Łęczycy. Rankiem temperatura powietrza nieznacznie przekracza zero stopni Celsjusza, widać silny wiatr. Nawierzchnia drogi

ROMAN KUBIAK

Paraliż na E-16

jest mokra, śliska. Prognozy meteorologiczne zapowiadają spadek temperatury i przelotne opady śniegu. Międzynarodowa trasa E-16 rutynowo patrolują lekkie pluży oraz piaskarki. Droga jest przejezdna na całej długości.

Okolo godziny dziesiątej temperatura przy gruncie spada do minus dziesięciu stopni. Wiatr osiąga w porywach prędkość dwudziestu metrów na sekundę — ponad siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Marznie błotnista nawierzchnia drogi, tworzą się głębokie, lodowate koleiny. Wichura łamie nieliczne zapory przeciwniegiwe, zrywa ochronne siatki. Śnieg i piasek z pół wdzierają się na szosę. Powstają niebezpieczne zatory. Pod Łęczycą pluży jeszcze radzą sobie z zaspami. Ale w sąsiednim województwie wiodawskim śnieg i lód szybko i skutecznie pokrywają drogi. Grzeszą samochody osobowe i linie autobusy PKS. „Radio kierowców” informuje, że na wszystkich drogach w kierunku wschodnim od linii Gdańsk — Bydgoszcz — Kalisz — Katowice jazda jest poważnie utrudniona. E-16 oraz E-8 są odśnieżane w pierwszej kolejności.

Jeszcze przed godziną jedenastą metrowe zatory zatrzymują ruch pojazdów na E-16, na odcinku Topola Królewska — Daszyna. Sznur samochodów bezradnie stoi przed ścianą śniegu. Lekkie pluży nie potrafią odrzucić twardej zmarzliny, koła buksują, przeszkoda nie ustępuje. Cieżarówki osuwają się do rowów, małe fiaty „tańczą” na jezdni. Kwadrans później ustaje ruch na odcinku Sierpów — Łęczycę. Pod Jarochołem tworzy się stumetrowej długości zasp. W Zalesiu pokrywa śnieżna mierzwi blisko dwa metry wysokości. Międzynarodowa arteria komunikacyjna staje się nieprzejezdna.

O godzinie jedenastej władze miasta i gminy Łęczycy powołują „sztab kryzysowy”. Niezwłocznie do akcji odśnieżania drogi E-16 zostaje skierowany cały ciężki sprzęt będący w dyspozycji zakładów pracy. Operatorzy i kierowcy maszyn, mimo wolnej soboty, natychmiast zgłaszają się do pracy. Wyruszają pluży gąsienicowa, potężne „Fadromy”, maszyny budowlane. Spychacze wolno odrzucają zwaly śniegu, lecz silny wiatr już po chwili niweczy ich robotę. W zaspach jest uwieczonych ponad sześćset pojazdów. Z obu stron nadjeżdżają dalsze. Powstaje dwukilometrowy korek.

„Sztab” przekazuje do radia pełną informację, że E-16 na odcinku Łęczycy — Daszyna jest całkowicie nieprzejezdna. Chodzi o to, żeby zapobiec tarasowaniu drogi i skierować pojazdy na inną, okrężną trasę. Niestety, radio wysła w eter jedynie komunikat o „pewnych trudnościach w ruchu na E-16”. W wielu kierowców jadących od Łodzi i od Torunia postanawia zaryzykować... W zaspach stoi już ponad osiemset aut.

Po południu wiatr wzmacnia się osiągając prędkość dwudziestu pięciu metrów na sekundę. Wichura przewraca ludzi walczących z żywiołem. Nadechodzi wiadomość, że z ościsłą jadą ciężkie pluży w kierunku Sochaczewa i Ciechocinka. Przybędą za kilka godzin.

Tymczasem w rosnących zaspach grzeszą nawet gąsienicowe spychacze. Zwaly śniegu przekraczają dwa metry wysokości, ponad dwadzieścia metrów długości. Z głębi zasypanej kawalkady dociera niepokojąca informacja, że utknęło tam czterdzieści autokarów wiozących dzieci na zimowiska. Temperatura ciągle spada. Niektórych kierowców ogarnia zniecierpliwienie. Próbuja forsować rowy. Następnie grupy pojazdów, które nadjeżdżają od strony Łodzi, parkują na „ulicach” i placach Łęczycy. Robi się tłoczno. Dwa rzędy aut na zatłoczonej E-16 tworzą gigantyczne kilometrowe wstęgi.

O godzinie piętnastej milicja blokuje trasę z obu stron zatoru: pod Króśniewicami i pod Osozkowem. Funkcjonariusze doradzają kierowcom powrót lub jazdę okrężną drogą. Usiłują też wracać z trasy kolejne autokary z dziećmi. Oplekunowie dzieci nie bardzo wiedzą, co czynić w tej sytuacji. Powrót może okazać się niemożliwy. Nocne poszukiwanie rodziców wcale nie musi zakończyć się powodzeniem. Wszystkie hotele i zakłady wzdłuż zablokowanej trasy mają komplety gości, również oczekujących na przewrócenie ruchu. Wieczorem patrolo dołącza się ponad pięćdziesiąt unieruchomionych autokarów z marznącymi dziećmi.

Bardzo niecierpliwia się kierowcy TIR-ów. Ci jadący do Gdańska, chcą zdążyć na promy. Spóźnienie może ich drogo kosztować. W grę wchodzi dewiza Jeden z trowców postanawia taranować zaspę. Całym impetem potężnej maszyny uderza w ścianę śniegu, brnie parę metrów i... daje za wygraną. Zapada zmrok.

O zmroku nadciąga mechanizacja odsiecz. Ale ciężkie wiertnikowe pluży nie mogą przecisnąć się między kilometrowymi sznurami pojazdów. Mają kłopoty z wykonaniem najprostszych manewrów. Widoczność jest ograniczona. Po godzinie pluży dociera do skraju białej przeszkody. Krusza bryły lodu, odrzucając je na pola wolno draża trzymetrowy przesmyk w zaspach. Za plużami sumą karetki pogotowia i radiowozy Pozbawieni wyobraźni kierowcy samochodów osobowych usiłują wepchnąć swe pojazdy w śnieżny tunel. Trwa bezpardonowa walka o miejsce w sztyku oswojonych. Pow-

staje nieprawdopodobny bałagan. Wichura rychiełno godzi zwałami, zasypując przesmyk solidną porcją śniegu i piachu.

Uwięzieni w zaspach ludzie reagują różnie. Bardzo różnie. Większość pokornie czeka w swych pojazdach na łaskę aury. Siniaki pracują, by choć trochę ogrzać wnętrza aut. Właściciel popielatego mercedesa głośno ubliża drogowcom i milicjantom. Grozi, że postawi ich przed sądem. Kobieta z poloneza żąda natychmiastowego usunięcia zasp, bo musi zdążyć do Gdańska na karnawałowy bal. Wiele osób chce wiedzieć, gdzie jest najbliższy telefon. Prawie wszyscy słuchają komunikatów „Radia kierowców”. Z całego kraju napływają zle wieści.

Kierowcy z niepokojem obserwują wskaźniki paliwa. Obliczają jak długo starczy energii do ogrzania wozów. A potem? Skąd wziąć benzynę na dojazd do domu? Ktoś musi wyłaczyć silnik, bo w zbiorniku ma tylko dwa litry paliwa. Owija kocem akumulator, a sam szuka schronienia w kabynie sąsiedniej ciężarówki. Ktoś oferuje kanister benzyny po mocno kryzysowej cenie. Jest wielu chętnych. Cena skacze do pięćset złotych za litr. Starszy pan z małego fiata dzielił się resztkami paliwa z innym kierowcą, w którego samochodzie płacze niemowlę. W TIR-ach syczą gazowe kuchenki, do rak wędrują kubki gorącej herbaty parzonej wodą ze śniegu. Szoferka brać częściej zniechętnych drogowców i milicjantów. Herbatę przynoszą też okoliczni rolnicy. Zapraszają do swych domów.

W turystycznym autokarze wybucha panika. Głośno słabie świateł z akumulatora, za oknami przejmująco wyje wiatr. Przerznięte dzieci na oślep wybiegają w pola. Słychać płacz i wołanie o pomoc.

Tymczasem w Łęczycy i Daszynie trwała przygotowania do ewakuacji ludzi uwieczonych w zaspach. Trzeba zapewnić schronienie kilku trzyciom osobom, w tym licznej grupie dzieci. Do dyspozycji „sztabu” zostają oddane obiekty szkolne, sportowe i zakładowe. Urząd Miasta oraz Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Łęczycy udostępniają część swych pomieszczeń biurowych. Społecyństwo otwiera restauracje i gromadzą prowiant. „Karczma Boruty” przez całą noc będzie serwowała gorące posiłki. Personel szpitala miejskiego ogłasza ostry dyżur nocny. Da pomocy stawiają się mieszkańcy.

O godzinie dwudziestej pierwszej, kiedy wiadomo już, że wydostanie się ze śnieżnej pułapki jest praktycznie niemożliwe, pasażerowie opuszczają auta i szukają ciepłego locum. Kilkadziesiąt osób korzysta z gościnności rolników. Następnymi kilkadziesiąt przyjmuje pod swe dachy szkoła i GS w Daszynie. Wzdłuż zatarasowanej E-16, polami w kierunku miasta ciągną kolumny pieszych. Dramatycznie wygląda sytuacja osób uwieczonych w środku zatoru. Teren jest tu odkryty, szaleje zamieć, w pobliżu nie ma żadnych budynków. Większość autokarów z dziećmi utkwiała właśnie tutaj. Ludzie, którzy wychodzą z pojazdów tracą orientację, gubią się.

Z Łęczycy wyrusza niezwłocznie ekspedycja złożona z osób, które dobrze znają teren. Okolo godziny dwudziestej drugiej pieszka ekspedycja odnajduje pojazd z zmarzniętymi i głodnymi dziećmi. Uformowali w zwarte grupy, masły brną za plecami swych przewodników. W Łęczycy czeka na nich gorąca herbata, kanapki i lódki w internacie szkół zawodowych. Za przewodnikami podążają również drożki z porzuconych na trasie samochodów. Jeszcze tylko pod Sierpowem stoją dwa ślaskie autokary. Po godzinnym marszu docierają tam naczelnik Łęczycy — Kazimierz Stepniak. Małi pasażerowie w wieku od sześciu do dwunastu lat są mocno przestraszeni, lecz dzielnie kroczą za naczelnikiem. W autokarach zostają jedynie kierowcy.

Ewakuacja zmierza do szczęśliwego finisu. Małki z dziećmi ulokowano w internacie. Kilkaset osób nocuje w obiektach klubu sportowego „Górnik”. Tegoroczni maturzyści, którzy akurat bawią się na studniówkowych imprezach, zapraszają pechowców do biesiadnych stołów.

Tuż przed północą milicyjne patrole alarmują: w zaspach tkwi samochód osobowy z ciężką kobietą. Niewiasta będzie rozdzielił Radiowozy i karetki pogotowia nie mogą dojechać we wskazane miejsce, grzeszą w zaśnieszonych rowach. Za kierownicę ciągnika wskakuje traktorzysta z PGR. Przebija się przez zwaly śniegu, bierze na hol fiata z potrzebującą pomocy kobietą i ciągnie go polami ku leczycyemu szpitalowi. Po północy przychodzi na świat zdrowe dziecko.

Drogowcy nie odpoczywają. Systematycznie i z uporem kruszą lodowe przeszkody. Niestety, rezultaty ich pracy są mizerne. Mija dwunasta godzina paraliżu na E-16.

Niedziela, 2 lutego 1986 roku. Prawie cały kraj odczuwa skutki ataku zimy. W Łęczycy choć to niedziela, czynne są wszystkie sklepy spożywcze. Sprzedaje się pieczywo, według podrobną i nabiał. Non-stop pracuje „Karczma Boruty”. Ajenci otwierają bary i jadłodajnie. Rankiem zatarasowany odcinek drogi E-16 patroluje śmigłowiec. Wiatr słabnie, na wysokości trzydziestu metrów od ziemi prądy powietrzne są ledwie wyczuwalne. Widoczność z godziny na godzinę polepsza się. Pilot obserwuje cały blisko dwudziestokilometrowy zator. Dwa rzędy samochodów ciągną się od Króśniewic przez Łęczycę aż do Sierpowa. Pluży coraz lepiej radzą sobie z zaspami.

W południe lodowaty wiatr ustaje. Ludzie o chłoczno wracają do swych aut, strzeżonych przez milicję. Odkopują pojazdy ze śniegu, uruchamiają silniki, by sprawnie ruszyć po odblokowaniu przejazdu. Pluży przecierają szlak. Powstaje czterometrowej szerokości tunel.

O godzinie piętnastej można już przystąpić do rozładowania gigantycznego korka. Wzdłuż kolumn gotowych do startu aut jada radiowozy. Z głośnika płyna polecenia dla kierowców: najpierw do tunelu wędzie radiowóz, za nim karetki pogotowia, potem autokary... Kilku niecierpliwych znów chce wciśnąć się do konduktu uprzywilejowanych. Interweniuje milicja.

Prawie dwie godziny trwa przejazd tunelem pierwszej kolumny oswojonych. Później milicjanci zezwalają na ruch w kierunku przeciwnym. O siedemnastej wszystkie pojazdy wyruszają na trasę. Mija dwudziesta szósta godzina paraliżu. E-16 jest przejezdna.

NA WŁASNY RACHUNEK

Co z mieszczuchem?

Naczelni redaktorzy i różnego rodzaju decydenci za cechą konieczną zamieszczanego w publikacjach komentarza uważają aktualność. Mają rację (niechym tylko napisali, że nie mają), oczywiście mają rację, pod warunkiem, że uwolnimy słowo aktualność od mylnych znaczeń, którymi obrosło w ostatnich latach. Potocznie bowiem ułóżsamia się aktualność (nieścisłnie) nie tyle z tym, że coś dzieje się współcześnie z czym innym, i nie z tym, że aktualne jest to, co na czasie, ile z tym, że akurat teraz się dzieje, choć właśnie nie powinno, gdyż jest już przebrzmiałe. „Naszym aktualnym tematem, panie redaktorze, jest na dzień dzisiejszy lokomotywa parowa” — jak to nieraz w tym stylu słyszymy (w porządku, jeśli dotyczy to muzeum techniki, gorzej, jeśli modernizacji kolei).

Tak też jest, jak sądzi, z aktualnością w sensie np. ideologicznym czy filozoficznym, a nawet politycznym. Nie każda odbywająca się obecnie narada lub konferencja zyskuje taki sam walor aktualności, co dajmy na to jakiś problem wcale w tej chwili nie rozpatrywany publicznie, o którym się i prywatnie nie mówi, nie myśli nawet, a jednak istnieje, jako siła sprawcza działań i postaw. Mamy wtedy do czynienia z aktualnością tzw. trwałszą, przynajmniej dopóki sprawa nie zostanie przewidywana w myśleniu czy działaniu. Takich spraw pozornie nie istniejących, bo kiedyś już poruszanych i „odfajkowanych” jest zwykle sporo, ale to co trudne i uciążliwe wolimy raczej „mieść z głową”.

Jestem przekonany, że taką sprawą, o której już prawie nie wypada u nas mówić i pisać, żeby nie narazić się na zarzut nieaktualności, są idee i postawy określane jako mieszczuskie lub — bardziej drastycznie — drobniomieszczuskie. I choć zachowują one u nas żywotność, a nawet przeżywają w szerokiej kręgu społecznych swój renesans, nie odważymy się o nich naponknąć, gdyby nie zbieg kilku faktów, które dodały mi zachęty.

Przekonując wywodzą Maria Ossowska, autorka wznowionej obecnie książki pt. „Moralność mieszczuska” (wydanej po raz pierwszy w 1956 r.), że typowa dla tego, co nazywamy moralnością mieszczuska nie jest mentalność wąskiej warstwy tzw. wielkich mieszczan, na ogół gruntownie wykształconych, ani nawet cechy charakteryzujące tzw. warstwy średnie (przenikające się u nas z inteligencją), lecz postawy i cały system wartości warstwy niższej, zwanej drobniomieszczuska, a pogardliwie kolturneria. Oczywiście nie chodzi o formalną przynależność jednostki do danej warstwy, lecz o wykazywane ideowo powinowactwo.

Tak się jednocześnie złożyło, że od poprzedniego numeru „Odgłosów” Edmund Lewandowski w artykule „Nauki mądrej Marii” (o Marii Koszutskiej) podkreśla, jaka wagę przywiązywała ta wybitna działaczka do prawidłowej analizy pojęcia drobniomieszczusztwa. Dodajmy do tego, że czynna jest obecnie w Muzeum Sztuki wystawa pt. „Decorum łódzkiego fabrykanta”, której przedmiotem zainteresowania jest wprawdzie kultura mieszczuskiej plutokracji, która jednak obarczona była w znacznej mierze drobniomieszczuszkimi upodobaniami i gustami. Na domiar wszystkiego na jednej ze scen Teatru im. Stefana Jaracza w niezmiernie interesującej inscenizacji powieści Witolda Gombrowicza „Ferdynand”, należąca uwagę poświęca się w ślad za książką różnicę przedwojennych „nowoczesnych” mieszczan, która zresztą z pozycji najbardziej filisterskich (a więc mieszczuszkich) kreuje się na rodzinę wyzwoloną z czołemu z przesądów i wolna od nakazów tradycji (nb. jakże korzystnie bryłoby wymenił dzisiejszych kolturnów na przedwojennych filistrów).

Jak widać, siła złego na jednego, bo czy to zupełnie przypadkowy zbieg okoliczności, że za pośrednictwem tak różnych środków, jak książka, czasopismo, teatr, muzeum, doszła naraz do głosu problematyka związana ze światem pojęć i stylów życia klasy, o której się prawie nie pisze i nie mówi, jak- by już przestała istnieć i wywierać wpływ. A może infiltracja tej systemu wartości rozlała się tak szeroko i przeniknęła tak głęboko nawet do środowisk intelektualnych, czy do znacznej części proletariatu, że już przestaje być dostrzegana aktualność zagrożenia?

Moim zdaniem jest to nadal problematyka otwarta, zwłaszcza w kwestii wzajemnego przenikania się czy utožsamiania drobniomieszczusztwa z inteligencją, czeka tylko na odważnych, którzy nie obawiają się przysparzania sobie wrogów.

JERZY KWIECIŃSKI

Piękna inicjatywa

17 stycznia 1986 r. na wniosek Komisji Kultury i Tradycji Regionu Rady Łódzkiej PRON powołano „BIBLIOTEKĘ ŁÓDZKĄ”.

„Biblioteka Łódzka” będzie edycją czterech łódzkich oficyn: Wydawnictwa Łódzkiego, Krajowej Agencji Wydawniczej, Państwowego Wydawnictwa Naukowego i Ossolineum. W założeniu przewidziano trzy podstawowe kierunki działania: a) więc wznowienie dzieł wybitnych autorów dawnych i współczesnych, wydawanie dzieł oryginalnych oraz cykle antologii wymagającej naukowego opracowania. Znajdą się tu: „Antologia poezji łódzkiej”, „Antologia satyry łódzkiej”, „Pamiętniki robotników i chłopców łódzkich”, „Akcenty łódzkie w pamiętnikach S. Staszica”, „W. Strzemiński i grupa „ar.” oraz „Pisarze łódzcy”. Całość została pomyślana jako seria mająca swój znak graficzny, staranne przygotowanie edytorskie, wydawana na dobrym papierze i w trwałej oprawie. Każda książka będzie zawierać oprócz zasadniczego tekstu posłowie poświęcone autorowi, jego drodze twórczej, rodowodowi artystycznemu oraz bibliografie jego prac. „Biblioteka Łódzka” będzie odpowiedział tym wszystkim, którzy od lat powtarzają, że mimo istnienia znacznego środowiska literackiego i naukowego nie ma książek o Łodzi. Książki „Biblioteki Łódzkiej” nie narusza „substancji wydawniczej” żadnej z czterech oficyn, bowiem wchodzi one w ich plany produkcyjne.

Co roku — takie jest przynajmniej założenie — będą się ukazywać na półkach łódzkich księgarni cztery książki, które otrzymają swoje kolejne numery. W 1986/87 z numerem 1 ukaza się „Dzieje wielkiej kariery” H. Dintera, z nr 2 „Ziemia obiecana” W. St. Reymonta, z nr 3 „Obcyżacie staropolskie” Z. Kucho-wicza i z nr 4 „Nad starą bliźną” E. Sustra.

Powołano już skład kolegium redakcyjnego. Działem literackim będzie zajmować się Edward Kolbusz z Wydawnictwa Łódzkiego, działem naukowym Barbara Matuszak z PWN, szeroko rozumiana historia regionu Anna Łukaszevska z Ossolineum. W skład kolegium wszedł także prof. dr hab. Stanisław Bortnowski. Redaktorem naczelnym „Biblioteki Łódzkiej” został dr Janusz Marchewa z Krajowej Agencji Wydawniczej.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że od samego początku ta piękna inicjatywa zyskała aprobatę i poparcie władz politycznych i administracyjnych miasta Łodzi.

Pozostaje więc czekać cierpliwie na pierwsze książki.

E. I. W.

NR 7 (1455), XXIX, 15 LUTEGO 1986 R.

Program modernizacji oświaty

Z danych statystycznych wynika, że społeczeństwo nasze jest nie tyle wykształcone. W grupie ludności w wieku 15 lat i więcej wykształcenie wyższe ma 5,6 proc. (jest to już 1 mln 561 tys. osób), wykształcenie średnie oraz policealne i niepełne wyższe posiada 23,0 proc., zasadnicze zawodowe — 19,8 proc., podstawowe i niepełne średnie — 43,5 proc., niepełne podstawowe — 8,1 proc. Dziś w zasadzie wszyscy młodzi Polacy kończą ośmioletnią szkołę podstawową, a potem jeszcze 97,1 proc. jej absolwentów kontynuuje naukę w różnych szkołach ponadpodstawowych (43,5 proc. w liceach i technikum oraz 53,6 proc. w zasadniczych szkołach zawodowych). Z kolei co drugi absolwent liceum kształci się dalej w szkole pomaturalnej, a 13,6 proc. wszystkich 19-latków wstępuje na wyższą uczelnię.

W systemie oświaty i szkolnictwa wyższego pracuje ok. miliona osób, zaś uczy się aż co piąty obywatel. Jest to więc system ogromny i złożony, którego wpływ na funkcjonowanie społeczeństwa i poziom kultury narodowej trudno przecenić. Nie można się więc współcześnie rozwijać bez doskonałości systemu oświatowo-szkolnego.

Niestety, system ów boryka się w naszym kraju z bardzo poważnymi trudnościami. Wystąpiły zagrożenia na drodze dalszego awansu oświatowego społeczeństwa polskiego. Mówiono na ten temat podczas obrad XXIV Plenum KC PZPR.

Szkolnictwo przeżywa kłopoty kadrowe, lokalowe i inne. Brakuje nauczycieli, szczególnie wykwalifikowanych. Z konieczności trzeba przyjmować do zawodu osoby ze średnim wykształceniem. Pierwszą dużą grupą (22 tys.) niewykwalifikowanych zatrudniono na etatach nauczycielskich w 1982 roku, a w następnych latach doszło jeszcze 38 tysięcy. W niektórych województwach co piąta osoba ucząca w szkole nie posiada wymaganych kwalifikacji, czyli nie powinna być nauczycielem. W ubiegłym roku zdarzył się nawet przypadek, że młoda nauczycielka zdawała poprawkową maturę. Socjologicznie sygnalizuje, że duży odsetek studentów Wyższych Szkół Pedagogicznych nie chce pracować w zawodzie nauczycielskim.

W krytycznym i konkretnym referacie Biura Politycznego KC PZPR przedstawionym na XXIV Plenum KC przez Tadeusza Porębskiego podano, że 40 proc. szkół nie dysponuje salami gimnastycznymi, że nie nadają produkcja podręczników i pomocy naukowych, że w latach 1986—1990 powinniśmy wybudować 1800 przedszkoli, 1850 szkół i 50 tys. mieszkań dla nauczycieli. Ale już dziś wiadomo, że państwo nie ma możliwości ekonomicznych, aby zaspokoić wszystkie potrzeby oświaty. Dlatego zaczęły się inicjatywy i działania lokalnych oraz koncentruje się środki na sprawach najważniejszych. Ponadto należy lepiej zorganizować i zdyscyplinować cały proces kształcenia.

Nie przewiduje się obecnie żadnej rewolucji czy głębokich reform oświatowych. Wymagałoby to bowiem dużych kosztów i długich przygotowań. Konieczna jest jednak modernizacja oświaty — modernizacja, czyli unowocześnienie, uwspółcześnienie. W tym celu zostaną podjęte działania dwójakiego rodzaju: po pierwsze — zmierzające do rozwiązania bieżących problemów, usunięcia elementów zakłócających funkcjonowanie i obniżających efektywność szkolnictwa; po drugie — zostanie opracowana koncepcja rozwoju oświaty po 1990 roku. Wśród zadań krótkoterminowych proponuje się obciążenie nauczycieli dodatkowymi, płatnymi zajęciami ponadwymiarowymi. Nie byłoby to sprzeczne z Kartą Nauczyciela, a pozwoliłoby zgłodzić brak kadrowy. Rozważony ma być postulat przekształcenia jednej z Wyższych Szkół Pedagogicznych w akademię pedagogiczną. Rząd ma spowodować, aby druk niezbędnych podręczników dla szkół podstawowych został zakończony już w czerwcu i lipcu. Poza tym zakłada się: unowocześnienie programów, włączenie do nich „politechniczności” i rozbudowanie wychowania przez pracę; wprowadzenie 6-dniowego tygodnia pracy szkoły przy zachowaniu 5-dniowego tygodnia pracy nauczyciela; zorganizowanie dla nauczycieli „szkół letnich”, w których wszyscy podnosiliby okresowo kwalifikacje; stworzenie drobnego przemysłu produkującego pomoce dydaktyczne; przyspieszenie uruchomienia uniwersytetu otwartego; zwiększenie nakładów na oświatę. Zmiany programowe i kadrowe nastąpią również w uczelniach wyższych.

Obok tych oraz innych przedsięwzięć — ma zostać powołany komitet ekspertów, który w terminie 2—3 lat przedstawiłby wizję rozwoju oświaty po 1990 roku. Konkretnie propozycje poddane byłyby w 1988 roku szerokiej konsultacji, a wnioski z niej rozpatrzyłby specjalnie zwolany kongres pedagogiczny. Chodzi przede wszystkim o wypracowanie i wdrożenie modelu upowszechniającego wykształcenie młodzieży na poziomie średnim.

W drugim punkcie obrad XXIV Plenum KC informację o realizacji uchwały IX Plenum w sprawach młodzieży przedstawił sekretarz KC PZPR, Waldemar Świrgoń. Poinformował m. in., że wśród przyjętych do PZPR w 1985 r. młodzi do lat 29 stanowili połowę. Jest to jednak wciąż za mało dla przywrócenia prawidłowej struktury demograficznej szeregów partyjnych. Jak podaje „Rocznik Statystyczny 1985”, w latach 1970—1984 udział młodzieży w partii spadł z 25,3 proc. do 7,6 proc. ogółu członków i kandydatów.

W przemówieniu końcowym I sekretarz KC, Wojciech Jaruzelski, powiedział: „Młodość ze swej natury pragnie zmian, jest krytyczna, niecierpliwa. Rodzi to czasami różne kłopoty ale i jest wielką wychowawczą szansą. Nic dobrego nie wyrasta z pozostawienia latowatym, konformistom i egoistom. Trzeba cenić tych, którym nie jest wszystko jedno, chcących zmienić zastaną rzeczywistość, przybliżyć życie do ideałów socjalizmu”.

E. L.

pa Planowania Nuklearnego NATO na posiedzeniu w Luksemburgu już w marcu 1985 r. w zasadzie opowiedziało się za programem „wojen gwiazdnych”.

Prezydent Francois Mitterrand i rząd francuski mieli — w tej sytuacji — do wyboru dwie drogi: doprowadzić do frontalnego starcia z USA, albo wybrać drogę pośrednią, poniekąd określaną. Pierwsza taktyka różniła niebezpieczeństwem, że większość partnerów z EWG związana silnie z USA, postawiona przed taką alternatywą, opowie się ostatecznie za programem „wojen gwiazdnych” i będzie stracona dla „Eureki”. Droga określana dawała natomiast szansę na ścisłą współpracę naukowo-techniczną w ramach programu „Eureka”. Wybrano więc drugie wyjście: zmodyfikowano program „Eureka” i nadano w nim priorytet dla badań w dziedzinach, które mają największe szanse na wdrożenie przemysłowe i mogą bardzo szybko przynieść wymierne rezultaty. Dyplomacja francuska eksponowała, że udział w amerykańskiej „Inicjatywie Obrony Strategicznej” nie

wyłącza udziału w programie „Eureka”. Seria spotkań F. Mitterranda z H. Kohlem i premier Margaret Thatcher, jak też z innymi przywódcami krajów zachodnioeuropejskich zakończyła się sukcesem Paryża, 5 i 6 listopada 1985 roku w Hanowerze ministrowie państw zachodnioeuropejskich do spraw badań podpisali układ o współpracy technologicznej „Eureka”.

CO DALEJ?

Kontrowersje wokół programu „wojen gwiazdnych” i „Eureki” znalazły się na etapie kompromisu. Rządy zachodnioeuropejskie, poza Francją, Norwegią, Danią i Grecją, poparły SDI. Konkretnie posunięcie podjęto jednak w sprawie „Eureki”. 5 i 6 listopada 1985 r. w Hanowerze zatwierdzono do realizacji 10 programów naukowo-badawczych: 1) opracowanie jednolitego standardu dla mikrokomputerów szkolnych i osobistych, 2) superszybki komputer o małych wymiarach, 3) amorficzna postać krzemu, 4) roboty dla przemysłu lotniczego, 5) nowe materiały filtracyjne, 6) lasery wysokiej mocy, 7) system łączności międzykomputerowej w Europie zachodniej, 8) aparatura do diagnozowania chorób przenoszonych drogą płciową, 9) systemy produkcyjne wykorzystujące „widzące roboty”, 10) badania nad przeniesieniem zanieczyszczeń atmosferycznych.

Do współpracy technologicznej w wymienionych wyżej programach przystąpiło łącznie 18 państw zachodnioeuropejskich. Jest to 12 państw EWG (Francja, RFN, Wielka Brytania, Włochy, Belgia, Holandia, Dania, Irlandia, Luksemburg, Grecja, Hiszpania i Portugalia) oraz Norwegia, Szwecja, Finlandia, Turcja, Szwajcaria i Austria. Pięcioletni program naukowo-badawczy będzie kosztował około 90 mld franków francuskich. Źródłem finansowania będą nakłady własne przedsiębiorstw, środki Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i pomoc rządów krajów uczestniczących w programie „Eureka”. Badania będzie koordynował specjalnie powołany sekretariat.

Program „Eureka” reklamowany jest jako program cywilny. Jednakże granice między badaniami cywilnymi a wojskowymi, we współczesnym świecie są bardzo płynne. Niemniej jednak program „Eureka” nie niesie takich bezpośrednich zagrożeń dla pokoju, jak program „wojen gwiazdnych”. Praktyka więc rozstrzygnie czy Europa zachodnia nada priorytet swojemu udziałowi w SDI czy też w „Eurece” a w konsekwencji: czy opowie się za nowym etapem wyścigu zbrojeń, czy też stanie się czynnikiem łagodzenia napięcia między Moskwą a Waszyngtonem?

Wiele będzie zależało od praktyki politycznej RFN. Państwo to zajmuje liczącą się pozycję w EWG i NATO i jego stopień zaangażowania w amerykański lub francuski program może mieć kluczowe znaczenie. Mamy prawo oczekiwać dużej rozwagi od ekipy rządzącej RFN. Wszak to przywódca rządzących dsz CDU i CSU są gorącymi zwolennikami integracji zachodnioeuropejskiej i uzyskania przez Europę zachodnią roli arbitra w polityce światowej. Warto może przypomnieć apele F. J. Straussa: „*Ważnie zmierz Europe, o ile ludy tego kontynentu nie przesuwną w wyżej podanym terminie przeszłości (chodzi o lata osiemdziesiąte — E.K.N.), Europejczycy mają wszelkie warunki, aby zająć w koncercie nowo ukształtowanego świata należne im miejsce i znaczenie, o ile odłożą do lamusa złowieszcze skłonności do urlopowania się od historii, jak i od zobowiązań wobec przyszłości*” (Deutschland deine Zukunft, Stuttgart 1976).

I dalej na kartach tej samej pracy: „*W świecie podzielonym przez dyktat i nierozsądek (...) Europa zachodnia może odegrać rolę wyjątkową*”, jeśli integruje swoje potencjały naukowo-techniczne, ujednolici systemy podatkowe, zharmonizuje politykę koniunkturalną, zagraniczną i obronną.

Pomijam rzeczywiste motywy, którymi kierują się w polityce integracyjnej F. J. Strauss i H. Kohl. Warto jednak zwrócić uwagę, że francuski program „Eureka” daje Europie zachodniej szansę na odrobienie opóźnień technologicznych i na odegranie znaczącej roli w utrzymaniu pokoju światowego. Przywódcą RFN — daje zaś szansę na uwiarygodnienie swych deklaracji. Zaangażowanie się zaś w program SDI pcha RFN i kraje zachodnioeuropejskie na tory wyścigu zbrojeń i konfrontacji ze Związkiem Radzieckim i krajami wspólnoty socjalistycznej.

Przy opracowywaniu artykułu wykorzystano referat mgr Jana Anusza na temat programu „Eureka” wygłoszony na seminarium, prof. dr hab. Edwarda Szymańskiego — kier. Zakładu Międzynarodowych Stosunków Politycznych i Gospodarczych MIMP UL.

nia. Stany Zjednoczone posiadała ogromną przewagę nad krajami EWG w technice opanowania przestrzeni kosmicznej, w budowie mózgow elektronicznych i w systemach łączności. Wprawdzie w innych dziedzinach wytwarzania nie występują znaczniejsze różnice techniczne, a w dziedzinie kolejnictwa, budownictwa okrętowego i w produkcji jeszcze innych wyrobów Europa zachodnia nawet przoduje, to jednak przewaga USA jest wyraźna. Stany Zjednoczone górują nad Europą zachodnią w dziedzinach najważniejszych, będących współcześnie podstawowymi nośnikami postępu technicznego i technologicznego.

Przewaga amerykańska budziła od dawna zaniepokojenie w Europie zachodniej. Już w 1967 roku był z tego powodu na alarm znany polityk i pisarz francuski Jean-Jacques Servan Schreiber w głosnej pracy pt.: „Wyzwanie amerykańskie” (Le défi américain, Paris 1967). Wtórował mu nawet Franz Josef Strauss, przywódca bawarskiej CSU, który analizując wydatki na badania i rozwój naukowo-techniczny

dochoził do smutnego wniosku, że „przepaść technologiczna” między Europą zachodnią a Stanami Zjednoczonymi będzie się zwiększać. Na potwierdzenie trafności swego sądu cytował słowa prof. Wolframa von Ravena, że jeżeli Zachodnioeuropejczy nie połączą w jedno swoich potencjałów naukowo-technicznych to „(...) w XXI w. obywatel starego świata (Europie — E.K.N.) będzie w porównaniu z mieszkańcem nowego świata (USA — E.K.N.) tak samo głupi, jak neandertalczyk, na którego nakładły się współczesny człowiek”.

Na tych obawach zagrał z kolei umiejętnie Francuzi i zaproponowali partnerom w EWG własny program naukowo-badawczy zwany w skrócie „Eureka”. Mocno przy tym podkreślali, że ma on charakter cywilny i nie niesie niebezpieczeństwa zablokowania drogi do politycznych rozwiązań między Wschodem a Zachodem. Ostrzegali, że przystąpienie do SDI grozi przekształceniem się krajów zachodnioeuropejskich w podwykonawców i licencjodawców. Naturalnie, Francja wysuwając program „Eureka” liczyła i liczy na umocnienie swej pozycji w EWG.

Kraje Europy zachodniej stanęły więc przed alternatywą: uczestniczyć w SDI i liczyć, że USA dopuszczą je do najnowszych osiągnięć technologicznych za cenę pogorszenia stosunków ze Związkiem Radzieckim i krajami wspólnoty socjalistycznej czy też podjąć próbę połączenia swoich potencjałów naukowo-technicznych w ramach programu „Eureka” i odrobic opóźnienia technologiczne własnymi siłami, a w sferze politycznej próbować odgrywać rolę mediatora między Moskwą a Waszyngtonem.

PIERWSZE STARCIE

miato miejsce na LXII Międzynarodowym Seminarium Wiedzy Wojskowej, które odbyło się w Monachium 9 i 10 lutego 1985 r. Uczestniczyło w owej „burzy mózgow” około 150 zachodnioeuropejskich i amerykańskich uczonych oraz mężów stanu, USA reprezentował Richard Perle, najbliższy współpracownik Caspara Weinbergera, który w referacie zaprezentował walory programu „wojen gwiazdnych” i naciskał na przyłączenie się do SDI. Ostro polemikę podjął z wysłannikiem Waszyngtonu francuski minister obrony Charles Hornu, który wskazywał na niebezpieczeństwo wyścigu zbrojeń i iluzoryczność szans na uzyskanie absolutnej przewagi nad ZSRR. Podkreślał, mniej lub bardziej wyraźnie, że na to wzywaniem Ameryki Rosjanie wcześniej czy później znajdą odpowiedź. Wspierał go brytyjski minister do spraw przemysłu Geoffry Pattie, który jednak w odróżnieniu od swego francuskiego kolegi, eksponował wielkie koszty związane z SDI i niepewność ostatecznych rezultatów programu „wojen gwiazdnych”.

Kanceler Helmut Kohl i premier Bawarii F. J. Strauss udzielił z kolei ponaroczenia amerykańskiej „Inicjatywy Obrony Strategicznej”, nie zamykali jednak przed RFN drzwi do przystąpienia do francuskiego planu koordynacji badań „Eureka”. W sumie — na seminarium nie jeszcze nie rozstrzygnięto. Wyrażono sceptycyzm wobec programu „wojen gwiazdnych” i pośrednio zachęte wobec francuskich wysiłków skoordynowania badań w najnowszych dziedzinach technologii.

DRUGIE STARCIE

sła w poszczególnych państwach zachodnioeuropejskich. Najostrej wystąpiły w RFN i w Wielkiej Brytanii. Za amerykańską „Inicjatywę Obrony Strategicznej” zdecydowanie i ostatecznie opowiedziały się rządzące w RFN partie chrześcijańsko-demokratyczne CDU i CSU. Opozycyjna SPD odrzuciła natomiast program „wojen gwiazdnych” i opowiedziało się za francuskim planem „Eureka”. FDP zajęła pozycję wyczekującą. Do sporów wokół „wojen gwiazdnych” włączyło się zachodniemieckie społeczeństwo. Badania Ośrodka Opinii Publicznej „Infas” wykazały, że 79 proc. obywateli RFN jest przeciwko udziałowi swego państwa w programie „wojen gwiazdnych” 11 proc. opowiedziało się za udziałem RFN w SDI, 10 proc. nie miało zdania („Neues Deutschland” 1985-03-12).

W Wielkiej Brytanii spór wokół amerykańskiego programu SDI również był żarty. Konserwatyści opowiedzieli się za programem „wojen gwiazdnych”. Opozycyjna brytyjska Partia Pracy udzieliła pełnego poparcia programowi „Eureka”. Spory miały miejsce również w Ionie Międzynarodówki Socjalistycznej, która w końcu odrzuciła amerykańskie plany i opowiedziała się za „Eureka”.

Dyplomacja amerykańska zintensyfikowała więc swoje wysiłki, aby skłonić zachodnioeuropejskich partnerów do przyłączenia się do SDI. Ogromne naciski doprowadziły do tego, że Gru-

Amerykańska „Inicjatywa Obrony Strategicznej” (SDI) potocznie zwana programem „wojen gwiazdnych” została proklamowana przez prezydenta Ronald Reagana 23 marca 1983 r. Zakłada ona wykorzystanie promieni laserowych i innych technik do niszczenia wrogich satelitów wywiadowych, obserwacyjnych i rakiet. Satelity amerykańskie i promy kosmiczne uzbrojone m.in. w działa laserowe miałyby nie tylko chronić terytorium USA przed atakiem atomowym, ale i mogłyby być — w razie potrzeby — wykorzystane do niszczenia celów naziemnych na terytorium państwa, które rząd Stanów Zjednoczonych uzna za wroga.

Tak więc wynalazek lasera, którego dokonał w 1960 r. amerykański profesor Theodor Maimann został wprężnięty do celów wojny. Emitowane przez laser wiązki światła monochromatycznego oddające dotąd wielkie usługi w chirurgii, elektronice, radiolokacji, telekomunikacji i w obróbce metali mają dziś służyć nie tyle obronie co atakowi: wywoływaniu gigan-

EDWARD K. NOWAK

„Eureka” kontra „wojen gwiazdne”

tycznych pożarów na Ziemi i sianiu śmierci i zniszczenia. Wznie kreślone w amerykańskich laboratoriach znane w przybliżeniu z filmów w rodzaju „Cosmos 2000” ze sfery fantazji naukowej przekształcają się w słowrogą rzeczywistość. Rodzi to ogromne komplikacje polityczne: narusza równowagę militarną między ZSRR a USA i rozkręca spirale zbrojeń, której gigantyczne koszty poniesie cała ludzkość. Grozi to także trudnym do przewidzenia wzrostem stopnia ryzyka wybuchu III wojny światowej.

Pięcioletni program SDI ma kosztować 26 miliardów dolarów. Dziesięcioletni — ponad 70 mld dolarów. Są to przewidywane wydatki tylko na prace naukowo-badawcze. Wydatki na realizację amerykańskiej „Inicjatywy Obrony Strategicznej” będą niewątpliwie n-ty razy wyższe. Toteż ciężaru nowych jakościowo zbrojeń nie jest w stanie ponosić nawet najpotężniejsze mocarstwo kapitalistyczne jakim są Stany Zjednoczone. Stąd m.in. pilną inicjatywę amerykańską i naciski na zachodnioeuropejskich sojuszników, aby przyłączyli się do SDI.

Propozycje amerykańskie wywołały ogromne kontrowersje w krajach Europy zachodniej. Początkowo przeważał sceptycyzm czy realizacja SDI jest w ogóle możliwa. Sukcesy i udane eksperymenty amerykańskie nie przekonały do końca sojuszników. Zachodnioeuropejscy partnerzy Stanów Zjednoczonych obawiają się, że program SDI zapewni bezpieczeństwo tylko terytorium USA nie uchroni jednak Europy zachodniej przed rakietami krótkiego i średniego zasięgu. Obawiają się też, że USA zatrzymają najnowsze technologie dla siebie, a Europie wyznaczą rolę filii firm amerykańskich i prowincji wykorzystującej licencje na amerykańskie wynalazki. Nie chcą także definitywnie przekreślić szans na dialog ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami wspólnoty socjalistycznej.

Walkę o złamanie oporów zachodnioeuropejskich sojuszników Amerykanie podjęli na przełomie 1984 i 1985 r. i prowadzą ją nadal. Grają umiejętnie na wszystkich strunach wielonarodowego instrumentu swojej polityki zagranicznej i wojskowej jakim jest NATO. Zapewniają że SDI będzie „parasolem ochronnym” nie tylko dla USA, ale i dla Europy zachodniej. Tłumaczą, że wydatki na badania militarne przyniosą w ostatecznym rachunku korzyści i że osiągnięcia techniczne i technologiczne w dziedzinie wojskowo-kosmicznej mogą być przeniesione do produkcji cywilnej. Prywatnym przedsiębiorcom obiecują wielkie zyski. Za słowami i deklaracjami poszły czyny. Jeszcze rządy Europy zachodniej nie zajęły stanowiska w sprawie SDI, a już zachodnioeuropejskie koncerny głównie zbrojeniowe zaczęły otrzymywać zamówienia do realizacji programu „wojen gwiazdnych”. I tak na przykład: zachodniemiecki koncern „Maschinenfabrik Augsburg — Nürnberg AG” otrzymał zamówienia na produkcję anten z włókna węglowego, lotniczy koncern zbrojeniowy „Dornier” i firma „Carl Zeiss” otrzymały zamówienia na produkcję teleskopów podzerwiennych, francuski koncern „Thompson” — na systemy zasilania w energię generatorów promieni laserowych. Zamówienia spłynęły także do koncernów brytyjskich. Na dalsze zamówienia liczą inne koncerny, a w szczególności takie giganty przemysłowe RFN jak „AEG — Telefunken”, „Siemens AG” i im podobne, które produją w dziedzinie techniki precyzyjnej, technikach wysokich częstotliwości i w produkcji czujników różnych typów. Na zamówienia amerykańskie liczą również osławiony koncern zbrojeniowy „Messerschmitt — Bölkow — Blohm”, który ma już duże osiągnięcia, m.in. na polu eksperymentowania z działkami laserowymi i w przewidywanym ich wykorzystaniu w systemie obrony przeciwlotniczej.

Tymi argumentami i takimi praktycznymi posunięciami łamali Amerykanie opór Europy zachodniej przed przystąpieniem do programu „wojen gwiazdnych” i cyskili sojuszników w liczących się grupach nacisku, jakimi są firmy zbrojeniowe połączone różnymi nieformalnymi więzami z decyzyjnymi organami państwowymi w poszczególnych krajach Europy zachodniej.

Gorączkowe zabiegi Amerykanów o pozyskanie zachodnioeuropejskich sojuszników do programu „wojen gwiazdnych” stają się zrozumiałe na tle stanowiska Francji wobec SDI. Rząd francuski nie tylko odnosi się krytycznie do SDI, ale w 1984 r. proklamował konkurencyjny wobec „wojen gwiazdnych” program „Eureka”.

PROGRAM „EUREKA”

to francuski plan koordynacji badań Europy zachodniej w najnowocześniejszych dziedzinach technologii. Jego oficjalnie głoszonym celem jest odrobienie opóźnień i zmniejszenie luki technologicznej między USA a Europą zachod-

— rozwijać teorię i ściśle łączyć z praktyką. Członkowie partii winni znać marksizm — leninizm, historię ruchu robotniczego (szczególnie krajowego), doświadczenia bolszewików oraz gospodarkę kraju, strukturę społeczną, stosunki polityczne, nowe żywioły i formy walki klasowej.

Maria Koszutska była przeciwna tworzeniu wielkiej masowej partii komunistycznej, nie stosującej rygorystycznych wymagań w stosunku do członków i cechującej się biernością. Odzucała też koncepcje małej partii, która walcząc o czystość zasad, nie ma związku z masami i poczucia rzeczywistości. Idealem tej była partia bolszewicka; na czele kierownictwo złożone z osób szczególnie utalentowanych, stanowiące ośrodek skupienia „doborowych kadr” zdolnych wychować szersze kręgi oraz oddziaływać na masy i kierować nimi.

Wytyczne do działalności partyjnej winny być opracowane na podstawie rzetelnej analizy oraz realistycznej oceny sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej. Partia musi mieć bliższy i dalszy cel działania; musi ukazywać drożę walki, a nie doskonałe wizje przyszłości.

KPP powinna brać pod uwagę fakt, że w Polsce szczególnie doniosła rolę odgrywają czynniki zewnętrzne. Wynika to z określonych przesłanek historycznych, geopolitycznych i wewnętrznych. Geneza niepodległej Polski związana jest z targami i sprzecznościami między wielkimi mocarstwami i stał ich zainteresowanie naszym krajem. Polska posiada takie położenie geopolityczne, że stanowi „przedmurze przed bolszewizmem, klucz sytuacji strategicznej na Wschodzie”. Dlatego biegiem wydarzeń w Polsce interesują się różne państwa. Ponadto — kraj nasz rozrywany jest sprzecznościami, które usiłuje rozwiązać w oparciu o pomoc zagraniczną.

NIE BĘDZIE REWOLUCJI BEZ DANIA CHŁOPOM ZIEMI

W przededniu III Konferencji KPRP wysunęła tezę, że nasza rewolucja społeczna nie będzie czysto proletariacka, lecz robotniczo-chłopska. Będzie również zawierać elementy przewrotu burżuazyjnego. W referacie na III Konferencji mówiła: „W kraju z tak stosunkowo słabą ludnością robotniczą, jak w Polsce, nie może być rewolucji bez rewolucji agrarnej. A co to jest rewolucja agrarna? Powiadamy to sobie wyraźnie, nazwijmy rzeczy po imieniu: rewolucja agrarna to zawładnięcie ziemią przez chłopów”. Z kolei referując zagadnienia rolne podczas II Zjazdu KPRP stwierdziła kategorycznie: „W Polsce rewolucja będzie rewolucją robotniczo-chłopską albo wcale jej nie będzie”. Dla programu i działalności partii wynikały z tego dwa wnioski: że po zdobyciu władzy komunisti natychmiast przeprowadzą reformę rolną oraz, że w procesie walki o władzę należy uświadomić to chłopom i przedstawić im koncepcję reformy.

Z politycznego punktu widzenia nie można chłopom nie dać ziemi, gdyż inaczej nie udzieliłaby poparcia klasie robotniczej. Poza tym należy liczyć się z faktem, że nasi chłopcy — podobnie jak w Rosji — sami przyłączają się do rewolucji poprzez przejmowanie ziemi od wielkich właścicieli. W ten sposób nie komunisty dadzą im ziemię, lecz oni sami ją sobie weźmą na własność.

Na obecnym etapie rozwoju historycznego indywidualna gospodarka chłopska pozwala osiągnąć najwyższą wydajność pracy. Toteż należy ją popierać. „Ziemia — wyjątkowo Maria Koszutska — to nie nagroda, nie zapłata dla chłopu za jego udział w rewolucji — to warunek pracy, który chłop zdobywa przez rewolucję i który w pierwszym okresie socjalistycznego budownictwa on właśnie może najlepiej zuzycykować. A uzyskanie go w pełni leży zarówno w interesie robotników, jak i chłopów”. W oparciu o doświadczenia rosyjskie wskazywała, że gospodarstwa państwowe na wsi nie zdają tam egzaminu; państwo robotnicze nie tylko nie miało z nich żadnej korzyści, lecz w dodatku musiało je wspomagać.

Za naiwny uważała pogląd zwolenników kolektywizacji, jakoby w Polsce istniała wyjątkowa sytuacja, ponieważ uspołecznienia ziemi pragną, obok robotników rolnych, również sami chłopcy. Ludność wiejska, jej zdaniem, cierpi na głód ziemi, który stanowi podstawę sytuacji rewolucyjnej na wsi. Stan niezadowolenia i niepokoju w środowisku wiejskim spowodowany jest przeludnieniem agrarnym, bezrobociem, niską kulturą rolną, ciekim położeniem właścicieli gospodarstw rolnych.

Przed I wojną światową równowagę na przeludnionej wsi zapewniali: odływ do szybko rozwijających się miast, stała i sezonowa emigracja zarobkowa, częściowa parcelacja średnich majątków ziemskich. A w latach powojennych czynniki te w minimalnym stopniu rozwiązywały sytuację. Kryzys gospodarczy zahamował rozwój miast, kryzys w innych krajach zmniejszył emigrację zarobkową, zaś wzmocniła w okresie wojny większa własność ziemską ograniczyła proces parcelacji.

Maria Koszutska twierdziła, że partia Wincentego Witosa nie reprezentuje uboższego chłopstwa, lecz bogate. Gdyby było inaczej, to w lipcu 1920 r. można by przeforsować w Sejmie wywłaszczenie bez odszkodowania. Przeszczona klasa panująca zgodziłaby się wówczas na każdą propozycję Witosa. W tym miejscu, w charakterze dygresji, warto przytoczyć opinię Franciszka Bułaka dotyczącą ustawy z 13 lipca 1920 roku: „Postanowiono przyjąć ustawę bez dyskusji nie znając nawet jej tekstu, który dopiero po otwarciu posiedzenia rozdawano pułom”.

REWOLUCJA I CHŁOPI

Jakie główne elementy, według Marii Koszutskiej, winien zawierać program rolny partii? Po pierwsze — ziemia obszarowa zostaje odebrana właścicielom bez żadnego odszkodowania. Władza rewolucyjna dokonuje uspołecznienia jedynie tych majątków, które są szczególnie ważne dla zaopatrzenia miast i nie leżą w re-

jonach dużego głodu ziemi. Podstawowymi przesłankami uspołecznienia majątku są: wysoka kultura rolna, gwarancja uzyskiwania wysokiej wydajności pracy i obsługa głównie przez robotników najemnych. Gospodarstwa uspołecznione miały ułatwiać apropryzację miast oraz „stwarzać wzory postępowej gospodarki, otaczać gospodarczą opieką okolice drobne i średnie włościarstwo, dostarczając im wzorowych nasion, rozpiadników, nawozów sztucznych, narzędzi”.

Majątek można uspołecznnić tylko wtedy, jeśli potrafi się zabezpieczyć w nim dobre gospodarowanie i wysoka wydajność pracy. Trzeba zdawać sobie sprawę z niskiego poziomu kulturalnego i słabego wyrobienia społeczno-politycznego robotników rolnych. Doświadczenia rosyjskie wykazały utopijność programów uspołecznienia ziemi na szerszą skalę. W interesie rewolucji socjalistycznej nie wolno więc baztelizować tych doświadczeń.

Po drugie — wszystkie wielkie i średnie majątki nie gospodarowane lub znajdujące się w rejonach wielkiego głodu ziemi zostają podzie-

lone między bezrolnych i małorolnych chłopów, przy uwzględnieniu w pierwszym rzędzie potrzeb najbardziej potrzebujących. Obdzeleni ziemią otrzymają pomoc ze strony państwa. Bada oni w społeczeństwie budującym socjalizm — z wranego punktu widzenia — przywrotnymi właścicielami środków produkcji.

Po trzecie — chłopcy średniorolni zachowują swój stan posiadania. Państwo robotnicze także im udzieli pewnej pomocy, głównie w postaci tanich kredytów, dostarczenia materiałów budowlanych i innych udogodnień. Trzeba dążyć do przyciągnięcia średniorolnych na stronę rewolucji lub do neutralizowania ich. I wreszcie — chłopcy bogaci również nie zostaną wywłaszczeni, ale tylko pod warunkiem, jeśli nie będą występować przeciwko władzy ludowej.

Maria Koszutska przewidywała, że w wyniku przewrotu rewolucyjnego Polska stanie się republiką robotniczo-chłopską. Rewolucja dokonała szerokiej masy kierowanej przez partię proletariacką, opierającą się na klasie robotniczej i biedocie wiejskiej. W referacie na II Zjeździe KPRP mówiła: „Rząd, który wyłoni rewolucja będzie rządem robotniczo-chłopskim; partia, która będzie siłą kierowniczą tego rządu, będzie partią robotniczą”. Uważała, że sojusz robotniczo-chłopski na długie lata stanie się podstawą władzy ludowej w Polsce, ponieważ ze względów ekonomiczno-kulturowych nieprędko da się uspołecznnić rolnictwo.

Przeistawienie gospodarki rolnej na tory socjalistyczne traktowała jako stopniowy i długotrwały proces. Pisała: „Droga do socjalistycznej gospodarki prowadzić będzie nie przez przymusowe wywłaszczenie szerokiej rzeszy chłopskich, ani przez politykę doprowadzającą ich do państwa do upadku, ale przez unaoocznienie im dobrodziejstw przetrzonej pracy. Szerokie zastosowanie dostarczających przez państwo nawozów sztucznych i maszyn obsługujących szereg gospodarstw, praktyka kooperacji wytwórczej i wymiennej, elektryfikacja rolnictwa, szkoły rolnicze, dostarczenie fachowych agronomów, którzy nauczą chłopów korzystać ze zdobyczy nauki — wszystko to wywróci chłopca z jego dotychczasowego odosobnienia i doprowadzi go stopniowo do zrozumienia, że w interesie jego leży nie przeciwstawianie się zbiorowości, ale coraz bardziej zacieśnianie się w wspólpracę z nią”.

W miarę umacniania się nowego ustroju, kiedy minie już niebezpieczeństwo restauracji kapitalizmu, pojawią się konflikty między chłopami a władzą robotniczą. Maria Koszutska sądziła, że konflikty te są nieuchronne — wynikały ze sprzeczności interesów i dążeń. Przyczyną ich będzie niski poziom świadomości oraz egoizm mas chłopskich, a nie obiektywne antagonizmy. W rzeczywistości bowiem nie ma pomiędzy chłopami a robotnikami sprzeczności nie do przezwyciężenia.

Współistnienie dwóch sektorów gospodarki — socjalistycznego i prywatnego — zrodzi jeszcze jedno niebezpieczeństwo: prywatne gospodarowanie sprzyjać będzie kształtowaniu się postaw i poglądów sprzecznych z założeniami socjalizmu i potrzebami gospodarki uspołecznionej. Sektor indywidualny na wsi stanowić będzie — jak pisała — „niebezpieczny pierś, z którego odradzać się wciąż mogą nowe pędy kapitalizmu, żywotne źródło podsycające indywidualizm własnościowy sprzeczny z istotą socjalizmu”.

W związku z koncepcją Lwa Trockiego szybkiego rozwoju przemysłu kosztem gospodarki chłopskiej, zwróciła uwagę, że prowadzić to do zaostrenia walki klasowej i zahamowania rozwoju przemysłu. Aby przemysł mógł się rozwijać, musi posiadać odpowiednio szeroki rynek zbytu. Podupadła gospodarka wiejska nie może wchłoniąć wyrobów przemysłowych; dlatego ceny ich nie powinny rosnąć, lecz spadać, aby chłopcy mogli je nabyć i przekonać się, że nacjonalizacja przemysłu jest dla nich korzystna. Maria Koszutska nie kwestionowała potrzeby przyspieszonego rozwoju przemysłu, ale równocześnie widziała konieczność szybkiego rozwoju rolnictwa. Dyktans między przemysłem a rolnictwem nie powinien być według niej zbyt duży. A koszty rozwoju gospodarczego należy mniej więcej sprawiedliwie rozłożyć na całe społeczeństwo i nie obciążać nimi szczególnie chłopów. Budowa przemysłu nie powinna także odbywać się za cenę zmniejszenia nakładów na oświatę i ochronę zdrowia.

JAK KIEROWAĆ MASAMI

Maria Koszutska sądziła, że partie lewicowe w poszczególnych krajach winny się zjednoczyć, ponieważ rozbić na ideowo jednolite grupy prowadzi do abednej walki konkurencyjnej o pozyskanie mas, sprzyja demagogii i szkodzi sprawie rewolucji. Była też zwolenniczką Międzynarodówki Komunistycznej. Na potrzebę utworzenia organizacji międzynarodowej wskazywała już w listopadzie 1918 roku. Przewidywała, że w przyszłości długo jeszcze najważniejszą rolę w Międzynarodówce spełnią będzie partia rosyjska, a jej przywódcy będą mieli olbrzymi autorytet w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Byłoby jednak niebezpieczne, gdyby autorytet ten hamował dyskusję i „zabijał wszelką samodzielność myśli”. Dyskusja między sekcjami Kominternu wcale nie dowodzi rozkładu, lecz jest czymś normalnym i pozytywnym. W miarę jak poszczególne partie wstają zączną w specyfice warunków swoich

(2)

Nauki mądrej Marii



krajów, muszą pojawiać się przejściowe różnice zdań. „Właśnie w ogniu tych sporów — mówiła — kształtował się będą bolszewickie partie, rozwijając i urobicając się będzie ich ideologia”.

Jak już wspomniano wyżej, sprzeciwiała się ona zarówno tworzeniu dużej partii, jak i małej sekty. Szczególnie zaś zwalczała sekciarstwo. Na historycznym II Zjeździe mówiła: „Jedni chcą wielkich, masowych partii, które by znowu ugrzęzły w marazmie i bezczynności, i chcą się wszystkich, co mogłoby odstraszyć niebojowe, bezuładne żywioły; drudzy chcą partii — sekty, zajętej przede wszystkim troską o czystość zasad i separującej się od życia. Ani jedni, ani drudzy nie są jeszcze nosicielami wielkiej idei: partii — sztabu rewolucji proletariackiej. A stąd pełną i wszystkie inne choroby i niedomagania”.

Omawiając w 1924 r. zagadnienia sporne w partii rosyjskiej pisała, że najtrudniej prawidłowo funkcjonować partii rządzącej — pogodzić konieczności centralizmu i demokracji. Partia taka musi stwarzać warunki do swobodnego wypowiadania się członków w sprawach państwowych, umożliwiać krytykę i wpływ na podejmowane decyzje. Ale z drugiej strony nie może zmienić się w „klub dyskusyjny” i utracić sprawności organizacyjnej. Bardzo dużo zależy od właściwego funkcjonowania Komitetu Centralnego. Nie może on spełniać roli jedynie odbiorcy oddolnych dążeń, lecz powinien być również źródłem idei, inicjatywy i woli rewolucyjnej. Niekiedy musi działać na wzór wojskowy, ale na co dzień musi uczyć samodzielności myśli i inicjatywy, sprzyjać rozwojowi nowych talentów, zespałać różne odcienie myśli w jeden wspólny nurt ideowy.

Podobnie, jak Włodzimierz Lenin, Maria Koszutska przywiązywała bardzo dużą wagę do posiadania przez partię kierownictwa cieszącego się powszechnym autorytetem i zaufaniem. Na III Zjeździe KPP ubolewała, że partia nie ma i nigdy nie miała takiego kierownictwa, co jest jej „ciężką chorobą”. Na przeszkodzie stały zawsze partykularne ambicje poszczególnych działaczy, z których wielu pragnęło, aby właśnie jego „uznano za polskiego Lenina”.

Podczas obrad Komisji Polskiej na V Kongresie Międzynarodówki skrzyła się na destrukcyjną działalność pewnej grupy aktywistów KPP, koncentrującej się w Moskwie i stale podrywającej autorytet każdego kierownictwa partii pod zarzutem oportunistyzmu. Ustosunkowując się do dyskusji na forum Komisji oświadczyła, że sprowadza się głównie do „wycieczek osobistych i frakcyjnych porachunków”. Wystąpienie swoje zakończyła słowami: „Na zarzuty osobistej natury odpowiadać nie będę — nie zastępuję na to. Stwierdzę tylko, że oparte są na danych niezgodnych z rzeczywistością i prawdą”.

Jak widać, atmosfera w KPP nie była najlepsza. Panował w niej duch sekciarstwa, podejrzliwości, intrygi i nawet donosów. Według

świadczenia Włodzimierza Sokorskiego zjawiska te występowały później także w Związku Patriotów Polskich, co było kłopotliwe dla władz radzieckich i Józefa Stalina. Byli KPP-owcy wciąż dzieliłi ludzi na „naszych” i „nie naszych”, co stwarzało wzajemną nieufność i nieporozumienia. Walkę z sekciarstwem trzeba było również prowadzić od samego początku powstania Polskiej Partii Robotniczej. W lipcu 1942 r. Marceji Nowotko depešował do Georgi Dymitrowa: „Największą trudnością to przetrwanie sekciarskie nastroje, szczególnie wśród byłych członków KPP, dla których każdy, kto niekomunistą, jest wrogiem”. A trzy lata później, w przemówieniu końcowym na I Zjeździe PPR, Władysław Gomułka mówił: „Ale są wśród byłych członków KPP tacy, którzy nie umieli wczuć się w nową sytuację, nie umieli jej zrozumieć, nie przestali być wężskimi sekciarzami. Trzeba, żeby i oni zaczęli myśleć kategoriami narodu, państwa, w którym w tej chwili współdziałamy”.

Maria Koszutska sądziła, że za błędy popełnione przez partię nie można oskarżać tylko wąskiej grupy z jej kierownictwa. Pozostali członkowie Komitetu Centralnego KPP także muszą czuć się odpowiedzialni za politykę partii. Obciążanie winą jedynie kilku osób prowadzi bowiem do odzwyczajania partii od myślenia politycznego. Nie wolno też za jedyną zamachem kompromitować ludzi, którzy popełnili błąd wraz z całą partią. Na V Kongresie MK sprzeciwiała się praktyce odwoływania osób z funkcji kierowniczych przez Komintern bez uprzedniego zbadania i przedyskutowania kwestii w danej partii. Metody tego rodzaju wywołują chaos ideowy i wyrzadzają partię z drody.

Przestrzegała partię przed sytuacją, w której poszczególne jej członkowie działają w sposób bezmyślny, nie rozumiejąc sensu realizowanych uchwał. Cała partia musi dobrze wiedzieć o co w danym momencie toczy się walka polityczna i czym jest uzasadniona stosowana aktualnie taktyka. Jeśli zaś uchwały partyjne przyjmowane są jako dogmaty, musi to doprowadzić do błędów.

NA ZAKOŃCZENIE

warto jeszcze raz podkreślić, że nie tylko poglądy Marii Koszutskiej godne są upowszechniania. Na uwagę zasługuje również jej postawa ideowo-moralna, mogąca stanowić znakomity wzór wychowawczy dla współczesnych pokoleń działaczy. Była osobą głęboko ideową i konsekwentnie dążącą do urzeczywistnienia uznawanych ideałów. Odmaczała się oryginalnością i samodzielnością sądów. Wśród współpracowników i znajomych cieszyła się niezwykłym wprost autorytetem i poważaniem. Cenili ją nawet ci, którzy nie podzielali jej poglądów politycznych. Michał Sokolnicki tak ją charakteryzował: „Wera zawsze cicha, nie narzucająca się, zadowolona z najważniejszych spraw, łagodna i z prostotą, ściśle, obowiązkowa, prawie mistyczna i uduchowiona w swym spojrzeniu i swej pracy — wieczna romantyczna „oldka”. Wystąpienia jej oparte były na dobrej znajomości sytuacji i wyróżniały się wysokim poziomem teoretycznym. Dlatego słuchano jej uważnie nawet wówczas, gdy się z nią nie zgodzono. Jeden z uczestników IV Zjazdu KPP — na którym wygłosiła przeszło godzinne przemówienie — odnotował, że mówiła „z wielką paścią i namietnością, ale bez zohydzenia przecowników”.

Dobrze znająca życie, działalność i cechy charakterologiczne Koszutskiej, Natalia Gasiorowska pisała: „Autorytet Wery w partii zwiększały jej skromność i prostota w postępowaniu, jej etyka partyjna, jej tryb życia, bez żadnych wymagań dla siebie, zawsze z myślą o niesieniu pomocy innym ludziom”. Taka była prekursorka polskiej drogi do socjalizmu. Niesłusznie skrytykowana z pozycji dogmatyczno-sekciarskich i odsunięta od kierownictwa partii podporządkowała się dyscyplinie partyjnej i do końca życia pozostała wierna ideałom socjalizmu. Marian Marek Drozdowski pisał o niej w krótkim szkicu, dał bardzo trafny tytuł: „Wielkość i dramat Wery”. Rzeczywiście była człowiekiem wielkiego charakteru i umysłu, a los jej okazał się niezwykle tragiczny.

W Polsce Ludowej, jak już wspomniano na wstępie, zaskakowało mało się o niej mówić i pisze. Prawdopodobnie nie ma nigdzie jej pomnika ani nawet najskromniejszej tablicy pamiątkowej. W niektórych miastach znajdują się ulice Wery Kostrzewy, a przecież nie było takiej osoby. Pseudonimu „Wera” zaczęła używać w początkach działalności partyjnej, a „Kostrzewa” po zdelegalizowaniu KPRP. Czas już, aby w naszej historii zajęła godne miejsce Maria Koszutska — kobieta mądra, dobra i piękna.

EDMUND LEWANDOWSKI

OD REDAKCJI:

Opublikowaliśmy w dwóch odcinkach artykuł Edmunda Lewandowskiego prezentujący sylwetkę i poglądy Marii Koszutskiej. Ta wybitna działaczka ruchu robotniczego była związana z Łodzią. Tutaj przez pewien czas pracowała i wstąpiła do Polskiej Partii Socjalistycznej. W 1902 r. robotnicy łódzcy i okoliczni chłopcy znali ją pod pseudonimem Anna. W Łodzi często też przebywał i zmarł w 1915 r. jej ojciec. Do dnia dzisiejszego zachował się dom (ul. Tuwima 41), w którym zamieszkała po ukończeniu studium nauczycielskiego na Sorbonie.

Niestety, nie ma w Łodzi żadnej tablicy poświęconej Marii Koszutskiej. W celu uczczenia 110 rocznicy jej urodzin zwracamy się z propozycją do Kuratorium Oświaty i Wychowania Miasta Łodzi, aby wybranej szkole nadać imię Marii Koszutskiej.

Sejm uchwalił budżet oraz towarzyszące mu ustawy i uchwały w końcu 1985 roku, dokładnie w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia. Może na prezent pod choinkę... Jeżeli tak, to dla sporej części podmiotów korzystających z podzielonych w ustawie sum jest to prezent nader kłopotliwy.

Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że — jak to coraz częściej się zdarza — wydzielone kwoty są za małe wobec, poniekąd uzasadnionych, apetytów. Po drugie — rząd zademonstrował — jak nigdy ostrą — determinację niewzruszania się losem biednych patentów, usiłujących wymusić dodatkowe pieniądze bądź ulgi w kredytowaniu czy podatkach. Nadto rządowi udało się przekonać Sejm do tej polityki.

Oczywiście kwestią otwartą jest, na ile administracji uda się wytrwać w tym postanowieniu. W każdym razie należy jej życzyć, aby ta bezlitosna polityka finansowa doznała jak najmniej uszczerbku w ciągu bieżącego roku. Może dzięki temu zaczną powoli wytwarzać się nowe mechanizmy gospodarowania budżetem, nowe podejście do sprawy pozyskiwania środków — nakazujące najpierw rozstrząsać się wokół siebie, a dopiero potem wyciągać rękę do państwowej kasy, a nie odwrotnie.

W syntetycznym skrócie „filozofia” gospodarowania budżetem zawiera się między dwiema skrajnościami — albo przykreć kurek z „wypływającymi” pieniędzmi do poziomu spodziewanych dochodów, bądź nawet mocniej, aby co nieco zaoszczędzić — albo wydać polecenie dyrektorowi wytwórni papierów wartościowych, aby podkreślił obroty maszyn drukujących banknoty, i opłacić każdą fanaberię klientów budżetu. Pierwsza skrajność wywołuje stagnację, druga napędza inflację...

Idealnym rozwiązaniem wydaje się być trwała równowaga budżetowa, oparta nie o surową dyscyplinę wydatków w związku z niemożnością zwiększenia dochodów budżetu, ale oparte o takie pozyskiwanie dochodów, iżby było można zaspokoić każdą społecznie usprawiedliwioną i konieczną ze względów ustrojowych potrzebę. Jak się wydaje, ideał ten jest rzadkim fenomenem po obu stronach podzielonego świata. Nasze współczesne możliwości sięgają co najwyżej zdolności do wypracowania równowagi odcinkowej lub globalnej, ale niestawiają, gdyż nabyt jesteśmy uzależnieni od światowych fluktuacji gospodarczych, a „adto” związani ustrojowymi zasadami sprawiedliwości społecznej. Najważniejsza z nich jest niewątpliwie skierowanie działalności socjalistycznego państwa na rzecz realizacji słusznych interesów obywateli.

Z zasady tej wynika szereg innych reguł postępowania. Jedną z nich jest nie tylko dyktowana przez ideologię, ale i moralną konieczność obrony poziomu zaangażowania państwa w zaspokajanie potrzeb społecznych obywateli, obrony powszechnej dostępności i bezpłatności rozmaitych dóbr użytecznych, obrony poziomu życia. Prymat tych zobowiązań państwa nad dążeniem do teoretyczno-ekonomicznego ideału równowagi budżetowej wydaje się być niewątpliwym. Toteż jest rzeczą jasną, że pole wyboru jest w tej mierze dość wąskie — nie można ograniczać sfery spożycia zbiorowego i socjalnych dobrodziejstw, trzeba za to tak mądrze budżetem, aby się wszystko zgadzało, nawet kosztem deficytu. Równowaga bowiem nie jest absolutnym fetyszem, któremu należy oddawać hołd za wszelką cenę.

Zasada racjonalizacji gospodarowania budżetem, koncentrująca się wokół radykalnego i bezlitosnego ograniczenia dotacji dla przedsiębiorstw i sektorów gospodarki narodowej jest niewątpliwie słuszną, o ile stanie się skutecznym instrumentem zwalczania nierówności. Być może szantaż „budżetoborców” stanie się przez to mniej dotkliwy dla rządu. Trzeba jednak zwrócić o wiele więcej niż dotąd uwagi na pewne psychospołeczne aspekty funkcjonowania instrumentów pieniężnego nacisku, będących w ręku państwa. Tak mówił o tej sprawie poseł Józef Barecki podczas budżetowej debaty:

„Nadal wydatki budżetowe państwa są większe od istniejących możliwości. Wydamy 150 mld zł ponad to, na co nas stać, co wpłynie do budżetu. (...)”

Srodki te traktuje się często jak należne świadczenia z kasy państwowej, a to mniemaniu niektórych — z kasy nieczyjej. Trzeba doprowadzić do powszechnej świadomości, że są to środki wypracowane przez społeczeństwo, przez ludzi pracy. Przez tych, którzy znani są w instytucjach i urzędach jako petenci, interesanci, rodzice uczniów, chorzy, widzowie teatrów i kin. Jak oni za swoje pieniądze są obsługiwani, jak traktowani, co za nie otrzymują?

(...) wiele jest jeszcze faktów niesprawnej i nieuczciwej obsługi obywatela w urzędach, wiele przypadków szantażu groźbą publicznym na niepotrzebne jubileusze, festiwale i narażę, wydawanie środków na działalność nie

przynoszącą pożytku społecznego, wiele faktów pokrywania dotacjami nieudolności i marnotrawstwa.

Sfera budżetowa — to albo służba społeczeństwu, albo zobowiązania wobec społeczeństwa. (...)”

Myślę, że debata budżetowa nie powinna zakończyć się na dzisiejszym (tzn. 85.12.23 — przyp. TS) posiedzeniu Sejmu. Budżet związany jest z przepływem pieniądza. Ale także z etyką i moralnością, z poszanowaniem prawa. Dlatego wydatkowanie środków budżetowych, ich wykorzystywanie i ich chronienie powinno znajdować się bez przerwy pod ścisłą kontrolą.

(...) potrzebna jest także (obok profesjonalnej — przyp. TS) szeroka kontrola społeczna. Będziemy na spotkaniach informować naszych wyborców o podziale budżetu. Jest to podział sprawiedliwy. Lecz trzeba będzie ich przekonać, że troska o jego wielkość i wykorzystanie powinna być wspólną sprawą. Państwoowe to zna-

ciemność i usług. A trzeba wiedzieć, że suma planowanych dopłat i dotacji z budżetu stanowi prawie jedną trzecią wszystkich przewidywanych wydatków. Jest to ogromne obciążenie, tym większe i groźniejsze, iż ciągle, z roku na rok rosące. (Dodatkowo jest to sygnał ciągły jeszcze ograniczonego funkcjonowania zasad reformy gospodarczej, ale to już inna kwestia.)

Kontrpropozycja dla restrykcji w tej sferze mogłoby tylko być ograniczenie wydatków na ubezpieczenia społeczne, ochronę zdrowia czy oświatę lub kulturę — co na pewno nie leży w interesie społecznym, którego najwyższym strażnikiem jest przecież Sejm. Tak stwierdził poseł sprawozdawca ustawy budżetowej Jan Kaczmarek.

Oto kilka zamierzeń oszczędnościowych, twarde popartych przez Sejm, zmierzających w przyszłości do ograniczenia deficytu i — jeśli to będzie możliwe — do uzyskania równowagi...

Sejmowe raporty i refleksje

Za dużo petycji, za mało dyscypliny

czy NASZE. Niech więc razem z nami troszczą się o jego zasilenie, o jego wykorzystywanie i nieuszczerplenie go przez ludzi nieuczciwych, jako petenci, klienci, interesanci — jako obywateli!”

Odpowiada mi takie podejście — jako byłemu „leniwemu obywatelowi” — do zagadnienia kształtowania społecznego klimatu wokół dyscypliny budżetowej. Ale pod jednym warunkiem — że nie ograniczymy się do werbalnych deklaracji, które w świetle obserwowanej przez ludzi praktyki mogą okazać się demagogiczne i schizofreniczne. Potrzebne będą fakty, i to publicznie ujawniane, że firma X odebrała dotację, skazując ją na myślenie lub śmierć, że beneficjent budżetu obywateli Y został ukarany za nieroztropne wydawanie społecznych pieniędzy, że reżyserowi Z. urzędowo doradzono zmianę zawodu, i tak dalej...

Budżet wraz z towarzyszącymi mu ustawami i uchwałami, jest estetycznie dziełem Sejmu. Ale konkretne propozycje składa rząd, a administracja jest potem odpowiedzialna za ich wykonanie. Powstałe wobec tego uzasadnione domniemanie, iż rząd najlepiej wie, jaka kwota na wydatki dysponuje i najlepiej zna możliwości pozyskiwania dochodów oraz potrzeby uczestników podziału sum budżetowych. Wydawałoby się tedy, iż Sejm powinien, na zasadzie zaufania, firmować propozycje rządu, zostawiając sobie tylko prawo kontroli gospodarki budżetem ex post, co zresztą odbywa się podczas tzw. debaty absolutoryjnej.

Nie ma co ukrywać, że była to niegdyś stała reguła pracy Sejmu — jeden z efektów fałszywego pojmowania roli najwyższego organu władzy przedstawicielskiej w państwie. Ale z drugiej strony pamiętać należy, że przeciwstawne potraktowanie udziału Sejmu w kształtowaniu budżetu byłoby również skrajnością, nie do zaakceptowania; nie wyobrażam sobie sytuacji, gdyby posłowie przewracali cały projekt budżetu do góry nogami, w imię realizacji interesów wyborców...

W naszej praktyce parlamentarnej od początku poprzedniej kadencji wybrano, jak sądzę, drogę pośrednią, to znaczy szczegółowego „śledztwa” w sprawie każdej propozycji ustawowej oraz analizy kwot dochodów i wydatków w pozycjach szczególnie ważnych ze względów społecznych, bowiem z natury rzeczy posłowie, dopinając swą odpowiedzialnością przed wyborcami, dysponują nieco innym spojrzeniem na współzależność potrzeb i możliwości, niż rząd.

Zatem przyjrzyjmy się niektórym istotniejszym zmianom, wprowadzonym przez Sejm do ustawy budżetowej.

Nie ulega wątpliwości, że — statystycznie sprawę ujmując — zmiany te mają wyraźny kierunek prooszczędnościowy, a w niektórych punktach nawet restrykcyjny, chociaż kilka pozycji po stronie wydatków zostało zwiększonych. Np. dotacje ogólne i celowe dla budżetów terenowych powiększono o blisko 74 miliony zł, w znacznie mniejszym stopniu wzrosły — w stosunku do projektu — nakłady na naukę i remonty kapitalne.

Oszczędnościowy kierunek budżetu skierowany jest głównie przeciw dotacjom dla przedsiębiorstw i w pewnym, acz znacznie mniejszym stopniu, przeciw dopłatom do konsumpcji

Zamierza się przede wszystkim konieczne ponadplanowe i nieprzewidziane wydatki budżetu pokrywać nie przez zwiększanie deficytu (czytaj: dodrukowywanie pieniędzy), ale właśnie przez ograniczanie dotacji. Z mocy ustawy dotacje te będą pomniejszone o kwoty funduszu rezerwowego, który każde przedsiębiorstwo obowiązane jest gromadzić. O jedną czwartą będą zmniejszone ulgi stosowane wobec przedsiębiorstw w podatku dochodowym i opłatach amortyzacyjnych. Zamiast rozszerzenia dotacji stosowane będą pewne ułatwienia w możliwości pozyskiwania kredytu bankowego; nadzwyczaj słuźnie, albowiem zmusi to różne firmy do uczciwszego i rozsądnego gospodarowania — dotacje bowiem są na ogół bezzwrotne, a kredyt trzeba spłacać...

W poselskiej dyskusji nad budżetem dwa punkty zasługują na szczególną uwagę. Na ogół wszyscy jej uczestnicy wyrażali swe zaniepokojenie szczególnie wysokim deficytem, nb. rosnącym z roku na rok, co źle rokuję tendencjom do uzyskania równowagi w niedalekiej przyszłości. Nikt też nie zakwestionował dominującej nad gospodarką budżetem zasady bezwzględnej obrony sfery wydatków socjalnych. Jest to objaw determinacji Sejmu ważny dla wyborców, niezwykle ważny wobec zbliżającej się debaty nad wysocze niezadowolającym propozycjami rządu w sprawie prowizorycznej rewaloryzacji świadczeń emerytalnych w roku bieżącym.

O ile jednak niektórzy uczestnicy dyskusji zdawali sobie sprawę z natłoku słusznych celów wobec szczupłości środków do dyspozycji i ograniczali się do wskazywania możliwości ograniczenia deficytu — głównie w sferze racjonalizacji i zdyscyplinowania gospodarki państwowymi pieniędzmi, o tyle inni zaprezentowali tradycyjne postawy rozszerzeniowe, domagając się zwiększenia wydatków w obszarach najbliższych ich sercom i zobowiązaniom. Poseł Jan Waleczek domagał się np. radykalnej poprawy płac dla pracowników służby zdrowia, poseł Zenon Bartkowiak upomniał się o wydawnictwo zwiększenie środków dla produkcji i przetwórstwa mleka, poseł Józef Barecki wypowiedział się na rzecz zwiększenia etatów dla administracji terenowej — jeszcze większym, niż uwzględnił to Sejm w ustawie budżetowej, poseł Henryk Swinarski zaakcentował niezbędność budżetowego wsparcia dla drobnej wytwórczości, wreszcie poseł Marian Szatybelko stanowczo, niemal ultimatywnie, wypowiedział się przeciw nazbyt wysokiemu — jego zdaniem — udziałowi dochodów z produkcji alkoholu w przychodach budżetu i... przeciw ustawie o przerywaniu ciąży (!?)

Wyjąwszy tę ostatnią kwestię, pozbawioną jakiegokolwiek związku z przedmiotem debaty, pozostałe sprawy są słuszne i zasługujące na rozważenie. A przynajmniej na dyskusję publiczną. Nie poważylbym się zakwestionować któregoś z tych rozszerzeń, ale nie sądzę, by ustalenie ich w hierarchicznej kolejce było zadaniem łatwym.

Obliecywałem na początku debaty budżetowej osobne opisanie nowej i ciekawie pomyślanej instytucji prawnej, towarzyszącej budżetowi, a mianowicie ustawy o Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego.

Cóż to jest takiego, ów fundusz? Najogólniej mówiąc, nie są to wcale dewizy (głównie dolary, gdyż do tej waluty sprowadzane są nasze zobowiązania) przeznaczone na spłaty odsetek i rat kredytów, tylko... złotówki, służące do wykupywania po oficjalnym kursie walut od eksporterów. Innymi słowy: za te pieniądze rząd odkupuje dolary od tych firm, które eksportują do tzw. drugiego obszaru płatniczego i spłaca nimi raty długów. Idzie o to, aby ciężar wykupu dolarów przerzucić z budżetu państwa na barki przedsiębiorstw, które w latach ubiegłych bezpośrednio i pośrednio korzystały z dobrodziejstw inwestowania opartego o kredyt zagraniczny.

Ponieważ dziś ustalenie korzyści z kredytów jest niemożliwe w sposób dostatecznie precyzyjny, ustalono, że sprawiedliwie będą płacić wszyscy — z wyjątkiem kolei, gospodarki komunalnej, rolnictwa i leśnictwa.

Zasadnicze źródła będą dwa. Większa część dochodów funduszu pochodzić będzie z wpłat ustalonych na poziomie dwóch procent wartości środków trwałych w przedsiębiorstwie, a mniejsza — z części wyników przeszacowania zapasów w związku ze zmianami cen urzędowych (jaka to będzie część owego przeszacowania, corocznie ustali Rada Ministrów).

Plan na ten rok przewiduje, że łącznie wpłynę na fundusz 189 miliardów złotych, w tym z dwuprocentowej opłaty od wartości środków trwałych 106 miliardów, a z przeszacowania zapasów 25 miliardów.

Pieniądze te zostaną w całości przeznaczone na uzupełnienie kwot niezbędnych do wykupu dewiz. Szacuje się, że potrzeba będzie na ten cel 334 miliardy złotych — pozostała część pokryta będzie z rachunków lokacyjnych i odsetek płatnych Bankowi Handlowemu przez Narodowy Bank Polski.

Pomysł wprowadzenia funduszu spotkał się z dużą aprobatą posłów i sfer finansowych. Zależą one, z mniejszym entuzjazmem wywołuje on w przedsiębiorstwach, skłonnych do traktowania opłat na fundusz jako jeszcze jednego podatku, i to z subiektywnego punktu widzenia niezbyt sprawiedliwego, gdyż zapewne znajdą się przedsiębiorstwa skłonne udowodnić, że nigdy z żadnych kredytów nie korzystały, a i zapasów nie gromadzą tyle, żeby za nie płacić...

Sądzę, że pojawi się w tej kwestii lawina odwołań, ale liczę na znaną powszechnie nieustępliwość resortu finansów.

Pozwolę sobie jeszcze podnieść jedną kwestię, zupełnie nie związaną z debatą budżetową, ale sprowokowaną jej przebiegiem.

Ołóż kierując do Prezydium Sejmu postulat, iżby przynajmniej raz w ciągu trwania każdej z sesji, przynajmniej część jednego posiedzenia plenarnego poświęcić — na wzór obyczajów parlamentarnych w innych państwach — tzw. debacie generalnej, podczas której każdy poseł będzie miał prawo wystąpić do spraw szczególnie go nurtująca. Nie miałoby to nic wspólnego z systemem interpelacji i zapytań poselskich, powinno to raczej być ujęcie dla tej formy poselskiego krasomówstwa, nie mieszczącego się w ramach ustalonego porządku obrad, tematu debaty ani planu pracy Sejmu w czasie sesji.

Dlaczego?

Obserwując dotychczasowe posiedzenia plenarne Izby, odnotowałem przynajmniej dwa wystąpienia, jaskrawo odbiegające od zaplanowanego przedmiotu debaty — oboje pro forma tylko bardzo luźno powiązane paroma frazami, dla niepoznaki, z głównym nurtem dyskusji.

Mam tu na myśli wspomniane już wystąpienie posła Mariana Szatybelki i wielce dyskusyjną mowę posła Ryszarda Bendersa podczas debaty budżetowej po pierwszym czytaniu projektów ustaw i uchwał dotyczących finansów państwa w dniu 27 listopada 1985 roku.

O zawartości pierwszego już pisałem i być może jeszcze do niektórych kwestii powrócę. Drugie zaś wystąpienie jest dość trudne do zrelacjonowania — ze względu na niebawome spierzenie kwestii i tzw. gonitwę myśli. Poseł Ryszard Bender m. in. ubolewał nad niedopuszczeniem go do głosu podczas dyskusji nad exposé premiera, wyrażał żal z powodu nie stosownej reprezentacji katolickiej „większości”, porównał stosunek do byłej „Solidarności” ze stosunkiem państwa do problemu Armii Krajowej (co jest szczególnie jaskrawym przeinaczeniem faktów), wyraził troskę o był reformy gospodarczej, zdezawował „PRON”, w imię spokoju społecznego zażądał uwolnienia wszystkich „uwięzionych za czyny niekryminalne” (tak jak gdyby zostali oni uwiezieni za coś innego niż właśnie wywołujące niepokój...) i wreszcie rzecznika Jerzego Urbana mianował najgorszym szkodnikiem politycznym w PRL.

W takim skrócie być może spis zawartości mowy posła Ryszarda Bendersa jest zabawnym, ale zapewniam, że w całości było to wystąpienie raczej ponure, przesłanki nie wstrząsającym mniemaniem o moralnej supremacji katolicyzmu. Dziwię się tedy, że polemiki podczas tej debaty były mdłe, a i potem nikt nie podjął krytycznej analizy tego wystąpienia. A przecież immunitet poselski nie obejmuje wolności od krytyki...

Z tym wszystkim byłbym głęboko przeciw ograniczaniu głosów tego rodzaju. Uważam wszakże, iż należy im stworzyć możliwość odrębną, szczególnie zaakcentowanego wyartykułowania w postaci własnej debaty generalnej.

TOMASZ SAS

Motto: Jedna prośba do Czytelnika: o uwagę. Każda nawet trywialna czy trywialna konstatacja może się okazać w tym reportażu kluczowa.

GDY PUSTOSZAŁY KURNIKI

Doczekają się kurczaki czterdziestego prezydenta. Niewątpliwie rok 1981 przejdzie do historii polskiego drobiarstwa. Wybudowaną wielkie kurniki, linie karmowe — w większości wypadków stały się obiektami martwymi, wykorzystywanymi w pewnej części przez pana ministra Ziębę do magazynowania nadwyżek skupowanego zboża, którego już elewatory pomieścić nie mogły. Kurniki i wspomniane linie nie są tym najistotniejszym czegóż kurczakom potrzeba. Przeciwnie niezbyt trudno uzyskiwana tuczowa odmiana kurczaka potrzebuje przede wszystkim jednego: odpowiedniej paszy, której bazą są specjalne odmiany kukurydzy uprawianej na glebach bogatych w sole mineralne, a między innymi w selen i w klimacie takim, że w momencie zbioru ziarno w kolbach jest twarde jak kamień, całkowicie dojrzałe, nadające się do odpowiedniego śrutowania i produkcji mączki. My takich gleb ani klimatu, ani odmian bezcennej rośliny nie posiadamy. Praktycznie czterdziesty prezydent jest swojego rodzaju monopolistą w tym zakresie. Wydał on wyrok na nasze kurczaki z własnej inicjatywy, wspomaganą przez konsekwentne oświadczenia mister Walesy, że najlepiej złamać kark Jaruzelskiemu przez likwidację hodowli drobiu w PRL. No cóż nam zostało? Jakież chudeuszki dziobące posłać do gospodarstw wiejskich, niechlubne eksperymenty „BACUTILU”, pragnące aby to skrzydlate bractwo żarło mączkę rybną... Krótko mówiąc skończył się wielki załew tanich kurczaków, smacznych, a zwanych po dziś dzień edwardiańskimi.

Każde zwierzę rzeźne, a drób w szczególności można wyhodować na kilka czy kilkanaście sposobów. Oczywiście, w zależności od sposobu uzyskujemy efekty dobre albo bardzo dobre, albo skandaliczne. Wybitny a okrutny reżyser włoski Jacopetti pokazał nam w swoim filmie „Mondo Cane” przerażający sposób tuczenia kaczek gdzieś chyba na Filipinach. Unieruchamiono tam szyję takiego nieszczęsnego ptaka i specjalnym urządzeniem tłoczyło się do przewodu pokarmowego odpowiednią kompozycję paszy błyskawicznej. Jest to metoda tuczu „na chama”. Obraz sekcyjny tak zamęczonego ptaka wawiera zwaly tłuszczu i ogromnie powiększoną wątrobę.

Ludzie zajmujący się nauką znają metody rozliczne, żmudne, bardzo pracochłonne. Wiemy już o rozwijającej się burzliwej inżynierii genetycznej. Znane są od dawniejszych już przecież czasów różne metody krzyżowań.

Oczywiście każde dziecko wie, że co innego oznacza krzyżowanie wewnątrzgatunkowe, a co innego międzygatunkowe (np. koń skrzyżowany z osłem daje w efekcie muła). Znacznie bardziej skomplikowane i wymagające niekiedy kilku lat korekt i badań okazują się krzyżówki wewnątrzgatunkowe. Z taką właśnie trudną krzyżówką pojechałem spotkać się do Olsztyna, gdzie zespół naukowców podjął się prywatnej odpowiedzi czterdziestemu prezydentowi, biorąc na warsztat trudne w krzyżowaniu ptactwo — Indyki.

ZALETY KORTOWA

W pierwszych dniach stycznia 1986 r. we wszystkich gazetach polskich ukazało się zwięzłe omówienie Polskiej Agencji Prasowej pod niezbyt szczęśliwym tytułem „Najważniejsze osiągnięcia techniczne PRL w 1985 roku”. Tytuł był o tyle mylący, że w zasadzie nie chodziło tylko o ściśle techniczne osiągnięcia. Fakt pozostaje jednak faktem: opracowań i wynalazków, które mogą bezwzględnie konkurować z najwyższymi osiągnięciami świata rozwiniętego, a częściowo modyfikują je w sposób zasadniczy, naliczono tylko dziewięć. Obok specyficznej polskiej metody przeszczerpu szpiku kostnego przy białaczce i chorobach zblizonych, która to metoda w znacznym stopniu likwiduje problem odrzutów i obrony immunologicznej — obok fundamentalnego udziału naukowców polskich w badaniu komety Halleya i planety Wenus — obok słynnego „oszczędniaka” (br, co za okropna nazwa) inżyniera Kowalskiego — znalazło się właśnie wyhodowanie „super-mięsnych” nowych rodów indyjskich przez naukowców z Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie.

Nie macie pojęcia, Drodyz Czytelniku, co to za piekielna rzecz dla reportera spotykać co chwila przedstawicieli konkurencji, która chce koniecznie ugrzyć ten sam temat. W pięknie odbudowanym „Domu Polskim” w centrum Olsztyna, gdzie mieści się również redakcja tygodnika „Wzrost i Matury” spotykałem bez przerwy dziennikarzy z prasy całego kraju, a nawet ekipę Kroniki Filmowej, która grzecznie prosiła mnie o podanie kontaktów z naukowcami Akademii Rolniczej, ponieważ byłam tam nieco wcześniej.

Olsztyn jest małym miastem, w którym życie toczy się powoli, gdzie mądry architekt miejski ocalił śródmieście od koszarowej „wielkiej płyty”, ale wszystkie okolice śródmieścia obudowano takimi Retkiniami, że aż zęby bołą. Kiedyś kursowały tu dwie linie tramwajowe i trolejbusy, teraz to zlikwidowano i rozmnożyły się linie autobusowe, którymi właściwie można dojechać wszędzie.

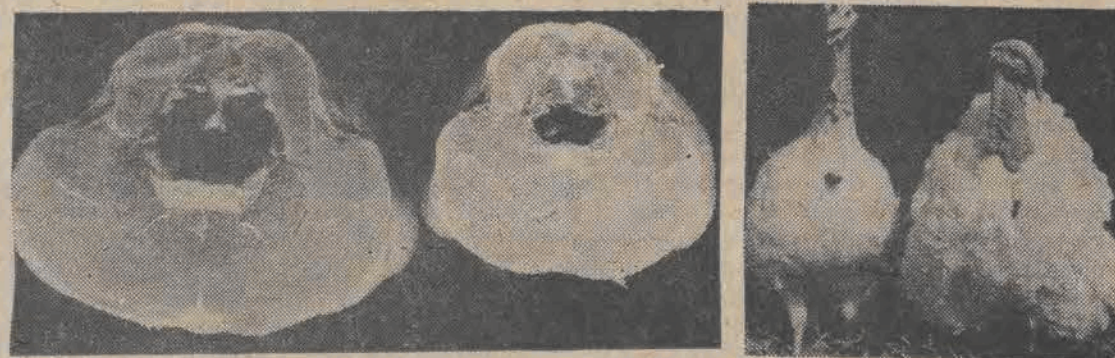
Z ciekawostek regionalnych można wymienić niewiarygodną ilość prywatnych i spółdzielczych punktów, w których sprzedaje się wyłącznie tzw. „zapiekanki”. Są to połówki bagietek, obficie posmarowanych topionym serem i obłożonych plasterkami pieczarek. Wszystko to zapiekane i oblane keczupem. W rezultacie wszyscy młodzi olsztynianie albo ildają ulicę jedząc „zapiekanki” albo właśnie stoją w kolejce, aby ten ciepły smakolok nabyć. To jest taki wyłącznie olsztyński szybki „Mac-Donald”.

Ale nie na tym tylko polega to szczególne wrażenie dobrych stron „amerykanizacji” miasta. Z całą świadomością piszę „amerykanizacji” bo jak wiadomo faceci zza Oceanu mają kupę dobrych pomysłów. Najważniejszym z nich jest szczególna relacja miasta i Kortowa. To Kortowo właśnie odległe o parę przystanków autobusu jest chyba jedynym w Polsce ośrodkiem przypominającym taki typowy campus stanowych uniwersytetów.

W pobliżu niewielkie miasto Olsztyn, a tam w Kortowie wszystko — instytuty, katedry, biblioteki, zakłady, domy studenckie, kluby, jezioro z przystanią AZS i co jeszcze ktoś jest w stanie wymyślić. Tam studenci żyją, mieszkają, uczą się, mają szybki i stały kontakt z kadrami naukowymi i wybitnymi profesorami. W rozmowach ze mną głośni specjaliści z Instytutu Hodowli i Technologii Produkcji Zwierzęcej wskazywali jedynostanowisko i entuzjastycznie na ten właśnie niepowtarzalny fakt: właśnie w takich warunkach wyodrębnione miasteczko uczelniane efektywnie i z wielką radością można pracować omijając wielkomiejskie klody pod nogi, zawiści i różne sprawy zbędne, a zabierające naukowcom czas.

ROBERT GLUTH

Czy indyki z Kortowa będą znosić złote jaja?



LAMIGŁÓWKA Z INDIKAMI

Po tych wszystkich niezbędnych obrazkach i wyjaśnieniach/trzeba przejść do meritum sprawy. Powiedzmy sobie od razu uczciwie, że podobną metodę wytworzenia nowych supermięsnych rodów indyjskich opanowała Kanada, a niektóre państwa najwyższej rozwinięte również, z poważniejszymi modyfikacjami, są bliskie tego tematu.

Nad całym polskim zagadnieniem zespół naukowy w Kortowie zaczął myśleć dokładnie w tym roku, kiedy czterdziesty prezydent postanowił zakończyć wielkoprzemysłową produkcję drobiu w Polsce. W takiej sytuacji bezsensownej restrykcji w szanującym się naukowcu rodzi się piekielny bunt. Ale naukowca opracowanie absolutnie nowych koncepcji musi trwać — metodami prób i błędów — szczególnie dlatego, że jako materiał wybrano drób trudny w pracy krzyżowej. Tak więc prof. dr hab. Andrzej Faruga i dr Jan Jankowski wspólnie ze swymi współpracownikami pierwsze ciche „eureka” wypowiedzieli na przełomie lat 1984—1985, a pewnością i wdrożenie praktyczne osiągnęli właśnie w 1985 roku.

Teraz uwaga — jak mawiał Erich Kaestner — nieco niezbędnej teorii, konieczne „potałdowanie mózdków” czytelnicy.

Wyjątkowo mieliśmy do czynienia z czterema gatunkami indyków krajowych, które dla uproszczenia nazwiemy A, B, C, D. Plusem gatunku A była solidna mięsność, a decydującym minusem mała ilość znoszonych jaj. Graniczny gatunek D jest raczej cherlawy ale z reprodukcją gatunkową u niego dobrze: niesie jaj sporo. Gatunki B i C są pośrednie.

I teraz przychodzi pierwszy etap naszych naukowców: Krzyżuje się samca A z samicą B, i równoległe samca C z samicą D. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to etap pierwszy jest zakończony.

W etapie drugim uzyskane z podanych wyżej krzyżówek osobniki — a więc już samca AB (to znaczy efekt poprzedniej krzyżówki samca A z samicą B) krzyżujemy z samicą CD. I teraz otrzymaliśmy piskle samca bądź samicy ABCD — grupujące na drodze selekcji wszystkie najlepsze cechy — mięsność, szybkość wzrostu i przyrost wagi przy przeciętnym karmieniu, dużą nośność, a więc wielką zdolność reprodukcji gatunkowej.

Uprzednio zawsze mogliśmy w Kanadzie podobnego pisklaka kupić za 7 dolarów od sztućki, przy czym — niezależnie od horrendalnej ceny — nie wiedziliśmy o takim pisklaku nic, ponieważ to nie my prowadziliśmy prace krzyżowe od samego początku i pytania o aklima-

tyzację, warunki przeycia, zdrowotność pozostawały bez odpowiedzi.

Oczywiście w szarym gmachu Instytutu Hodowli i Technologii Produkcji Zwierzęcej można wszystko wyhodować i określić w warunkach jednostkowych. Na to, aby można było mówić o sukcesie, musi się mieć zaprzyjaźnione przedsiębiorstwo, które weźmie pisklaka do tuczu, jaja do wylęgu, które będzie w skali masowej i w stałej konsultacji z naukowcami obserwować, ustalać optymalne warunki produkcyjne, utrzymywać stały kontakt z twórcami krzyżówek, sygnalizować jakieś nieprawidłowości, ustalać produkcyjny reżim hodowlany.

MESKA ROZMOWA

Któregoś pięknego dnia w 1985 roku odbyła się meska i brutalna rozmowa, w której wzięli udział prof. A. Faruga i dr J. Jankowski z Akademią oraz mgr R. Smoliński i mgr E. Miśturczyk — dyrektor i jego zastępca z Olsztyńskich Zakładów Drobiarskich. Padło pytanie dyrektorów:

wyższego urzędnika, lecz na osobę znającą perfekcyjnie temat i w dodatku zaangażowaną po uszy w problem.

Myślałem głośno:

— Przecież takie wspaniałe indy rozprze-strzone w hodowli ogólnokrajowej dadzą już w pierwszym etapie dziesiątki tysięcy ton mięsa. Nasz rynek, tradycyjnie związany z wlepszoną i wołowiną nie pochłonie takich ilości i otwiera się gigantyczna perspektywa eksportowa. Na jednej z grudniowych konferencji pewna dziennikarka zadała pytanie, czy za dziczyżne i koninę możemy otrzymywać ze strefy dolarowej wołowinę. Wtedy minister handlu zagranicznego roześmiał się i powiedział, że takie wymiany nie istnieją. Co najwyżej możemy liczyć na jagnięcinę. Ale przecież teraz mając supermięsne indyki o standardzie światowym możemy proponować je całkiem poważnie chociażby krajom Wspólnoty Brytyjskiej. Ale co tam Wspólnota! Przecież Argentyna, z którą mamy bardzo dobre stosunki jest w swojej tradycji, potrzebach kulinarnych i wielu przyzwyczajeniach nieprawdopodobnie zanglizowana.

To problem złożony, ale mający swoje początki w angielskiej pomocy w walce o niepodległość Argentyny na początku XIX wieku i późniejszej ekspansji gospodarczej. Dla Argentynczyka równie ważny jest befsztyk, jak dobry indor na święta, kiedy to tradycyjnie następuje prawdziwa rzeź tego ptactwa. A Argentyna była i będzie światową bazą wołowiny. I taka wymiana już istnieje. Więc nie można zamknąć całej hodowli w niewielkim województwie olsztyńskim, w jednym zakładzie — trzeba ją rozciągnąć na cały kraj. Tu liczy się czas.

CZEGO POTRZEBA DO POWODZENIA?

A na to inżynier Hallna: — Jeżeli chodzi o pewien okres niezbędny do wyłączenia produkcji w jednym zakładzie i w jednym województwie, to jest to uzasadnione koniecznością obserwacji, modyfikacji i ulepszeń. Ale nie — w tym cały problem. Indyk, proszę pana, ma swoje potrzeby, tyle że w odróżnieniu od kurczaków, będące w granicach naszych aktualnych możliwości. Tu trzeba przygotowania przedsiębiorstwa drobiarskich w zakresie pewnych inwestycji — odpowiednich indycarni legowych i tucznych, co jest sprawą w gruncie rzeczy banalną, wobec zysku, który już w tej chwili jest oczywisty. W grę wchodzi jednak przede wszystkim pasza. Musi pan sobie uświadomić, że ewentualnego zagranicznego nabywcę w tej chwili interesuje metoda „health — food”, a potem dopiero bierze pod uwagę walory smakowe. To właśnie metoda „h-f” decyduje na całym świecie o zawarciu transakcji. Chodzi o to, że tuzsz z serii proponowanej poddaje się ścisłym badaniom laboratoryjnym na zawartość określonych białek, witamin, składników mineralnych itp., a o tym decyduje jedynie to, w jaki sposób było zwierzę karmione.

Proszę sobie teraz wyobrazić przeciętną metodę tuczenia gospodarzy indywidualnych, a nawet w wielkich gospodarstwach rolnych na terenie kraju, gdzie różne składniki w różny sposób są rozdrabniane i miesane, a pozbawione specjalnych tańm żywieniowych trafiają w znacznym procencie pod pazury ptaka do gnoju. Poza tym wadliwie wymieszana karma jest spożywana wybiórczo przez ptaka. A czego potrzebuje indyk? Przede wszystkim soli, składników mineralnych, witamin oraz najwyżej białkowych zielonek — i to wszystko koniecznie powinno być podane w formie standardowego granulatu. Taki granulaty pakowane, opatrzone instrukcją karmienia musi być dostarczany hodowcom wielkim i małym równocześnie z piskletami tuczonymi. Innej drogi nie ma. Rynek na import soli mamy otwarty (między innymi Kampucza, Wietnam), wysoko białkowe zielonki uprawiamy, przedsiębiorstwo „Polfa” wypuszcza doskonałe preparaty „polfamir” z przeznaczeniem dla różnych zwierząt. Ten rok da nam sukces, albo zmarujemy szansę — w zależności od tego, czy powstaną przedsiębiorstwa granulatu tuczowego dla nowych indyków.

Ostatnią rozmowę odbyłem w Miejskiej Radzie Narodowej Olsztyna w starym ratuszu. To Radą, której nie podlega ani Kortowo, ani Zakłady Drobiarskie, tylko samo miasto Olsztyn. Spowodowałem tam małą „burzę mózgową” i uzyskałem coś w rodzaju zapatu do utworzenia bardzo dochodowego przedsiębiorstwa przez Urząd Miasta z inicjatywą Rady Narodowej. Naturalnie takie przedsiębiorstwo musiałyby zainteresować swoimi planami resorty handlu zagranicznego, rolnictwa, gospodarki żywnościowej i leśnictwa, a nawet przemysłu lekkiego i chemicznego. A jednym celem byłaby produkcja granulatu do tuczu nowych rodów indyjskich. Oczywiście nie wiem, czy w Olsztynie coś takiego powstanie. Jako stary sceptyk raczej wątpię. Ale gdzieś w Polsce powstaje to musi. Nie jedno przedsiębiorstwo, ale kilka. Marzy mi się taki Manfred Gorydowa, który przyjąłby oprócz swych licznych obowiązków rolę patrona nad taką imprezą.

Wszak nasze piękne indy nie powinny się żalownie doczekać czterdziestu biurokratów.

— Czy możemy liczyć na jakieś nakłady ze strony Akademii Rolniczej?

— Nie, bo skąd.

— Jakie zyski osiągniemy w wypadku powodzenia?

— Praktycznie nieograniczone jak na nasze warunki.

— Czym ryzykujemy w razie niepowodzenia?

— Stolkami dyrektorskimi.

I w ten sposób Olsztyńskie Zakłady Drobiarskie przyjęły pierwszą w Polsce i na razie jedyną przemysłową realizację tuczu nowych rodów indyjskich.

WĄTPLIWOŚCI

Rankiem trzeciego dnia obudziłem się w hotelu z piekielnym uczuciem niedosytu. Co ja tu robię? — zapytywałem się. Czy ty Gluthna sto kilkadziesiąt opublikowanych reportaży teraz usiądziesz i napiszesz stu procentowo pozytywny kawałek? Przecież takich cudów u nas w kraju nie ma. Nawet, gdy pomogąłem budować „Drugą Polskę” i zakochany w Porcie Północnym relacjonowałem kronikę jego budowy, to przecież pisałem przy okazji o strasznej dewastacyjnej roli sąsiedztwa prymitywnej bazy załadunkowej „Siarkopolu”, która niszczyła roślinność na całych kilometrach, a u większości budowniczych Portu powodowała chroniczne zapalenie spojówek. Przecież coś mi mówi, że w całej historii Akademii Rolniczej nic nie pójdzie gładko, że już nie idzie gładko...

I w całkowitej konspiracji przed konkurencją udałem się jeszcze w dwa miejsca.

Przywożem ze sobą dwa bardzo ważne zdjęcia, o których wzmianka do tekstu reportażu prosi sekretarza redakcji, ponieważ czytelnicy „Odgłosów” powinni wiedzieć te rewelacje. Na jednym zdjęciu są dwa przeciętne okazy wyhodowane w Olsztyńskich Zakładach Drobiarskich. Każdy kto choć raz widział w życiu indyka, stwierdzi niespotykane cechy tych okazów: krótkie nogi, szerokie pierś, potężna wielkość — a to wszystko po paru tygodniach tuczu. Drugie zdjęcie przedstawia poprzeczne przekroje tuzszek przedstawicieli nowych rodów indyjskich. Bardziej one przypominają szynkę niż mięso drobiowe; są jasne, zwarte i nie zawierają prawie w ogóle tłuszczu. Nad tymi zdjęciami usiedliśmy z panią Inż. Haliną Dębowską — starszym inspektorem z Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie. Miałem szczęście, że nie trafiłem na żadnego

R. G.



Fowładała mi babka luta,
W koromysło ze złości zgięta:
— Nie usypiać ci-lulać dzieciątka,
Nie wybielać ci przedzy utkanaj,
A królować ci — popod plotami,
A całować ci, wnuczko — kruka.

Jako chmurka siwa zbiełalam:
— Naszykujcie gniezeczko białe,
I zrebaczka wronę nie gońcie,
Ani wódki do cerkwi nie noście,
Jeno mnie pod jabłonką kładźcie,
Bez modlitwy i bez kadzida.

W pas dam pokłon, podziękowanie,
Za poradę i łaskę carską,
Za sakiewki za twoje próżne
I za pieśni twoje kałorżne,
Za hańbę i bunt — po polowie,
Za miłość za twoją surową.

Jak uderzą sowna dzwony,
Tak wywleka mnie czarci z domu,
Przy pucharze, com z tobą go piła,
— I przy Bogiem rzekne, — com mówiła:
Miłowałam cię, kochanecka,
Więcej sławy, więcej słoneczka.

1 kwietnia 1916

Z cyklu: Zaspę

Już się zaspę podęstały,
Już się pora rozstać,
Żegnaj, ciszo-twej-nawały,
Przytulstwu nieobca.

Wrzeczion furkocących carswo,
Wilków białych wściekłość,
Trzemowa zaspę, bojarska,
Gościniec szlachecki.

Białokamienny, przysiany,
Dla brata, dla siostry,
Już się podęstały zaspę,
Już się pora rozstać.

Ach, w rozstania, w złość, w rozwoły —
— Szerokachne wrota!
Żegnaj, śniegu, zim darmowych
Rozkoszy sierości!

Żegnaj, tracie niezsany,
Orłów białych świto!
Grzechu, śnieżkiem przyspany,
Wśród śniegów rozmyty.

Wielbiadzińska-garby-garbeca,
Żegnajcie, domowcy!
Już się podęstały zaspę,
Już się pora rozstać.

Golcom dłuży się miłpnie
Dawieczny dzień wiosenny:
Zamieć — strzechą-naszą-pościel,
Głowy przytulenie!

Gryzie cały dzień, wścieklica,
Ziarnka lodowicy,
Drzazga, dryzga, roziazcznica,
Jaika, okrutnica.

Rzemień — dzień, a nocka maia,
Niczemu nie sprostać...
Już się zaspę podęstały,
Już się pora rozstać...

W ręce dwie — za obie biore:
— Nie oderwać mi się?
W ręce dwie — z jam-dziur-wybojów —
Faciorci perliste.

Odtajniłona, odtajnia,
Droga strugom się sprzedała,
Ej, uciekły wroźby miłe
Przez zaspę pochyle.

Nie patrz, że się łyż polaty:
Okaze się — rosa!
Jeśli zaspę się usłaly —
Pora nam się rozstać!

12 marca 1922

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK



E. Żegin. Portret żony, Ołówek 1938.

8 ODGŁOSY

Trudno mówić o takim bezmiarze,
jakim jest poeta. Skąd zacząć? Gdzie
skończyć? I czy można w ogóle za-
czynać i kończyć, jeśli to, o czym
mówię — Dusza — jest wszystkim —
wszędzie — wiecznie.

Dlatego ograniczę się do spraw osobistych, a
a nich najważniejszej, tej, bez której Balmont
nie byłby Balmontem.

Jeśliby trzeba było przedstawić Balmonta jed-
nym słowem, nie zastanawiając się powiedzia-
łabym: „Poeta”.

(...) Nie powiedziałabym tak ani o Jesieninie,
ani o Mandelsztamie, ani o Majakowskim, ani
o Gumilowie, ani nawet o Bloku. Bo w każdym
z nich, prócz poety, było coś jeszcze, coś więk-
szego bądź mniejszego, lepszego bądź gorszego,
ale coś jeszcze. Nawet w Achmatowej była je-
szcze — modlitwa — poza wierszami.

W Balmontcie za to, prócz poety, nie ma ni-
kogo. Balmont — poeta: ekwiwalent. I dlatego,
gdy jego domownicy na pytanie o niego od-
powiadają: „Poeta śpi” czy: „Poeta wyszedł
po papierosy” — nie ma w tym niczego śmie-
sznego czy pretensjonalnego, bo właśnie poeta
śpi, i sny, które śni, są snami poety, i właśnie
poeta i nikt inny wyszedł po papierosy, i w
to nie wątpiłby żaden sklepikarz, zobaczywszy
go przed ladą.

Na każdym Balmontowskim gościu, słowie,
jest piętno — pieczęć — gwiazda — poety. (...)
Weźmy realia. Balmont jest od nich całkowi-

— Boisz się mnie? — Heleno, Marina mówi,
że się mnie boi. I jest mi to miłe. Marino, to
mi pochebia: taka Amazonka — a boi się mnie.
(Nie ciebie, drogi, bałam się, a — choćby
przez chwilę — rozczarowania. Przecież fajka
nabita była — miłością).

Balmont zawsze oddawał mi ostatnie, co
miał. Nie tylko mnie, wszystkim. Ostatnią faj-
kę, ostatnią skórkę chleba, ostatnie polano. O-
statnią zapalną.

I nie z litości, lecz z wielkoduszności. I wro-
dzonej szlachetności.

Bóg nie może nie dać. Król nie może nie
dać. Poeta nie może nie dać.

Ale tym mniej umiał — przyjmować. Pa-
miętałem takie zdarzenie: Przychodzi z miasta
— podeksycytowany i rozstrojony, nie on.

— Marinal! Helenal! Mirral! Zrobiłem dzisiaj
rzecz straszną, cudowną rzecz — i teraz się
kajam.

— Kajasz się?

— Tak. Idę przez Woichonkę i słyszę, że ktoś
mnie wola — kobiecy głos. Patrzę — w samo-
chodzie kobieta, szykowna, przystojna i mło-
da, jak ta piękna Szwedka, z którą — pamię-
tasz, Heleno? — spędziłem czarowny wieczór
na statku. — Ona! Podjeżdża samochodem.
Wsiadam. Rozmowa. Pamięta wszystko, każde
moje słowo. Podeksycytowana. Ja też. Czas pły-
nie. I nagle widzę, że jesteśmy już daleko, to
znaczy, oddaliłem się bardzo od domu — bez-
powrotnie. A ona, wzięwszy mnie za rękę i za-

MARINA CWIETAJEW

Słowo o Balmontcie

cie i w najwyższym stopniu wolny, tak samo,
jak w swoich rozmowach na tematy prakty-
czne. „Marino, przyniosłem ci moneta”. Pje-
niadze dla niego to właśnie „moneta”, nawet
marme papierowe banknoty to dla niego czer-
wońce. A do franków i rubli po prostu się nie
zniał. Powiem więcej: w ogóle nie zbliżał się
do życia.

Clammart, przedmieście Paryża, dwa lata temu.
Spotykam Balmonta po dość długim nie-
widzeniu, na głównej ulicy, nieuniknionej na
każdym przedmieściu, z bezosobową nazwą rue
de Paris (wariant: rue de Republique). Ra-
dość, uścisk dłoni, wyrzuty, że nie widzieliśmy
się tak długo, zdziwienie, jak mogliśmy żyć tak
długo bez siebie... „Jakże żyłeś przez cały ten
czas? Że?” — „Marino! Byłem absolutnie szczę-
śliwy: spędziłem dwa miesiące w starożytnych
Indiach.”

Był tam. I to bez reszty.
Z Balmontem wszystko jest jak w bajce.
„Bogate są drogi życia” — powiedział kiedyś w
„Szytych gór”. „Tak, jeśli iść po nich z Bal-
montem” — dodam.

Słyszę często o Balmontowskiej górnolotności.
Tak — w pozytywnym, pierwotnym znacze-
niu tego słowa.

Balmont sżybuje na wysokościach i nie chce
się zniżać. Nie chce, czy nie umie? Powiedzia-
łabym, że ziemia pod nogami Balmonta zawsze
się unosi, to znaczy chodził on po pierwszym,
niskim niebie ziemi.

Kiedy Balmont jest w pokoju, to w pokoju
robi się — strasznie.

Zaraz objaśnię.
W życiu od urodzenia nie bałam się ni-
kogo. Oprócz dwójga ludzi: księcia Siergieja Mi-
chajłowicza Woikońskiego (do niego i o nim —
moje wiersze „Uczeh”) — i Balmonta.

Bałam się, boję się, i szczęśliwa jestem, że
się bałam.

Co oznacza „boję się” dla takiego wolnego
człowieka jak ja?

Moje „boję się” — to strach, żeby nie skom-
promitować się, nie zaszkodzić sobie, nie stracić
w oczach — wyższego. Ale co mają wspólnego
księża Woikoński i Balmont? Nic, oprócz
mojego strachu. Strachu, który jest — zachwy-
tem.

Nigdy nie zapomnę pewnego zdarzenia.
1919 rok. Moskwa. Zima. Jak zwykle zaszłam
do Balmontów. Balmont z zimna leży w poście-
li, w damskiej chuście w szkocką kratę.

Balmont:
— Oczywiście chciałabyś zapalić?

Ja:
— Niekoniecznie... (A dusza tęskni).

— Masz, ale pal uważnie; fajka nie znosi
postargnienia. Najważniejsze — nie rozmawiaj.
Potem porozmawiasz.

Siedzę i gorliwie ciągnę, nic nie wyciągając.
Balmont, radośnie:
— Przyjemnie?

Ja, nie mniej radośnie:
— M-m-m...

— Kiedy weszłaś, miałaś w twarzy taką tęsk-
notę, Marino, że od razu pojąłem, że dawno
nie paliłaś. Pamiętam, raz na Pacyfiku...

Opowiada. Nic nie wypalwszy, ciągnę dalej
w śmiertelnym strachu, że Balmont w końcu
zauważy iluzoryczność mojego palenia: cień
wojownika pali cień fajki, nabitej cieniem li-
ścia tytoniowego, i sama ja — jak w hinduskim
życiu pozagrobowym.

— No, teraz się napaliłaś. Daj fajkę.
Daje.

Balmont, widząc, że tytoni jest nienaruszony:
— Ale ty nic nie wypaliłaś?

Ja:
— Nie... tak, troszkę...

Balmont:
— Ale przecież zgasiła, a ty jej nie zapaliłaś?
(Sprawdza fajkę). Za mocno ubiłem. Marino, z
miłości do ciebie nasypałem do niej tyle, że nie
mogła się palić. Fajka była nabita — miłością.
Biedna Marina. Dlaczego nie mi nie powiedzia-
łaś?

— Bo się ciebie boję.

rumieniwszy się — po korzonki włosów na głowie
— tak rumienia się tylko kobiety Północy:
— „Konstanty Dmitrijewicz, proszę mi powie-
dzić otwarcie i wybaczyć, że pana pytam: —
Jak się panu powodzi, czy nie mogłabym w
czymś... Mam wszystko, mąkę, tłuszcz, cukier —
na dniach wyjeżdżam...”

I wtedy, Marino zrobiłem rzecz straszną: po-
wiedziałem „Nie”. Powiedziałem, że mam
wszystko, Marino — wyrwało się to ze mnie
jak oddech. Dlatego, że w tamtej chwili mia-
łem rzeczywiście wszystko: wspaniały samo-
chód, uroczę sąsiedztwo młodego, miłego i szla-
chetnego zjawiska — miała zupełnie złote wło-
sy — nie jechaliśmy, a szymbali... I nagle —
mąka, tłuszcz? Jak można było zabijać radość
takiego spotkania? A potem było już za póź-
no. Marino, przysięgam ci, dziesięć razy chcia-
łem jej powiedzieć: „Taki! Taki! Taki! I mąkę,
i tłuszcz, i cukier, i wszystko!” Dlatego że nie
nie mam. Ale nie mogłem! Wykluczone. „Wiec
niech pan przynajmniej pozwoli się podwieźć
do domu. Gdzie pan mieszka?” — i zaraz, Mari-
no, zrobiłem następną rzecz nie do naprawie-
nia: powiedziałem: „Właśnie tutaj”. I wysiad-
łem na środku Pokrowki. I nieoczekiwanie po-
całowaliśmy się. To wszystko działo się pod
wieczór. I teraz już wszystko skończona, na
zawsze, bo nie dowiedziałem się, gdzie ona mie-
szka, a ona nie wie, gdzie ja. (...)

Często słyszałam o pozie Balmonta. Nawet
od literatów. Nawet od dobrych. Zaczęło od ge-
neralnego sprzeciwu raz i na zawsze: po pierw-
sze, nie ma przed kim pozować na poe-
tę. Gdzie są jego portrety? Po drugie, nie ma
po co: jest na tyle zauważony, że pierwszym
jego powszechnym życzeniem jest — przejść
niezauważonym.

„Chciałbym nie być Walerym Briusowem” i
„Cate życie być chciałem, jak inni” — Borys
Pasternak. Jeśli już stawał w pozie — to od-
wrotnie: nie wyróżniającej się, ogólnochronnej
barwy.

To, co tak często biorą za pozę, jest tylko na-
tura poety, dzwina dla przeciętnego człowieka,
jak na przykład nosowa „an” i „en” Balmonta.
Tak, wymawiał je inaczej niż inni, tak, jego
„en” i „an” mają tchrdy pomruk, lecz nie
tylko mówi inaczej, chodzi też inaczej, cały jest
— inny. Byłoby dziwne, jeśliby jego wymowa
była taka, jak u wszystkich — jego, który do
najwykolejszego słowa zawsze wnosi coś szcze-
gólnego.

Oprócz tego, w poecie śliniej niż w kimkol-
wiek innym odzywa się krew: przodkowie. (Nie
śląbiej niż w owczarku).

Litewskie źródła — oto, czym w równym
stopniu co liryczną odmiennością objaśnia się
„poza” Balmonta.

Sposób osadzenia głowy? Ależ tak osadził
mu ją Bóg. Nie może pokornie nosić głowy
człowiek, który mając lat dwadzieścia napisał:
Pamiętam, i widzę, i tajne wiem drzenie,
I znam, kiedy burza nadchodzi.

I gdy komu w oczy skieruję spojrzenie,
Ow nagle — przysiania swe oczy.

Stąd — spojrzenie Balmonta, również nieu-
straszzonego nie widziałam w życiu. Raczej: ze
spojrzenia — wiersze. I jeszcze: to, co słowami
perskiego poety wyraził słonecznik: „Wysoko
głowę nosi ten, kto często spogląda w słońce”.

I jeszcze jedno: poza przeciwna naturze. A
oto słowa Balmonta o naturze w ważnej i na-
wet okrutnej chwili jego życia. Dwa lata temu.
To samo Clammart. Balmont skarzy się
na wrok: skacze, ciemnieje, tańczy... Bierze
ode mnie książki tylko z grubym drukiem.

— André Chenier. Dawno marzyłem o tym
spotkaniu. Ale mój przyjaciel wydawca z 1930
roku nie liczył się z moimi oczami 1930 roku.

Dzień słoneczny. Stoimy przy mojej furcie.
— Marino, nie uważaj mnie za głupca. Ale je-
śli sądzono mi oślepnąć — i to przyjmę. Bo
to natura. A ja zawsze żyłem podług jej praw.

I podniósłszy twarz do słońca podstawił
ja słońcu gestem kapłana-żery (ale już i ślep-
ca):

— Ślepotą to dziwnie nieszczęście... I... (ta-
jemniczo) nie jestem sam: Miałem wielkich po-
przedników: Homer, Milton... (...)

Kończąc, opowiem o pewnym zdarzeniu.

Wiosna ubiegłego, 1935 roku. Początek cho-
roby Balmonta. Clammart. Chciałabym zapytać
o jego zdrowie, ale nie decyduję się zająć, bo
mam kwadrans, a jeśli wejdę — wyjść nie
można: Balmont po prostu nie puści. Dlatego
proszę znajomą, przy czym dość daleką, która
odwiedziła mnie, a Balmonta nigdy nie widzia-
ła, żeby weszła tylko i spytała jego żonę, jak
się czuje. A ja czekam z mężem tej pani (ona,
nawiasem mówiąc, jest lekarzem in spe) i je-
go owczarkiem na placyku, minucie drogi od
domu Balmonta.

Stoimy i czekamy. Mija dziesięć minut. Mija
piętnaście. Jej nie ma. Minęło pół godziny —
nie ma.

— Wiec ja pojde... Marino Iwanowna, proszę
przypilnować psa, zaraz wróce. A jakie jest jego
imię i patronimik?

— Konstanty Dmitrijewicz.

Stoję sama z cudzym owczarkiem. Stoimy,
ja i cudzy owczarek, i czekamy. Minęło dziesięć
minut, piętnaście minut, dwadzieścia minut
(już od dawna jestem wszędzie spóźniona) —
minęło czterdzieści minut. Jak w bajce: po-
szedł jeden, za nim drugi, za drugim trzeci —
pierwszy zniknął — za pierwszym zniknął i drugi,
za drugim trzeci. Zaczynam już zastanawiać
się, czyby nie posłać na zwłady owczarka —
i to tylko tak mówię, że stoimy: owczarek by-
najmniej nie stol, skacze, wyrwa się — i na-
głe zrywa się razem z ręką i ze smyczą: do
pani.

Ja, biegiem, za nim:
— O co chodzi, proszę państwa, na miłość
boską! Co się stało?

— Ależ nic, Marino Iwanowna. Wszystko w
porządku — jest zdrowy i w doskonałym na-
stroju.

Ja:
— Ale dlaczego tak długo nie wychodził?
Wszędzie jestem spóźniona — minęło czter-
dzieści minut.

Oboje równocześnie.
— Czterdzieści minut? Niemożliwe! Proszę
wybaczyć, słowo daje, wcale tego nie zauważy-
liśmy. Tak się ciekawie z nim rozmawia, w
życiu nie spotkałem takiego człowieka. Zaraz
mnie spytał: „Pan jest byłym oficerem?” Ja:
„Tak”. — „Szczanie każdego żołnierza, ale nie-
nawidzę wojny”. Potem zapytał mnie — gdzie
byłem po wojsku. Mówię — w Bułgarii. Jak za-
czął o Bułgarach — zadziwiająco i że nasze pi-
śmiennictwo stamtąd, i nawet chrześcijaństwo,
i w ogóle ciekawy naród. I że nieciekawych
narodów nie ma. Każdy naród jest ciekawy; i
dlatego — wyjaśnił mi to. I o prostym lu-
dzie... Ze i lud jest ciekawy. A jeśli nie jest
ciekawy, to znaczy, że to nie lud, tylko tłum.

I książkę mi podarował — o Bułgarii — uz-
nał mnie właściwie za Bułgarkę. A jaki ma po-
rządek na półkach, Marino Iwanowna. Podszedł
i od razu sięgnął — jakby dziobem dziobnął.
Tu nie wytrzymałem: „A ja Konstanty Dmi-
trijewicz, prawdę mówiąc, myślałem, że u
pisarzy jest — chaos”.

„To, mój szlachetny przyjacielu, mówi, zło-
śliwe plotki, które rozpowszechniają niekul-
turalni ludzie, pozbawił mi sumienia. Żeby było
jasno w głowie — powinno być jasno i na
stole. A jeśli i w głowie jasno, to i na stole
jasno”. I zaczął od pierwszych dni stworzenia:
światło od ciemności i ład od wody... Pierwszy
porządek. I wymienił pewnego greckiego filozo-
fa: cyfry i gwiazdy... Nie siedziałem w filozo-
fii, ale pojąłem od razu. Myślałem: poeta umie
tylko o wierszach mówić — gdzie tam. Wszy-
stko wie, jakby w nim stu profesorów siedzia-
ło — i to jakich. — Po prostu od razu, bez znu-
żenia, każde słowo widział przed oczami...
(Zwracając się do żony). Oczywiście — to wa-
sza lekarska sprawa — nie znam się na cho-
robach (jestem zdrowy, Marino Iwanowna, jak
niezdowiedz — nawet żaby mnie nigdy nie
bolały) — ale na zdrowy rozum — nie ma tam
żadnej choroby umysłowej, daj Bóg i nam na
starość taki jasny umysł.

Ona:
— A jaką piękną ma głowę! W korytarzu
ciemno, stanął w progu pokoju, za plecami ma
światło, twarzy nie widać, tylko blask wokół
głowy. Z początku nie chciałem wchodzić, tak
jak mi pani powiedziała, zawołałam po cichu
Helenę Konstantynownę, stoimy na schodach,
szepczemy. I nagle — głos:
— Szyssz nieznany głos. Żeński szepc. Kto
przyszedł?

Wypadło mi wejść. Tłumaczka: Marina Iwa-
nowna poprosiła mnie, żebym weszła i dowie-
działa się, jak się pan czuje, i czy panu czego
nie trzeba — sama nie może przyjść...

A on tak uprzejmie:
— Proszę, proszę wejść, zawsze rad jestem
gościom, a zwłaszcza od Mariny.

I otworzył przede mną szeroko drzwi, prze-
puszczając mnie z takim dobitnym szacunkiem.

A jaki on młody! Oczy zupełnie młode, jasne,
i takie śmiałe. Myślałam, że jest blondy-
nem, dopiero potem zobaczyłam, że jest siwy.
I taki inny: pełen prostoty i jednocześnie uro-
czysty. Od razu mi serce zabiło i do tej pory
tak bije. A jaki ma porządek na stole. Książki,
zeszyty — wszystko pod szmurek, ołówki za-
strzone, kalamarz i tni, nigdzie ani jednego pa-
pierka. Zaczął mówić o pani: „Nigdy nie mia-
łem siostry. Ona jest moją siostrą”. Wspomniał,
jak żył w radzieckiej Moskwie, jak pani
zubiła klucz od mieszkania i nie odważyła się
go niepokoić — i tak przenoceowała na scho-
dach.

Czytał nam wiersze — zadziwiająco, o Biebie-
-Jedzy, o tchórzu i Rosji... Najpierw z pamięci,
a potem z zeszytu. Chciałam ponatrzeć — po-
zwolił. Jak zlotogłów. Jak wydrukowane.

Zadedykował i podarował mi tomik. Ten.

Stoimy na placyku: przyszła lekarka, były ofi-
cerek, siwy owczarek i ja — czytamy wiersza.
Nim się ockniemy — minęło jeszcze czterdzie-
ści minut. (...)

Miną lata. Balmont jest literaturą, a literatu-
ra jest historią... (...)

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

1936

Z półki recenzenta

DZIEŁO MOCHNACKIEGO

Po pięćdziesięciu przeszło latach otrzymujemy wznawienie dzieła Maurycego Mochnackiego pt. „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym”. Jest to książka znacząca i ważna nie tylko w całym naszym dorobku historycznoliterackim, nie tylko dlatego, że zapoczątkowała przed półtora wieku nowy etap w historii myśli polskiej, ale jej znaczenie polega przede wszystkim na tym, iż po dziś dzień zawiera w sobie treści i sady nadal aktualne.

Mauryce Mochnacki: O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym. WŁ 1985. Str. 168. Cena 150 zł.

O KONKURSACH CHOPINOWSKICH

Kiedy zrodziła się myśl o zorganizowaniu konkursu Chopinowskiego? Co legło u podstaw tej pięknej inicjatywy? Kim byli pierwsi laureaci? Na te i wiele innych, również interesujących pytań można znaleźć odpowiedź w pasjonującej książce Jerzego Waldorffa pt. „Wielka gra. Rzecz o konkursach Chopinowskich”. Całość poprzedza studium o życiu i twórczości wielkiego polskiego kompozytora, zamyka zaś zestaw kompozycji Fryderyka Chopina. Reszta — to relacje z dziesięciu kolejnych zmagani pianistów z całego świata, rzecz o wielkich i wybitnych artystach, no i oczywiście o muzyce.

Jerzy Waldorff: Wielka gra. Rzecz o konkursach Chopinowskich. Iskry 1985. Str. 116. Cena 200 zł.

„RAPORT Z LASU” RÓŻEWICZA

Książka, o której mowa, jest niezwykła z dwóch powodów: po pierwsze — napisał ją znakomity poeta Tadeusz Różewicz, po drugie — napisał ją w 1944 roku, kiedy jako młody chłopiec trafił do oddziału AK. I żeby chronologii i prawdziwie historycznej stało się zadość należy odnotować, iż „Echa lesne” zostały wydane początkowo na powielaczu i dopiero po 42 latach pojawiają się w normalnym wydaniu książkowym.

Wnikliwy obserwator, wrażliwy poeta, odważny żołnierz — notuje Różewicz codzienne zdarzenia, jakimi żyje jego oddział. A więc konspiracja, aresztowania przyjaciół, nocne marsze, obozowe życie, walki z wrogiem, śmierć... Nie jest to suchy, kronikarski zapis, lecz przetworzone poetycko relacje z wydarzeń, jakich był świadkiem i uczestnikiem.

Dla mnie osobliście „Echa lesne” są dokumentem. Ważnym przyczynkiem do dziejów narodowych, jeszcze jednym zapisem faktów z najnowszej historii i rzetelnym świadectwem „czasów pogardy”.

Całość jest uzupełniona fotografiami rodzinnymi autora oraz wykonanymi w czasie pobytu w jednostce bojowej AK.

Tadeusz Różewicz: Echa lesne. PIW 1985. Str. 74. Cena 120 zł.

PIORUNUJĄCA MIESZANINA

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazał się zbiór wierszy, ballad, bajek, fraszek, limeryków, parodi i humoresk Igora Sikiryckiego pt. „Piorunująca mieszanka”. Z dwu członów tytułu jedynie drugi odpowiada prawdzie. Igor Sikirycki był przede wszystkim autorem książek dla dzieci i Humaczem. Ale jak większość piszących — w chwilach odprężenia lub zwyczajnie dla zabawy — tworzył owe ulotne, niekiedy z przerwaniem dla szuflady utwory „niższego lotu”. Z czasem okazało się, że jest tego sporo, a zebrane razem mogą stanowić zupełnie udaną publikację świadcząca na korzyść autora już zaszufladkowanego przez krytykę i czytelników jako pisarza dla dzieci. Taką właśnie przygodą literacką zdarzyła się Igorowi Sikiryckiemu.

Całość uzupełniają ilustracje znakomitego rysownika Stanisława Ibis-Gratkowskiego tworzące z tekstem logiczną całość kompozycyjną.

Igor Sikirycki: Piorunująca mieszanka. WŁ 1985. Str. 176. Cena 100 zł.

E. I.

Tak złego przedstawienia dawno nie oglądałam! Przeproszam, że już na początku zamieszczam ocenę, co w porządnej recenzji zdarzać się nie powinno, ale muszę dać upust emocjom, aby w miarę spokojnie przystąpić do omówienia przedstawienia „Balkańskiego szpiega” Dušana Kovacevića w Teatrze Nowym. Zaczynamy od dramatu. Jego bohater Ilija to współczesny jugosłowiański obywatel. Te określenia „współczesny” i „obywatel” są ważne, bo sytuują Iliję w warunkach politycznej Europy, ściślej w tej jej części, do której zawędrował socjalizm, z wciąż powtarzającymi się okresami „bledów i wypaczeń”, ciągłą wery-

fikacją i zmianą kierunków polityki, niepewnością stanu istniejącego. Ilija jest „zwykłym szarym człowiekiem”, jak sam o sobie mówi, a jest to określenie, które rozumiemy doskonale, kryje się pod nim przeciętność myśli, czynów i potrzeb, ale nawet ta przeciętność, a może ona przede wszystkim, wymaga minimum komfortu — poczucia bezpieczeństwa, a tego warunki, w których przyszedł na świat Ilija nie zapewniają. Ze swojej dość typowej młodości (pobyt w więzieniu w 1946 r.) wyciągnął również typowe, dla swojej mentalności „szarego człowieka”, wnioski. Raz ukarany za nienadanie się za zmianami, za nieumiejętność dostosowania swoich poglądów do nowo zaistniałych, gwoli zapewnienia sobie spokoju „idzie z duchem czasu”. Lecz nie jest to jego świadomy wybór. Działa na zasadzie psa Pawłowa, którego zakodowano kiedyś system zachowań mających go uchronić przed batem. Nie jest człowiekiem myślącym logicznie, jest mechanizmem reagującym na czerwone światło, puszczające w ruch taśmę z nagraną DOKTRYNĄ. A taśma tkwi w nim, w Iliji.

„Balkański szpieg” i łódzkie nieporozumienie

potrzebnie gubi swoją wagę. Żywcom „z życia wzięty” materiał — kłopoty z zaopatrzeniem, z utrzymaniem pracy czy mieszkania, przytaczane z porównawczym przybliżeniem oka — „wiemy o co chodzi” — sloganem rodem ze sklepowego ogonka. Cały ten literacko nie opracowany, a wygłaszany z rozrzuconą obfitością stek komuniów, to „perskie oko” w stronę publiczności robi z dramatu mieszaninę dość niesmaczną i tanio grającą na pozartystycznych emocjach widowni. Być może dodaje to dramatowi pikantności, ale raczej tej w złym guście i pozbawia go skutecznie ostrości groteski.

Realizm jest w grotesce niewątpliwie konieczny, lecz słuszny. Ale oczywiście nie realizm rozumiany jako aktualne realia, z kłopotami ze zdobyciem zarobku, w tym kierunku, nie dorazna publicystyka. Niestety, realizacja „Balkańskiego szpiega” w Teatrze Nowym poszła w tym kierunku. Akcenty położono właśnie na owe „społeczne bolączki”.

Realizm jest w grotesce niewątpliwie konieczny, lecz słuszny. Ale oczywiście nie realizm rozumiany jako aktualne realia, z kłopotami ze zdobyciem zarobku, w tym kierunku, nie dorazna publicystyka. Niestety, realizacja „Balkańskiego szpiega” w Teatrze Nowym poszła w tym kierunku. Akcenty położono właśnie na owe „społeczne bolączki”.

Realizm jest w grotesce niewątpliwie konieczny, lecz słuszny. Ale oczywiście nie realizm rozumiany jako aktualne realia, z kłopotami ze zdobyciem zarobku, w tym kierunku, nie dorazna publicystyka. Niestety, realizacja „Balkańskiego szpiega” w Teatrze Nowym poszła w tym kierunku. Akcenty położono właśnie na owe „społeczne bolączki”.

Zamiast recenzji

Spotkanie ze Starym Teatrem

Po niedawnej wizycie teatrów warszawskich — „Ateneum” i „Powszechnego” odwiedził Łódź znany w całym kraju od wielu lat Stary Teatr z Krakowa, któremu udostępnił scenę Teatru Wielkiego, zarówno ze względu na pobyt zespołu za granicą, jak i dla pojemności widowni.

A jednak występy gości z Krakowa nie wzbudziły spodziewanego zainteresowania, czego raczej nie można było przewidzieć, choćby ze względu na popularność całej plejady świetnych aktorów i wielkie nazwisko tragicznie zmarłego Konrada Swinarskiego, który przed kilkunastu laty wyreżyserował głośne przedstawienie „Wyzwolenia” Wyspiańskiego. Na żadnej z obu sztuk nie było takiego ścisła, jak na teatrach warszawskich, i jeśli wolno się pokusić o jakieś wnioski, to chyba tylko o taki, że wielka polska klasyka nie jest obecnie dla polskiego widza najbliższym magnesem, jeśli jej realizacja nie zawiera elementów sensacji czy to artystycznej, czy zwłaszcza politycznej.

Po prawdziwie, przedstawienie przygotowane przed kilkunastu laty, grane kiedyś wiele razy a teraz wznawione po długiej przerwie, jest, przynajmniej w dzisiejszym swoim kształcie, „nadzorowanym” przez Annę Polony, niezbyt porównując, wiecie od niego akademickim chłodem. Owszem, racja autora wyinterpretowane przez reżysera, brzmią dla wielu z nas jak najsluszniejsze, ale nie rozpalają namiętności.

Przedstawienie Swinarskiego, mimo pewnych, zbyt natrętne chyba rozgrywanych służy do innych polskich sztuk (jak choćby Konrad w szpitalnym łóżku Kordiana), co trochę sprzeczne widza na manowce, stanowi w sumie poważny i głęboki przewód myślowy, odnoszący się do spraw i postaw, które ciągle jeszcze nie odeszły z naszego życia w prze-

szłość. Dodajmy iż rolę Konrada — JERZEGO TRELI, Reżysera — EDWARDA LUBASZENKI, Muzy — ANNY POLONY, Karmazyna i Holyjsza — WIKTORA SADECKIEGO i JERZEGO RADZIWIŁOWICZA, dają przykład solidnego aktorstwa, charakteryzującego się zgodzie z krakowską tradycją teatralną, powściągliwym umiarem w ruchu i gestyce oraz kulturą słowa. Dobrze się więc stało, że mogliśmy tę sztukę w tym kształcie obejrzeć, mimo iż marzenia o „teatrze ogromnym”, na tej scenie i na tej widowni zostały z przesadą zaspokojone, co nie wyszło spektaklom na zdrowie.

Chyba niewiele lepiej postużyły warunki naszego Teatru Wielkiego temu rodzajowi widowiskowości, która reprezentuje sztukę Tadeusza Bradeckiego pod niedysyjszym tytułem: „Wzorec dowodów metafizycznych, to jest ostateczne rozwiązanie kwestii diabelskiej, czyli tragiczna historia doktora Faustusa...”

Swoistego smaczku całej opowieści przydaje niepewność gdzie w tej sztuce, rozgrywanej na zasadzie teatru w teatrze, kończy się inspiracja historycznych zdarzeń, a zaczyna czysta fikcja. Czy car przybył na kurację do (rzeczywistego) Bad Pyrmont i był widzian na przedstawieniu angielskiej trupy teatralnej, wystawiającej sztukę o Faucie napisaną przez wybitnego filozofa Wilhelm Lebniza. Czy autor dzieła pt. „Wzorec dowodów politycznych” popelnit również sztukę dla forsowania swoich filozoficznych koncepcji, co wcale nie byłoby tak nieprawdopodobne, jak się dziejszym widzom może wydawać.

Napisano tę rzecz, wypowiedziacą sceptyczny stosunek do możliwości naprawy natury ludzkiej z wycuciem sceny i wdziękiem, choć nie sążysz

Wszystko złożone zostało na barki aktorów. Jakiejś konkretnej i scalającej myśli reżysera mimo najlepszych chęci dostrzec nie sposób. Reżysera tam po prostu nie było, choć jego nazwisko figuruje w programie. A aktorzy? Ci dali popis kompletnego braku intuicji.

Jest w dramacie materiał na dobrą rolę — rolę Iliji — szaleńca — ofiary historii doprowadzającego się, czy raczej doprowadzonego, do samounicestwienia. Role powierzone Wojciechowi Pilarskiemu a on rozwinął przed nami cały wachlarz tanich i sztucznych z niepotrzebnym obniżaniem głosu w momentach zdenerwowania, w czym wtórował mu Bogusław Mach (brat Iliji), z gorączkowym niby — obłądkiem a w rzeczywistości pustym treściwo miotaniem najpierw własną osobą a później krzesłem z przywiązaniem do Lokatora.

Najlogiczniej jeszcze uzasadniały swoją obecność na scenie panie — Wanda Chwałkowska i Krystyna Tolewska — na szczęście nie starające się zbyt o efekciarstwo i zachowujące nieco dyscypliny i logiki, szczególnie w mówieniu tekstu. Pozostali sprawiali wrażenie jakby przypadkiem weszli na scenę.

To chybotne aktorstwo zastanawia. Na pewno wielka tu wina reżysera, już nie tylko jako twórcy całości przedstawienia (choć za braki w tej sferze wyłączenie on ponosi odpowiedzialność), ale jako przewodnika aktorów, wyznaczającego im podstawowe choćby zadania. Te zadania nie zostały określone i stał to, co oglądamy na scenie, nieodparcie przypomina rozpacz tonącego czepiającego się brzytwy. Lecz jednocześnie pojawia się pytanie — Czy aktorzy, którzy nie są przecież debiutantami i spędzili w teatrze kawał czasu, mają prawo do takiej beznadziejności? A może to nie beznadziejność, ale żart, jeden wielki ogólny żart, kpiny i zabawa na scenie? Tylko w takim razie ktoś się tu bawi czymś kosztem.

EWA WESOŁOWSKA

Dušan Kovacević: Balkański szpieg. Reż. Grzegorz Sobociński, Scen. Iwona Zaborowska

można by wykonawcom stawiać zarzut... perfekcjonizmu (być może z powodu wspomnianych warunków). Rolę Fausta (a ściślej angielskiego aktora grającego Fausta) grał nieco anemicznie EDWARD LUBASZENKO, rolę Mefistofelesa powierzono utalentowanemu i dynamicznie KRZYSZTOFOWI GLOBISZOWI. Zbyt szafandulowało, a w każdym razie bardziej niż usprawiedliwiałoby to konwencja sceniczna grał postać Lebniza EDWARD KOZAK. Całkowicie mnie zadowolił tylko WIKTOR SADECKI, który na nacie czolobitności wobec monarchy a jednocześnie najwięcej dumy z rodzimych źródeł, z subtelnym komizmem zbudował postać właściciela udrowiska. Zwrócił też na siebie uwagę grający Debiutanta, młody, choć już nie debiutant, RAFAŁ JEDRZEJCZAK.

Sztuka o Lebnizu i Piórze Wielkim kryje w sobie, jak podejrzewam, wiele jeszcze możliwości uoczenia z niej znakomitego przedstawienia, co by się może i stało, gdyby reżyser Bradecki nie wykazywał zbyt wiele respektu wobec autora Bradeckiego.

Z zapowiedzianych w programie atrakcji nie zrealizowano zbiórki datków pieniężnych na dom aktora w Skolimowie, a szkoda, bo łodzianie nie są bynajmniej centuriami.

Należy się podziękowanie Stowarzyszeniu Artystycznemu z dotychczas organizowane gościnne występy wybitnych zespołów teatralnych i warszawskich, interesujących sztuk, udostępniających łodzianom najważniejsze wydarzenia teatralne kraju.

JERZY KWIECIŃSKI

Kronika kulturalna

WYJĄTKOWO atrakcyjny program prezentuje melomanom w lutym Filharmonia Narodowa. Odbył się koncert Narodowej Orkiestry Symfonicznej z Kuby pod batutą Manuela Duchesne Guzana, czołowego dyrygenta kubańskiego. Wykonano utwory twórców rodzimych i „Błękitną Rapsodię” Georga Gershwina. Wystąpiła również orkiestra Filharmonii Monachijskiej pod dyrekcją Sergiu Celibidache z V Symfonią Brucknera i II Brahmsa oraz „Obrazkami z wystawy” Musorgskiego-Ravela. Wreszcie słynna Clevelandska Orkiestra Symfoniczna prowadzona przez Christoph von Dohnanyi przedstawiła dzieła Ivesa, Ravela i Schumana oraz IV Symfonię Mendelssohna i III Brucknera.

Również program kameralny przedstawia się imponująco: recitale pianistów radzieckich Rudolfa Kerera i Stanisława Bunina, Francuza — Marca Louisada i gitarzysty hiszpańskiego Carlosa Bonella. Wystąpił również Sekstet Fal Martena z Francji i duet z USA Robert Zimansky — skrzypce i Michael Ponti — fortepian.

NARODOWA Rada Kultury poświęciła swoje plenarne posiedzenie w dniu 4 lutego br. problemom życia muzycznego w Polsce. Przewodniczył prof. Bogdan Suchodolski a referaty wygłosili: przewodniczący Zespołu Wychowania Muzycznego Dzieci i Młodzieży — Janusz Cegiela.

W obydwu referatach znalazło się szereg udokumentowanych uwag krytycznych odnoszących się do organizacji życia muzycznego w kraju i upowzechniania muzyki.

Podjęta przez NRK uchwała apeluje do wszystkich zainteresowanych resortów o zwiększenie zainteresowania omawianą problematyką.

W UBIEGŁYM tygodniu odbył się Zebranie Sprawodawczo-Wyborcze Oddziału Łódzkiego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR, na którym omówiono aktualne problemy tego środowiska twórczego i udzielono absolutorium ustępującemu Zarządowi. Warto w tym miejscu dodać, że Oddział Łódzki ZAKR skupia obecnie 40 członków i należy do najliczniejszych w kraju. Podczas zebrania dokonano wyboru nowych władz na kolejną trzyletnią kadencję. Funkcję prezesa OŁ ZAKR powierzono ponownie literatowi — Krzysztofowi Drzewieckiemu, a wiceprezesa został kompozytor — Leszek Orlewicz.

UKAZAŁ się piąty już zeszyt wydawnictwa Zarządu Łódzkiego ZSMP „Łódzkie zeszyty historyczne”.

Znaczną część numeru zajmują materiały na 40-lecie Młodzieżowego Wyciągu Pracy. Dominują wśród nich wspomnienia uczestników MWP: Ryszarda Boleckiego, Marli Szymczak, Józefa Marciniaka, Jerzego Miśkiewicza, Marli Gałczyńskiej, Łucji Skowronek i Juliana Kaczmarska.

Zeszyt przynosi ponadto materiał Ladislava Jendrala (CSRS), pt. „O socjalistycznym Związku Młodzieży i jego zadaniach w życiu szkoły wyższej Czechosłowacji” i interesujące prace na temat historii prasy młodzieżowej w dwudziestolecie międzywojennym i pierwszych latach Polski Ludowej.

Działaczom młodzieżowym i wychowawcom młodego pokolenia zaleciliśmy lekturę pracy socjologicznej Józefa Pencs „Aspiracje młodzieży a postawy wobec pracy” i szkic Andrzeja Lecha nt. „Funkcje związków młodzieży”.

OŻYWIENIA działalność prowadzi w lutym Łódzki Klub Jazzowy przy Agencji Koncertowej Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Wystąpił już duet Janusz Muniak — Jarosław Śmietana, wystąpi (15 lutego) jazz-rockowa grupa Project oraz (22 II) Jan Jankowski w repertuarze bluesowym. Często też w popularnym Jazz-clubie odbywają się projekcje video — w lutym można było zobaczyć i posłuchać Live Aid i Chicka Coreę a w najbliższej przyszłości (18 bm.) Koinonia — Abraham Laborer i Phil Collins, a już następnego dnia Roxy music „Night Road”, 26 lutego — Rod Stewart „Tonight I'm Yours” i 27 bm. Bobo Stenson Trio.

W dwie niedziele (16 i 23 lutego) gieldy sprzętu i kaset video a w każdą środę gieldy płyt.

W specjalnym cyklu „Zima heavy metal” zaprezentowano także Judas Priest, Venom, Hanoi Rocks, Led Zeppelin, Deep Purple, Iron Maiden, Krokus i Ozzy Osbourne.

Z BIULETYNU PAGARTU dowiedzieliśmy się, że w styczniu wyjechał do Francji Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” a do NRD Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego. Także w NRD bawiła Urszula Sipińska i Jerzy Konrad oraz zespół „Banda i Wanda”.

String Connection odbył tournée po Związku Radzieckim. Trochę mizerniej przedstawiał się pagartowski import: w Poznaniu występował zespół „Tango” z Czechosłowacji, bawił u nas piosenkarz country Jim Craig z Wielkiej Brytanii a Heidi Janku (CSRS) i Gerard Berliner (Fracja) zarejestrowali swoje programy w TV.

tatki itp., która — w żadnej ze znanych mi książek — nie przekroczyła właściwej wiedzy przeciętnego człowieka, wiedzy plynącej zarówno z doświadczenia, jak i szeroko rozumianej publicystyki.

G.G.: — No tak. Nawet utwory autorów, których — mówiąc o powieści współczesnej, aktualnej — nazwijmy wymiennie się najchętniej, to znaczy Siejaka, Łozińskiego, Bylskiego, Bratnego i może jeszcze paru innych — spotykają się z niejednolitym ocenami i umiarkowanymi pochwałami.

T.B.: — By się trochę spodziewamy Bóg wie czego po literaturze. Już przywykliśmy — na skutek szkolnego jej traktowania, na skutek wiedzy wyniesionej ze szkoły — że literatura winna być takim polem, na którym muszą się realizować wszystkie nasze światopoglądowe aspiracje, ideowe oczekiwania i dążenia. Tymczasem trawienie współczesności przez literaturę trwa niekiedy bardzo długo, a pisarz upora się z nią na tyle, że może z odpowiedzialnością zaprezentować ów czas przeżyty w swoich książkach. Oto przykład pierwszy z brzegu: ostatnia książka Zalewskiego „Pozegnanie twierdzy” stanowi — moim zdaniem — najgłębszy, najbardziej pełny rozrachunek generacji Kolombów z własną młodocia i z własnymi klęskami. Ale czy mogłaby powstać w czasach, o których opowiada?

H.P.: — Ten rozrachunek zapowiadały już tego wcześniejsze powieści. Można mówić w ich przypadku o kompleksie winy, jeśli coś takiego istnieje, ale jednocześnie o kompleksie straconych złudzeń po okresie huraoptymizmu, po socrealistycznym okresie sterowanej z zewnątrz dyktacji literackiej Zalewskiego jest chyba najczystszy, jeśli chodzi o ten typ powieści rozrachunkowej.

G.G.: — Nie padło tu jeszcze jedno nazwisko, to jeszcze nie padło ich wiele np. Ferlekiego, Buczkowskiego, Kusniewicza, ale to jedno stało się najgłośniejsze. Myślę tu o Myśliwskim i jego „Kamieniu na kamieniu”, która to powieść uznawana była niekiedy za najwybitniejsze dzieło polskiej literatury po II wojnie.

T.B.: — Książka ta miała — że tak powiem — znakomite wejście już w momencie druku na łamach „Twórczości”. Już wtedy uznano ją za arcydzieło. Jest to z pewnością powieść wybitna, książka stanowiąca niejako syntezę całego nurtu wielkiego w polskiej literaturze. Z drugiej strony, można ją traktować jako swojego rodzaju pomnik na grobie dawnej kultury ludowej, która właściwie już zanikła albo zanika, staje się skansenem, a która przecież dostarczała tak wiele inspiracji dla całej literatury, nie tylko jej nurtu wielkiego.

G.G.: — A jak można ocenić powieść? H.P.: — Myślę, iż w obecnej sytuacji znakomicie pastuje powiedzenie Norwida: „wielcy poeci przychodzą gdy poetów wielkich nie ma”. Powtórzyłbym też tu tezę — nie moja, wymyślił ją Krzysztof Gasiotowski — z którą się zgadzam, że przyszedł już ów czas na rzetelną zmianę warty w poezji. Skończyła się epoka Awangardy i Skamandry wraz ze śmiercią ich ostatnich przedstawicieli. Obie te tradycje tworzyły pewien kanon lektur, normę odbioru, system wartości i to wartości żywych, dopóki stanowiły dzieło nie zamknięte: I Jalu Surok ciągle zaskakiwał nowymi tomikami, i Przybóś, dokąd żył, zmuszał do krytycznych zmian w interpretacji jego twórczości. Kiedy mówię o zamkniętej epoce, to myślę nie tylko o Awangardzie i Skamandrze. Ale Jastrun? Chyba nie jest to propozycja poetycka właściwie oceniona i doceniona. Ten watek nie został podjęty przez następców. Teraz to pokolenie, które tak gwałtownie i z taką na faryzajstwo dopominało się o prawo głosu, pokolenie 1980, miałooby szanse — powiem jak marszand — opanowania rynku.

Ala co się stało? Otóż rzeczywiście weszło ono w pewne układy instytucjonalne. Sa rektorami albo prezesami, którzy teraz jakby skłasyfikowali. Ale kanon który stworzyli, teźże się nie przebił przez model autorytarnego ogądu poezji czy literatury w ogóle w Polsce. Poeci — ci nie trafiali jeszcze do podręczników, jeszcze sa traktowani jako przedstawiciele pokolenia niechłojnego albo — patrząc z drugiej strony — pokolenia nieszczołów. Cezura roku 1980

albo 1981, która się stosuje nie daje krytykowi możliwości całościowego ogądu. Sytuacja jaka się wytworzyła nie pozwala mi na całościowy opis. Bo nie wiem na dobrą sprawę, co kto napisał. Poza tym można powiedzieć, że mamy oto do czynienia z lachy powtórnym wejściem na rynek czytelnicy poetów starszej generacji jak np. Anna Kamińska. Wcale nie jest przereklamowana twórczość Jana Twardowskiego. I ona potrafi oddziaływać i inspirować innych poetów. Przykład: piękna wiersze Wandy Karczewskiej, która przyznaje się — i to jej wcale umy nie przynosi — że to zafascynowanie poetyką Twardowskiego otworzyło jej jakby nową furtkę. Mamy więc do czynienia z niejako stabilizującą się czołówką

Dyskusja redakcyjna

Aktywa i pasywa literatury lat osiemdziesiątych



Henryk Pustkowski



Karol J. Stryjski



Tadeusz Błajejewski



Grzegorz Gajda

Foto: Grzegorz Galasiński

która trafia do powszechniejszego odbioru — myślę tu o pokoleniu „Współczesności”, z którego wywodzi się np. Roman Sliwoniak, autor „Potegowania dramatu”, to najciekawszy chyba tomik żyjącego poety, a także np. Zbigniew Jerzyna. Jego wiersze, które od czasu do czasu czytam, są bardzo interesujące. Natomiast pokolenie 1980, od którego zaczęłam, jest jakby na obrzeżach tego powszechniejszego odbioru.

I co jeszcze dostrzegam w ogóle we współczesnej poezji w Polsce — co może jest doświadczeniem, a może przekleństwem naszej normy odbioru: outsiderzy pewnej grupy poetów, czyli to, że ich nie ma w świadomości odbiorców, tak w świadomości przeciętnych czytelników, jak i nawet krytyki. Np. kto docenił twórczość Czychowskiego, wybitnego poety; o Styczniu wreszcie zaczęto trochę pisać; a kto zechciałby oddać sprawiedliwość Urzaczewi? Kto właściwie ocenił twórczość Zbigniewa Kosińskiego, który należy do czołówki naszych poetów, na co mogę dać słowo honoru — jak dawali je skamandryci. To samo z Jerzym Jarmołowskim, który niby bytule na prawach jakiegoś dzielnego poety reprezentującego nurt plebejsko-ludyczny, ale przebijają go inni, często gorszy, ci którzy mają lepsze wejścia w krytyce czy chody u krytyków.

A więc o krytyce teraz. Mówi się, że krytyki nie ma. Bo nie ma krytyki takiego, który byłby strażnikiem jakości, strażnikiem wartości — jak to niegdyś bywało. Tej roli nie spełnia Sandauer, którego — nawiąsem mówiąc — cenię, czym się narażam może innym krytykom, czytelnikom i poetom. Ale wiadomo, że on ma taki dosyć spetryfikowany model widzenia literatury. Wyszło ostatnio kilka, w sumie niezłych, zbiorów skrytyczniodiagnozy dotyczących poezji najmłodszej autorstwa Sterny-Wachowiaka, Chrzanowskiego, Chojackiego itd. Nawet niecierpięganego przeze mnie Jana Marxa „Gry krytyczne” są całkiem dobrą książką. Wracając do krytyki jest jednak i stnieje jako hobby i dla czytelników, i dla krytyków, którzy „bawią” się — jak w książce „W stronę wiersza” — w sposób piękny i intelektualnie doskonały. Sa to zresztą interpretacje kilku zaledwie poetów spośród tych, o których warto głośno mówić, jak np., żeby to odnieść do historycznego podwórka, o Jaskule, Strąku czy Wiśniewskim.

G.G.: — Jeśli już mówimy o krytyce: otóż jest to krytyka — nazwijmy ją — rejestrująca — interpretacyjna. Brak — jak myślę — krytyki, która stawiałaby sobie zadania postulatywne. Przeważnie wygląda to tak,

że krytyka porządkując doświadczenia niekiedy napiędcie formuluje tendencje, rozdziały etykiety, lansuje modne hasła, a młody człowiek, poeta-debiutant pozostawiony sam sobie traktuje to wszystko z całym dobrodziejstwem inwentarza i ubiera się w kostiumy, przebrańia i maski całkiem mu obecne. Liczy, że mieszcząc się w odpowiedniej, nazwanej już szufladce, zostanie łatwiej zauważony.

H.P.: — Sa dwie takie książki, które objaśniają nieobecność krytyki postulującej czy nie-możliwość postulatów w krytyce. Jedną to „Odmarsz” Bieńskiego, która odnosi się do przeszłości, a druga to „Bez autoritetu” Chwina i Poška.

G.G.: — Z tego co dotąd niewiedziałem jeden watek wydał

lumbami, czy wogóle starsi, dopisuje napędce post scriptum do tekstów, których nigdy nie napisał. Często więc odnosi się do swoich przemyśleń, które nie znalazły potwierdzenia w dowodzie literackim. Te książki się po prostu nie ukazały. Jest to pokolenie odchodzące i gład może różne próby po roku 1980 dania odpowiedzi pospiesznych „dlaczego”, „skąd”, „z jakich powodów”, „jakie przyczyny” itd. Te próby sa w większości przypadków — tak myślę — nieudane, bo nie mogą być udane. Nie jest możliwe nagłe spalenie drzew.

Jeśli przywołać by tytuł Witolda Nawrockiego „Krajobrazy literatury” to można rzec iż różne okresy w naszej przeszłości mają różny sposób oglądu, różną ostrość i głębię krajo-

nie jest to w ogóle możliwe — innych dziedzin refleksji społecznej czy naukowej. Najpierw musi istnieć pewna baza historyczna, nauki społecznej itd., z której literatura będzie mogła korzystać. A druga sprawa — to konieczność dystansu. Następnie uwarunkowanie: czy istnieje w naszej polityce kulturalnej taka możliwość, która akceptowałaby ów stan przejściowy a więc rozróżnienie światopoglądów, doświadczeń, punktów widzenia itd. Myśląc o aktywach na przyszłość winniśmy ów stan przejściowy rozumieć z całym dobrodziejstwem inwentarza. To jest dylemat, bo jesteśmy — jak powiedziałem — niecierpliwi i chcielibyśmy żeby porażka już się dokonała o okres przejściowy był za nami, żeby móc określić, co jest na

przyszły literatury. Wychodząc choćby od obserwacji dnia dzisiejszego.

K.J.S.: — Zakładalbym dwa warianty — to teraz modne. Wariant pierwszy, optymistyczny, zależy od odpowiedniej bazy materialnej dla kultury, literatury, książki oraz od stabilności w polityce kulturalnej. Literatura z tego okresu przejściowego, o którym mówię, przędzie w okresie swojej „normalności”. Pojawi się pewna, jednorodna, wyrazista, pokoleniowa twórczość, która będzie także ważną wartością ogólnospołeczną. Ale baza jest ważna, aby istniał nieprzerwany dialog autora z czytelnikami, aby książka była dostępną.

I wariant drugi — pesymistyczny, kiedy baza zostanie taka, jaka jest w tej chwili i będzie ulegała dalszej degradacji, zresztą mimo wielu bardzo słusznych uchwał, kiedy nastąpi pewne usztywnienie polityki kulturalnej wynikające z przekonania: mamy już porozumienie z tymi, z którymi się już porozumieliśmy. Niedośćki w bazie spowodują spadek zainteresowania literaturą, bo wcale książka będzie niedostępna. Będziemy tracić dystans do reszty społeczeństwa Europy. I nie myślę tu tylko o Zachodzie. Oczywiście jest że ten drugi wariant jest nieoptymistyczny zarówno z punktu widzenia społeczeństwa, jak i władzy.

T.B.: — Wprawdzie często się mawia, że dla literatury im gorzej w ogóle — to tym lepiej, co ma znaczenie, że literatura żywi się niestabilnością, konfliktami itd., jednak zgadzam się z tym co mówił Karol. A wśród młodych widzę kilka nazwisk, po których w najbliższym czasie spodziewam się ciekawych książek.

H.P.: — Niewątpliwie musimy pogodzić się z tym, że jeśli czyta teraz 10 procent Polaków, a gdybyśmy osiągnęli 13 procent czytających to byłoby bardzo, bardzo dobrze. Nawet poprzez różne zabiegi, czasem oceniane jako idealistyczne czy utopijne, w środowiskach robotniczych, poprzez robotnicze stowarzyszenia kultury. Zawsze to będzie ta garstka czytających więcej, bo jeśli i te garstki stracimy, to już nikogo nie będzie.

G.G.: — Od przypomnienia Zjazdu ZLP nasza rozmowa zaczęła się. Może więc luz na koniec zapytam panów jako członków ZLP — czego oczekujecie od Zjazdu? Czy może na przyszłość także inne niż organizacyjne rozstrzygnięcia? Czy będzie tylko takim administracyjno-organizacyjnym rozstrzygnięciem gospodarstwa literatów?

H.P.: — Myślę, iż sprawy organizacyjne, czy jak powieździęteż porządkowanie gospodarstwa będzie na tym Zjeździe przeważać. Co zresztą zrozumiałe, biorąc pod uwagę dzieje ZLP w ciągu ostatnich paru lat.

T.B.: — Mamy też nadzieje na istotniejsze dyskusje merytoryczne, ale sa to nadzieje umiarkowane, bo prawdziwe sprawy literatury na Zjazdach się nie rozstrzygają.

K.J.S.: — Owszem zgodzę się z tym, że spraw o których mówiliśmy choćby dzisiaj Zjazd nie „zalał” — że będą się decydować na nim sprawy organizacyjne. Ja Zjazd traktuję tak: otóż jest to ważny, oficjalny kontakt środowiska pisarzy z władzami. Ponieważ władza i na co dzień nie ma zbytnio czasu dla literatury, więc ten moment Zjazdu należałoby wykorzystać w sposób dojrzały. Przedstawić władzom pewien program działań na rzecz literatury, do którego one zechciałyby się ustosunkować. Potem trzeba będzie do tego programu wracać i z uporem go egzekwować. Czy to się uda, trudno powiedzieć.

G.G.: — Obserwując środowiska pisarzy można rzec iż zbliżający się Zjazd ZLP jakoś nie uaktwnia, mówię nawet o tych, którzy dotąd jakby boczyli się na Zwięzce z różnych powodów. Zatem czy można mieć nadzieje, iż Zjazd ten będzie ważnym momentem integracyjnym dla tych, którzy do ZLP należą i dla tych, których to ogólnopolskie forum pisarzy skłoni do powrotu?

K.J.S.: — Zjazd będzie okazją, aby wreszcie zamknąć okres tymczasowości i rozpocząć normalny, co nie znaczy instawieljszy, rodzaj Związku Literatów Polskich.

G.G.: — Dziękuję panom za udział w dyskusji.

lewo, co na prawo, co w środku i mieć bilans zakończony. Myślę, że jest to niemożliwe.

G.G.: — Jeśli już obracamy się w kręgu uwarunkowań politycznych literatury: na jednym z ostatnich zebrań łódzkich literatów podjęto rozmowę na temat pojęcia „pisarz lewicowy”. Jak to pojęcie można byłoby rozumieć?

H.P.: — Jest sporo pisarzy którzy deklarują swoją lewicowość i jak to bywa w tym środowisku nierzadko sa to gesty koniunkturalne, bo wcale ich twórczość o owej lewicowości nie świadczy. Sa i tacy, którzy nie określając się wzrost pisarzami lewicowymi, posiadająca te lewicowość całą swoją twórczością. Brak w ich utworach może deklaracji, ale nie w tym rzecz, a w konstrukcji świata, w postawach bohaterów, w opcjach na rzecz określonych wartości. Najwiściszym tu przykładem może być twórczość Wacława Bilińskiego. Oczywiście łatwiej być pisarzem lewicowym prozai, bo mechanizmy poezji jakby zawsze zmierzają do pewnego uniwersalizmu. Jeśli nie ma to być znowu powrót do poezji retoryczno-agitacyjnej, często przecież szlachetnej i o wysokich lotach artystycznych, to trudno powiedzieć, co to znaczy poeta lewicowy.

K.J.S.: — Myślę, że istnieje pewien problem w niewłaściwym zabiegu, tj. w stawianiu znaków równości między określeniem „lewicowy” i „partynjny”. Lewicowość oznacza coś więcej niż tylko partyjność i równocześnie ktoś może być lewicowy, a nie musi być partynjny. Przede wszystkim w pojęciu lewicowy chodzi o pewien moment niezgody, niezgody krytycznej. Musi to być pewna dojrzała wartość, odpowiedzialność, rzetelność refleksji intelektualnej, dojrzałość ideowo-artystyczna, umiejętność wyboru i preferowania pewnych wartości. Mogą one być uniwersalne, nie muszą być nawet marksistowskie. Bolewnie istnieją wartości uniwersalne, co do których marksizm nie jest żadną opozycją i odwrotnie. Lewicowość to także niekonkunkturalność. Wiąza się z tym niejako niedogodność, bo jeśli ktoś jest i rzetelny, odpowiedzialny i niekonkunkturalny, krytyczny — no to może być nie tylko nie lubiany, ale nawet niewygodny. Dla władcy niebezpieczny, a dla marnocemasa kłopotliwy. Byłoby bardzo źle, gdyby po naradzie pisarzy partynjnych, kiedy o pojęcie „pisarz lewicowy” potawilo się w nasileniu, okazało się tylko instrumentem taktyki.

G.G.: — Kiedy mówimy o pasywach i aktywach ostatniego pięciolecia myślę, iż warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę, na to — co np. w opiniach niechętnego nam Zachodu — jest jakimś niewytlumaczalnym i radoskim. W okresie, o którym mówimy ukazało się wiele książek, które nie mogły się ukazać przez lata całe z „Miazgą” na ciele. Co znaczy, iż w tym ostatnim pięcioleciu wypełniono wiele dziur, które w naszej literaturze istniały. Poza tym także, wcale znaczącym strumieniem, weszła do społecznego obiegu literatura emigracyjna. Myślę tu o podręcznikach literatury, o dyskusjach, o książkach nt. literatury emigracyjnej czy wręcz wreszcie tomach poezji i prozy. To też możemy zapisać po stronie „ma”.

K.J.S.: — Tak. Ale jeśli wolno chciałbym wrócić do tego, co mówiliśmy wcześniej. My marksisti posiadamy przewagę niecierpliwości. Chcielibyśmy, aby literatura już teraz, dzisiaj, odpowiedziała na wszystkie pytania. A przecież literatura nie może zastąpić —

Polemiki • Listy • Opinie

POGLĄDY I OPINIE NAUCZYCIELI

Z badań socjologicznych przedstawionych przez Zdzisławę Kawę w szóstym numerze „Odgłosów” wynika, że nauczyciele, jako kategoria zawodowa mają wyraźne poczucie odrębności i jednocześnie upośledzenia materialnego i społecznego. Nie można tych danych lekceważyć, ponieważ są reprezentatywne dla środowiska łódzkiego, a poza tym znalazły potwierdzenie również w sondażu ogólnopolskim.

Niedawno interesujące rezultaty uzyskało Centrum Badań Opinii Społecznej. Okazało się, że w porównaniu z wynagrodzeniem przedstawicieli innych zawodów inteligentnych 82 proc. nauczycieli ocenia sytuację własnej grupy jako gorszą, tylko 16 procent uznaje ją za taką samą, oraz zaledwie 2 proc. za lepszą. Nawet pod względem poważania społecznego aż połowa badanych postępuje w gorszej sytuacji swoją kategorię zawodową, zaś w lepszej tylko jedna dziesiąta.

Choć nauczyciele są generalnie niezadowoleni z własnej pozycji społeczno-zawodowej, to jednak zdecydowana ich większość nie rozważa kwestii odejścia z oświaty. Na pytanie — Czy myślisz o zmianie zawodu? — odpowiedziało twierdząco 11 proc. badanych, a przecząco aż trzy czwarte. Pozostałym (13 proc.) trudno było powiedzieć.

Sporo respondentów (64 proc.) uważa za uzasadnione opinie o kryzysie wychowania młodzieży. Winą za ten stan rzeczy obarczają w dużym stopniu m. in. rodzinę (69 proc.) i władzę polityczną (65 proc.). Natomiast oświadczyli, że do odpowiedzialności tylko 22 proc.; zaś winę szkoły dostrzegają jako bardzo dużą 7 proc. i dużą 34 proc. nauczycieli. Ponad dwie trzecie badanych osób upatruje przyczyn kryzysu wychowawczego w obniżeniu rangi zawodu nauczycielskiego, i prawie tyle samo — w braku wpływu nauczycieli na decyzje dotyczące programu i metod nauczania.

Przeszło połowa badanych uważa, że tacy ludzie jak oni nie mają żadnego wpływu na sytuację polityczną. Tylko co czwarty sądzi, że ma bardzo mały wpływ oraz co piąty, że mały. Przy czym zaniepokojenie może budzić fakt, że nauczyciele przeważnie nie odczuwają większego wpływu na działalność Związku Nauczycielstwa Polskiego. Niespełnia 2 proc. ocenia, że tacy jak oni mają bardzo duży wpływ, 16 proc. deklaruje, że duży, 37 proc. mały i 22 proc. bardzo mały; zaś 23 proc. twierdzi, że ludzie im podobni nie mają żadnego wpływu na ZNP.

Socjologowie sygnalizują zjawisko profesjonalizacji roli nauczyciela. To znaczy, że dźwigni nauczyciele traktują w zasadzie swój zawód, jak każdy inny. Nie wykazują natomiast postaw społecznikowskich i nie mają ochoty do nadzwyczajnych poświęceń. Zapytani jednak wprost — czy zgadzają się z poglądami, że wykonują zawód szczególny, wymagający powołania? — odpowiadali następująco: zdecydowanie tak — 55 proc., raczej tak — 34 proc., raczej nie — 7 proc., zdecydowanie nie — 0,5 proc. Wynikałoby z tego, że mają świadomość szczególnego charakteru zawodu nauczycielskiego, lecz w życiu rzadko postępują zgodnie z tą świadomością.

Ciekawe są dane obrazujące stosunek respondentów do wierzeń i praktyk religijnych. Otóż co druga osoba wierzy i praktykuje oraz prawie co trzecia wierzy, ale nie praktykuje. Łącznie w badanej populacji stwierdzono 81 proc. wierzących oraz 18 proc. niewierzących. Niewielką część nauczycieli (2,4 proc.) — zaliczono do drugiej kategorii światopoglądowej — nie wierzy, ale chodzi do kościoła.

Ponad 80 proc. respondentów uważa, że obowiązkiem nauczyciela, niezależnie od jego własnych poglądów, jest wpańwanie uczniom lojalności wobec państwa. Odmienne zdania jest tylko 11 proc., a reszta nie ma wyraźnego stanowiska.

Czy nauczycielom zdarzało się w dyskusjach z młodzieżą zachowywać niezgodnie z własnymi przekonaniami? W sondażu CBOS 11 proc. badanych podaje, że często bywały takie sytuacje i dalsze 42 proc., że tak, ale rzadko. Nigdy się to nie zdarzyło 30 proc. respondentów. A pozostali nie pamiętali lub trudno im było powiedzieć.

Z danych metryczkowych dowiadujemy się, że w badanej populacji było 31 proc. członków PZPR, po 2 proc. członków SD i ZSL, oraz 50 proc. członków związków zawodowych. Do żadnej organizacji nie należało 32 proc. odpowiadających. Natomiast przed wprowadzeniem stanu wojennego co druga osoba należała do Związku Nauczycielstwa Polskiego, co czwarta do NSZZ „Solidarność”, a co piąta nie była w żadnym związku.

Można przypuszczać, że nauczyciele są zróżnicowani pod względem poglądów politycznych. Jednakże tylko jedna piąta twierdzi, że tego rodzaju różnice są przyczyną podziałów środowiska nauczycielskiego. Przecząco odpowiedziało 58 proc. badanych, zaś reszta nie potrafiła powiedzieć, jak naprawdę jest.

Większość osób objętych sondażem (57 proc.) jest zdania, że nauczyciel koniecznie powinien być lojalny wobec władz. Niemalże jednak respondentów (29 proc.) sądzi, że może być lojalny, ale nie musi, a dalsze 7 proc. uważa tego typu postawę za zbędną.

Jak nauczyciele oceniają ostatnie czterdzieści lat naszych dziejów? Najwięcej osób (59 proc.) uważa, iż okres ten przyniósł ludziom w Polsce korzyści i straty. Z kolei 27 proc. dostrzeża więcej korzyści niż strat, natomiast 9 proc. widzi więcej strat niż korzyści, a 5 proc. nie ma zdania.

Na pytanie, czy działalność PZPR dobrze służy społeczeństwu i jest zgodna z jego interesami, odpowiedziało twierdząco 63 proc. respondentów. Przeciwnego zdania było 21 proc., a reszta indagowanych nie potrafiła się zdecydować. Znacznie więcej odpowiedzi pozytywnych (73 proc.) i mniej negatywnych (16 proc.) odnotowano w odniesieniu do działalności Rady Ministrów.

Studiując rozkłady odpowiedzi na poszczególne pytania ankiety CBOS, można odnieść wrażenie, że kryzys ideowo-polityczny w środowisku nauczycielskim w zasadzie został przycyśnięty. W referacie Biura Politycznego KC PZPR wygłoszonym na XXIV Plenum przez Tadeusza Porębskiego czytamy:

„Polskie szkolnictwo w latach 1980/81 stało się terenem ostrej walki politycznej. Jednak mimo agresywnych działań przeciwników, programowe podstawy i charakter socjalistycznej szkoły, chociaż osłabione, zostały obronione”. Pod koniec referatu sekretarz KC dodał, że ok. 30 proc. nauczycieli w oświacie oraz 28 proc. nauczycieli akademickich stanowią członkowie partii. Iluściowo rzecz biorąc nie jest więc źle.

E.L.

KONKURS POETYCKI

Wojewódzka Biblioteka Publiczna — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego — Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Radomiu ogłaszają w ramach XIII Radomskiej Wiosny Literackiej III otwarty konkurs poetycki „O DZBAN CZARNOLESKIEGO MIODU”.

W konkursie mogą wziąć udział członkowie Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy, członkowie Kół Młodych przy oddziałach ZLP oraz twórcy nie zrzeszeni w ZLP. Organizatorzy nie ograniczają tematyki utworów.

Biorący udział w konkursie proszeni są o nadesłanie zestawu trzech wierszy dotychczas nie publikowanych (w konkursie weźmie udział tylko jeden wiersz) opatrzonych godłem — do 15 marca 1986 roku pod adresem: Wojewódzka Biblioteka Publiczna, pl. Konstytucji 3 Maja 5, 26-600 Radom, z dopiskiem na kopercie „KONKURS JEDNEGO WIERSZA”. Do utworów napisanych w trzech egzemplarzach winna być dołączona zalakowana koperta opatrzona godłem, zawierająca wewnątrz kartkę z imieniem, nazwiskiem oraz dokładnym adresem autora nadesłanych prac. WIERSZE PODPISANE IMIENIEM I NAZWISKIEM BĘDĄ WYKLUCZONE Z KONKURSU.

Organizatorzy przewidują następującą wysokość nagród.

- I nagroda — 12.000 zł
- II nagroda — 10.000 zł
- III nagroda — 8.000 zł

oraz 5 wyróżnień równorzędnych po 5.000 zł. Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość innego podziału nagród przy niezmienionej ogólnej sumie.

Jury powołane przez organizatorów rozstrzygnie konkurs w marcu 1986 roku. Ogłoszenia wyników nastąpi na imprezie „Noc Jednego Wiersza” w dniu 10 kwietnia 1986 roku, podczas której zostaną zaprezentowane najlepsze utwory.

BEZ PRZESADY!

Ostatnio coraz częściej koledzy z prasy i TV przy rozmaitych okazjach doradzają awansują seniorów na nestorów. Jest to najzwyczajniejsze pomysłenie pojęć. Nestor — to najstarszy z grona, zrzeszenia, a więc może być tylko jeden, a senior — to tylko starszy, więc może być ich wielu.

Na przykład w naszym środowisku dziennikarskim nestorem jest red. Mieczysław Jagoszewski, który w styczniu br. skończył 69 lat (do stu dwudziestu, kochany Mieczu!) i nie ma powodu ani sensu pozostawiać go tego tytułu.

A zatem, drodzy koledzy, nie przesadzajcie, bo:

Na to szczytne wyróżnienie,
Jak na inne, trzeba czekać,
Od seniora do nestora
Droga jeszcze dość daleka!

Senior (jeden z wielu) ADAM OCHOCKI lat 73.

DEMENTI

Andrzej Karol osobiście i autoritatywnie wyjaśnił, iż rozszerzanie przez Rezerwową II (czyżby czyhała na wolne szpalty?) pogłoski, jakoby miał On zaprzestać wszelkiej działalności krytycznej — są wyssane z palca! Ciesze się, gdyż trafność Jego (niekiedy bardzo zgrzyliwych) spostrzeżeń, uwag i komentarzy nie podlega dyskusji, a czytanie kolejnego numeru „Odgłosów” zaczynam... no właśnie, od czego?

Choć to może nieskromne, lecz prawdziwe, więc przyznam się, że od kolumny „Polemiki — listy — opinie”. Chyba jednak zrozumiałe, gdyż najpierw chcę sprawdzić, co też mi Pan Redaktor nie przysłał do druku. Ale zaraz potem — strona 15, strona druga, coś Z. J. Michalskiego czy E. Lewandowskiego i na koniec drzewcowa, Stron 16 nie czytamy.

Wróćmy jednak do A. Karola. Mimo, że wyraźnie określił On swoje stanowisko wobec Rezerwową II, nieprzychylnie Mu koleżanki redakcyjne, zawistnej i obdarzonej niezwykłym mniemaniem talentami paniusi (jak sam pisze) — nie zaprzeczyły warstwie informacyjnej wypowiedzi Rezerwową II w którymś z poprzednich numerów „Odgłosów”: a więc prawdą jest, iż otrzymał nareszcie mieszkanie!

Łasze się z A. Karolem radością z tego nieczęsto zdawającego się w życiu człowieka! Allicji obecnie możemy się spodziewać bardziej optymistycznych spojrzeń, do czasu, gdy nie zacznie się odklejać płytki, strzelać margiel i... milczeć! Nie zapraszaj!

A. Karol nie ograniczył się jednak tylko do zdementowania tych niecnych plotek, rozszerzanych przez Rezerwową II, ale podzielił się wrażeniami z rozmowy z obywatelami, zaskajającym od Niego (A. Karola) poruszenia 38 tematów, bardzo ważnych. W tym — sprawy kar za przestępstwa. A. Karol odczuł potrzebę oparcia się o wiedzę, czystą naukę i porozumiał się z przyjacielem, ekonomistą i cybernetykiem Jackiem A., który wyhumaczył Mu, iż stosowanie zasad ze starego kodeksu Hammurabiowego wywołałoby katastrofalne skutki w dziedzinie ekonomicznej i zabezpieczenia socjalnego społeczeństwa. Wierzę, jak zawsze wierzyłem naukowcom z dziedziny ekonomii, choć nie da się ukryć, że swoje studia pogłębiałem rok dłużej z tej blahiej przyczyny, iż pierwszy raz na egzaminie oświadczyłem, że prawo wartości u nas działa — i dostałem „gola”, a drugi raz — że nie działa, i też dostałem „gola”. I choć problem „Obciążenia czy nie obciążenia” nadal jest otwarty — nie mam tego za złe A. Karolowi.

Niepokoje mnie tylko jedno: cytuję A. Karola z rozmowy z owym Jackiem A.: „...czy Twój kandydat na Hammurabię jest absolutnie pewien, że jego nader liczna rodzina miałaby komplet rak?”

No właśnie. Może i nawet nie miałaby. Ale czy przypadkiem nie w tym zagadnieniu tkwi źródło negatywnych stanów w sprawie wielu znacznych zresztą obywateli, dyskutujących o problematyce winy i kary?

W. A.

HURA — ZNOW ODKRYWAMY AMERYKĘ!

I. Zaczęły się ferie zimowe w szkołach. Lecz tylko znikoma część naszych milusińskich może wjechać poza swoje miejsce zamieszkania. Reszta jest zmuszona odpoczywać w domowych pieleszach, choć hasło „ferie w mieście” jest bardzo popularyzowane. Prasa, radio, telewizja... Jeśli dobrze pamiętam — w naszej aglomeracji wjechało tylko około 10 proc. uczniów. Przyczyną? Bardzo różne, w tym — że zimowiska nie mogą przyjąć naraz tylu chętnych, ilu się zgłasza, bo ferie dla wszystkich szkół znów w tym samym terminie. No i transport nie wytrzyma... („Dziennik Łódzki” z 3.02.: „...po 10 dzieci w jednym przedziale...”).

Ze zdumieniem wysłuchałem w głównym wydaniu dziennika TV w niedzielę 2 lutego, jakie to osiągnięcia w tym zakresie mają niektóre kraje zachodnie. Korespondenci zagraniczni TV z Belgradu i Bonn donoszą, iż np. w Jugosławii dzięki rozłożeniu ferii w czasie, z wyjazdów może korzystać o 25 proc. dzieci więcej, w RFN zaś istnieje system rotacji terminów w różnych „krajach” tego państwa, co skuteczenie rozładowuje „korki” i ma być przyjęte do stosowania u innych sojuszników w tym bloku... A mnie się wydaje, że szkoda było twardej waluty nawet na opłacenie kosztów tych korespondencji, bo takie praktyki były już u nas stosowane i dopiero w ostatnich latach, cichejm, jak gdyby kuchennymi schodami, nie wiadomo po co zlikwidowane. Może dla wygody, lecz czyje? Bo, że najmniej przy tym myślanie o dobru uczniów — to pewnie jak dwa razy dwa.

I już widzę, jak to od nowa będziemy wypowiadali rewelacyjne pomysły, dzięki którym nasze dzieci będą mogły korzystać z zimowisk w większym zakresie, a i dojechać wygodnie, nie w tłoku. Żeby jednak sprawie nadać odpowiednią rangę i została ona załatwiona w majestacie urzędowania, proponuję wpiętych pociąg przy rezerwie odpowiedni instytut naukowy, dokonać badań historycznych, statystycznych, socjologicznych, złożyć raport (przy okazji nadać kilka tytułów naukowych) i podjąć — najlepiej kolektywnie — decyzję. I już za kilka lat będziemy mieli wyniki! A do tej pory będzie okazja do ulewiania żółci i narzekania. Kto za to zapłaci (i już płaci)? Nasze dzieci.

II. Nijak nie mogę się zorientować, jak to jest z tą naszą bazą turystyczną i wczasową. Starczy, czy nie starczy, wykorzystywa-

na, czy nie? Raz dowiaduję się, że ilość „pustostanów” jest skandaliczna, bo odstrasza ceny. Kiedyś indziej — że już wszystko rozdysponowane na długi czas naprzód. Na przykład, gdy ostatnio doniesiono o obrotnym przedstawicielu przedsiębiorstwa turystycznego, który naciął przyszłych klientów swoich firm na ca 2 mln zł — inni przedstawiciele tychże firm natychmiast stwierdzili, aby nikt nie przyjeżdżał, bo miejsca te są już „obłożone” drogą legalną.

Na marginesie tej sprawy: nie wyjaśniono, czy „lewe” skierowania były sfalszowane, czy prawdziwe, a obrotny działacz jedynie nie odprowadził pieniędzy do kasy i z tej też przyczyny miałbym wątpliwość, czy można nabranych klientów zostawić sam na sam z niewypłacalnym przecież pracownikiem firm, skoro jest niewątpliwe, że miał on możność dokonywania kantów przede wszystkim z uwagi na ewidentny brak jakiegokolwiek kontroli? Niech się jednak o to martwi wymiar sprawiedliwości.

A wracając do „obłożenia” obiektów i cen śmiał twierdzić, że tak w wypoczynku, jak i w turystyce nadal preferujemy model „mało i drogo”, (bo po co się przemęcać). „Więcej i taniej” (czyli większy obrót) wymaga większego wysiłku.

Tak to, co jakiś czas, odkrywamy w Ameryce. A może — kiedy naprawdę przekracza to nasze możliwości — postępować w myśl porzekadła: „kto nie może dopiąć celu — niech chodzi z odpiętymi?”

W. AFELT

GDY HARCERKI SZŁY NA WOJNĘ

M mało jest znana historia jednej z pierwszych organizacji konspiracyjnych, działającej pod nazwą „Legion Wyzwolenia”. Została ona utworzona w Łodzi już pod koniec 1939 roku. Napływała do niej patriotyczna młodzież oraz harcerze, wśród nich duża grupa członków 16 LDH im. gen. Kazimierza Pułaskiego. Niezbyt przywykli do stosowania ścisłej konspiracji, popełniali błędy, które się później zamściły na nich wszystkich. Do organizacji wkradł się konfident niemiecki, który wydał większość jej członków w ręce gestapo. W lesie Okreglik i pod Łucmierzem zostały rozstrzelane harcerki z 17 LDH Wiesława Trębacz i Alina Trzciak oraz harcerze z 16 LDH Stefan Agacki, Czesław Kląbka, Zenon Lewandowski, Edward Michalski, Zdzisław Popiawski i Zygmunt Trzaskalski. Tam też rozstrzelano Alicję Frey wychowankę 15 LDH, i Jerzego Ławacza z 9 LDH.

Podczas krótkiej stosunkowo działalności „Legionu Wyzwolenia” od jego założenia aż do rozbitcia organizacja wydała kilka numerów tajnego pismka „Wyzwoleniec”.

Wojnę przetrwał niewielu m. in. Ryszard Szczepny, późniejszy więzień hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Dachau, a także Bolesław Zajackowski wywieziony do obozu pracy przymusowej dla młodocianych w Gelsenkirchen-Rothausen, gdzie przemywał do końca wojny, jako numer 2543.

Obecnie niektóre środowiska kombatanckie kwestionują istnienie „Legionu Wyzwolenia”, choć niezaprzeczalnym tego dowodem są akta łódzkiego gestapo z lat 1939—1940 przejęte i będące w posiadaniu władz polskich.

Powszechnie znana jest historia harcerki ze Spawy, czterech siostr ciocięcych Bronisławy i Janiny Caban oraz Haliny i Ireny Poborowych, które celowo podjęły pracę w niemieckim OKW (Oberkommando der Wehrmacht). Irena Poborówna będąc absolwentką liceum ogólnokształcącego została zatrudniona w biurze, jako tłumacz, zaś Halina Poborówna, a także Janina i Bronisława Caban pracowały w kasynie oficerskiej. Wszystkie siostry ciocięcze zostały aresztowane 13 października 1941 roku za wykradzenie planów bunkrów amunicyjnych. Bite i maltretowane były więzione w Radomiu, Piotrkowie Trybunalskim i Łodzi, skąd zostały wywiezione do kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie je rozstrzelano 3 października 1942 roku.

W latach powojennych m. in. dzięki inicjatywie harcerzy obok pomnika poległych i zamordowanych leśników w Spale, posadzone cztery brzozy i dwa dęby. Brzozy stały się symbolem zamordowanych czterech siostr ciocięcych, zaś dęby poświęcone są ich dwóm ojeom poległym za kraj.

Poruszając sprawę czterech siostr ciocięcych ze Spawy, nie należy zapominać o historii konspiracyjnej harcerskiej drużyny „Mury” założonej w niemieckim żeńskim obozie koncentracyjnym Ravensbrück przez Józefę Kantor wspólnie z harcerkami siostrami i łódzkimi. Drużyna ta w ciągu kilku lat swojego istnienia rozrosła się do ponad 100 członkiń działających w 7 zastępach o nazwach: „Cegły”, „Cementy”, „Fundamenty”, „Kamienie”, „Kielnie”, „Wody” i „Zwirny”. Harcerki miały swój własny sztandar znaleziony w magazynie pomiędzy gromadzonymi tam rzeczami. (13 Warszawskiej Drużyny Harcerek).

Pod koniec wojny przewodniczący Szwedzkiego Czerwonego Krzyża hr. Folke Bernadotte „wytargował” od Niemców za samochód ciężarowe kilka tysięcy Polek z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, które przewieziono do Szwecji. Polki zabraly ze sobą sztandar zaszyty w jasiek, a po wyładowaniu na neutralnej ziemi szwedzkiej założyły drużynę harcerek „Wędrownie Ptaki”, która po pół roku pobytu w tym kraju powróciła do Polski.

Dużym wkładem harcerki i harcerzy łódzkich był ich udział w wydawaniu i kolportowaniu pismek konspiracyjnych. Z Warszawy docierały pismka wydawane przez „Pasiękę” (Główna Kwatery „Szarych Szeregów”). Były to „Bądź Gotów” i „Pasięka”. To drugie pismko przeznaczone było dla harcerzy starszych. Do Łodzi dochodziły także „Biuletyn Informacyjny” i „Biuletyn Kujawski”, które były kolportowane i rozprowadzane m. in. także przez harcerzy. Kolportażem tych pism zajmowała się również Janina Leśniewska ps. „Nina” wychowanka 15 Łódzkiej Drużyny Harcerek.

W Łodzi istniały tajne drukarnie, w których drukowano regionalne pismka. Władysław Zimniak z 9 LDH prowadził taką drukarnię w domu przy ul. Zamenhofa 18. W marcu 1940 roku Niemcy wysiedlają go z całego mieszkania do „Generalnej Gubernii”. Osiedla się w Piotrkowie Trybunalskim. Tam dzierżawi drukarnię na Starym Rynku, gdzie drukuje m. in. materiały konspiracyjne. Jest jednocześnie komentatorem Róju „Sosnowka” (Hufiec „Szarych Szeregów” Piotrków Trybunalski). Aresztowany na skutek donosu niemieckiego konfidenta zostaje wysłany do Oświęcimia, gdzie ginie rozstrzelany pod ścianą śmierci 23 kwietnia 1942 roku.

Jan Zimowski HO (Harcerz Ori) pełnił służbę łącznikową pomiędzy grupą „Szaro-Szeregowa” a dhem Zygmuntem Grzelakiem ps. „Bogusz”. Brał też udział w wydawaniu konspiracyjnego pismka „Szaniec” (nie mylić z pismkiem o tym samym tytule wydawanym przez „Związek Jaszczurczy” — późniejszy „Narodowe Siły Zbrojne”).

Po wpadce „Szańca” przewieziono maszynę drukarską do Fabianic i tam drukowano go nadal. Drukarnia „Szańca” w Fabianicach została zainstalowana przy ul. Bugaj, a potem przewieziono ją na ul. Kopernika, gdzie dr Jerzy Lewandowski samodzielnie wydrukował trzy numery tego pisma.

Jan Biskupski ps. „Janos” z Fabianic brał udział w kolportowaniu „Biuletynu Kujawskiego”. Aresztowany, został zamordowany w śledztwie przez gestapowców w roku 1943.

Była też konspiracyjna drukarnia w domu parafialnym kościoła rzymskokatolickiego na Nowym Złotnie.

MIECZYSLAW KOZAK

Jeśli Polak jedzie do Nikaragui, rodzina zaczyna go momentalnie oplakiwać, że to zawiśnie zaraz na drzewie palmowym, albo zostanie w łeb od kontrasy, który mając na ramieniu amerykański automat woli jednak uderzyć maczugą.

Można by sadzić, że na całym obszarze kraju trwa nieustanna strzelanina; eksplodują bomby, świszczą granaty i leje się krew.

Nikaraguanczykom wcale na takiej opinii nie zależy, a winę za nią ponoszą korespondenci zagraniczni, gotowi przydać każdemu incydentowi dodatkowych wymiarów i smaków.

Nie znaczy to oczywiście, że korespondenci kłamią. Eksplodują bomby, świszczą granaty, leje się krew; są gwałty, morderstwa, tortury i porwania; piona wioski, padają kobiety i dzieci. Wszystko to jednak dzieje się z daleka od jezior i Pacyfiku, na Wybrzeżu Atlantyckim, w dżungli, w bezdrożnym i nieprzejeźdźnym buszu, o którym pojęcie można sobie wyrobić oglądając drugą, amerykańską wersję „Ceny strachu”.

A jednak i tu, w stolicy, w Masayi, w Granada i innych miastach rozciągniętych wzdłuż Oceanu Spokojnego obwołuje się stan wojenny.

Joaquin Molina, trzydziestoparoletni działacz FSLN, powiedział:

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Nikaragua: stan wojenny

(Od naszego specjalnego wysłannika)

— W buszu toczy się podsycona przez Amerykanów i wspomagana przez najemników (mercenarios) wojna o charakterze partyzanckim, która tak czy owak wygramy w ciągu dwóch lat. Mamy w sumie dziewięć, może dziesięć tysięcy wrogów (contras), poróżnionych zresztą ze sobą, zwykle głupich, otumanionych, nieświadomych celu, dla którego przelewają krew. Ich oddziały maszą się z bezprzykładnym okrucieństwem na ludności cywilnej, katują milicjantów chłopskich i zabijają żołnierzy, nie są jednak w stanie zaatakować naszych punktów strategicznych, bo w buszu takie praktycznie nie istnieją. W Managuí natomiast i w ogóle na zachodzie jest w co uderzyć. Szukałem przykładów.

W 1983 roku nastąpił udaremniiony zamach na rafinerię ropy naftowej w stolicy; podobna próba udała się kontrolerom w Corinto porcie nad Oceanem Spokojnym.

W 1984 roku zorganizowano atak z powietrza na managuąnskie lotnisko. Jedną z maszyn została zestrzelona, otarła się wszakże o wieżę kontrolną i zniszczyła instalacje portowe; druga zdołała w porę odlecieć.

W 1985 roku próbowano wysadzić w powietrze gmach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ładunki umieszczono pod pokrywą wózka z lodami, który pchnięto pod główne wejście.

Wybuchy zdarzają się również w kinach, hotelach, środkach komunikacji miejskiej i siedzibach linii lotniczych (Aeroflot). Krążyły pogłoski, że Amerykanie zbombardują managuąnski ośrodek wojskowy, w związku z czym żołnierze opuścili na kilka tygodni koszary i rozpozryli się po mieście. Wspomniano także o możliwości nalotu na centrum polskich dromaderów — samolotów opylających plantacje kawy, bawełny i bananów (trzy podstawowe produkty eksportowe, dzięki którym egzystuje kraj). Opylanie jest w ostatnich czasach szczególnie potrzebne, jako że walczą się z inwazją szkodników. W trakcie spotkania z pracownikami służby zdrowia prezydent Daniel Ortega oświadczył, że zarówno epidemia choroby dengue (zwanej potocznie „guebradora”; lamiąca, rozbijająca), która pochłonięła wiele tysięcy ofiar, jak i tajemnicza Plaga de Xanthonema niszcząca ponad czterdzieści procent zasiewów bawełny, są starannie zaplanowaną agresją chemiczną Stanów Zjednoczonych, które już nie raz dopuściły się podobnych ataków wobec Ameryki Środkowej, a obecnie chcą zrujnować Nikaragwę.

Wszystko to było powodem, iż w październiku 1985 roku ogłoszono w całej republice stan wojenny.

I znów powtórzę z uporem, że rodziny oplakujące krewniaka, który udał się w takiej czy innej sprawie do Nikaragui, leją izy przedwczesnie, bo stan wojenny w miastach po stronie Pacyfiku nie jest specjalnie wyczuwalny. Nie ma godziny policyjnej, nie słychać eksplozji i strzałów, nie widać zandarmów ustawiających ludzi pod ścianą i przeszkadzających im kieszonnie. Powszechna jest wprawdzie świadomość zagrożenia i przekonanie, że kolos z północy zawsze może uderzyć, lecz społeczeństwo oswoiło się z tą myślą i żyje normalnie — pracuje, bawi się, chodzi na plażę i do kina; młodzi tańczą wieczorami w dyskotekach, kobiety plotkują na werandach domów, zaś mężczyźni pociągają w ubogich tawernach piwo i doskonały rum Flor de Caña.

Ale grabarze mają robotę codziennie. Codziennie chowa się na cmentarzach z honorami kilkunastoletnich chłopców i kilkunastoletnie dziewczyny, które uczyły w odległych, przyfrontowych rejonach czytać i pisać, a potem zwałcone, zamordowane i zmasakrowane tak, aby nie

mogli ich poznać krewni i sąsiedzi, miały to szczęście, że wróciły w rodzinne strony i spoczęły w rodzinnej ziemi. Chowa się młodych żołnierzy, których przywieziono z buszu w prowilozycznych trumnach, żeby pogrzebać ich w obecności prezydenta Ortegi, a prezydent podchodzi do rozpaczających matek i brai je w ramiona. Chowa się (12 listopada 1985 roku) trzydziestu milicjantów z Managuí, którzy polegli w zasadzce na szlaku pomiędzy Bluefields a Juigalpa w czasie, kiedy transportowano broń dla sandinistów.

Boże, kogo się nie chowa? Ktoś mądry powiedział, że jedno życie ludzkie jest więcej warte, niż wszystkie symfonie patetyczne. Ktoś głupi z kolei oświadczył, że w pewnych rejonach świata, takich na przykład jak Ameryka Łacińska, Indie i Chiny, życie ludzkie nie ma żadnego znaczenia.

Do ciężkiej cholery! W konkretnym wypadku, kiedy chodzi o konkretnego człowieka, nie liczy się, czy jest on milionerem, czy zebrałkiem, sługą czy panem, gladiatorem czy kaleką — każdemu, do przetrwania, życie może być drogą, a więc dla każdego ma jednakoż znaczenie. Zapyta o to najpodlejszego, stożonego trędem Hindusa!

Nasłuchałem się i nacytałem wielu dramatycznych opowieści o tragediach nikaraguańskich, a niektóre rozgrzywały się lub puentowały w czasie mojej obecności w tym kraju. Dzienniki donoszą, że zbliża przed kilkoma dniami z obozu kontrasy w Hondurasie pewna młoda dziewczyna. Oświadczyła dziennikarzom, iż była przed tobkiem jednym z członków Brygady „Cincuenta Aniversario” (nazwa koresponduje z pięćdziesiąt rocznicą śmierci Augusta Cezara Sandino, największego nikaraguańskiego boha-

tera), którzy, sami będąc uczniami w wieku czternastu, piętnastu i szesnastu lat, zostali skierowani do szkół w Jinotega na północy kraju i w Matagalpa, która leży w rejonie centralnym, aby nauczać innych w ramach walki z analfabetyzmem. Zamordowano ich w sierpniu 1984 roku, o czym dowiadujemy się dopiero teraz. Dziewczyna, która była więziona w obozie kontrasy w Hondurasie (obóz nosi wdziedziczoną nazwę Las Vegas) i udało się jej stamtąd uciec, opowiedziała reporterom, jak ginęły jej koleżanki i koledzy — tym ostatnim otwierano nożem gardło, te pierwsze gwałcono przed śmiercią. Jedną z dziewcząt była w ciąży.

We wrześniu 1985 roku dziesięć matek wybrało się samochodem do wojskowego obozu szkoleniowego w Mulucucu (busz na północnym wschodzie), bo jest taki wyczał, że od czasu do czasu rodziny mają prawo odwiedzać żołnierzy w jednostkach. Kontrasi urządzili zasadzkę pod pozorem, że atakują samochód wojskowy. Wszystkie kobiety zostały zamordowane.

W San Juan de Nale zmasakrowano niedawno kilkanaścioro czerno- i pięcioletnich dzieci. Niektóre wydawnictwa nikaraguańskie publikują zdjęcia ofiar. Wydana w języku angielskim broszura: „COVER WAR TERROR” przedstawia straszliwą fotografię dzieci zakutych przez kontrasy nożami na stole jadalnym w jednej ze szpiżalni produkcyjnych w mieście San Gregorio. Mordu dokonano w październiku 1985 roku.

W wielu wypadkach u kontrasy i najemnych żołdaków na śmierć trzeba sobie zapracować. Amerykański „Newsweek” podaje poszczególne etapy zabijania ludzi. Chłop sam kopie sobie grób, następnie kontrasi uderza go nożem w szyję. Potem chodzi już tylko o dokładne zmasakrowanie twarzy ofiary, aby nikt nie mógł jej poznać.

Rozmawiałem z Juanem Jose Lacayem, korespondentem wojennym „Barricady”, jednym z autorów książki, która ma już w Nikaragui dwa wydania, opowiada zaś o wojnie toczącej się na Wybrzeżu Atlantyckim. Zamierzam wrócić w przyszłości do spotkania z Juanem i opisać je dokładniej; teraz przytoczę jedynie fragmenty dialogu.

- Wojna zawsze jest okrutna — mówię
- Si.
- Ludzie giną po obydwu stronach.
- Oczywiście.
- Oni zabijają i wy zabijacie.
- To prawda.
- Powiedz mi więc, co się dzieje, kiedy wasz oddział otacza dajmy na to bandę kontrasy, a oni odrzucają karabiny i poddają się. Strzelacie tak czy owak?
- Nie.
- Bierzącie ich do niewoli?
- Bierzymy.
- I co dalej? Zostają osądzeni i dopiero wtedy idą pod ścianę?
- Idą do więzienia, ale pod ścianę nie idą.
- Nigdy?
- Nigdy.
- Dlaczego?
- W Nikaragui nie ma kary śmierci. Była w czasach Somozy, ale Rewolucja ją zniosła.
- W duchu chrześcijańskiego miłosierdzia?
- Między innymi.
- Przyznaj się, Juan, z ręką na sercu, wierysz?
- W Bogu?
- Tak.

Juan zaważał się chwilę i odpowiedział: — Wierzę. Pomyślałem wówczas: obie strony zabijają w walce, ale morduje tylko jedna strona — kontrasi.

Zatem toczy się wojna na Wybrzeżu Atlantyckim, w buszu, gdzie brak niby celów strategicznych, ale są trzy kopalnie złota (Siuna, Bonanza, Rosita), jest wyręb drewna szlachetnego (mahoni) no i Amerykanie (USA) odkryli tam podobno w 1979 roku złoża ropy naftowej.

Kim są ludzie, którzy walczą przeciwko sandinistom? Są to byli zwolennicy Somozy, są to bijący się za pieniądze najemnicy z innych krajów oraz są to mniejszości narodowe: kilka plemion indiańskich i murzyńskich. Wypada je przedstawić z zastrzeżeniem, że tylko niewielka część plemięców jest z kontrasami; z drugiej strony wszakże wszystkie mniejszości mają pod adresem rządu rozszczenia.

SUMOS — plemię indiańskie o wielowiekowej tradycji; dzieli się na szereg szczepów; liczy około siedmiu tysięcy osób; w ciągu ostatnich lat kontrasi Steademana Fagotha, jednego z watazków kontrewolucji, porwali do obozów w Hondurasie trzy tysiące Sumosów, z których powróciło zaledwie kilkuset. Ich mowa wywodzi się z grupy językowej Misumalpan.

MISKITO — również przynależa do grupy językowej Misumalpan. Etnicznie przemieszali się w trakcie stuleci z Europejczykami i Afrykanami. W XVII wieku, dzięki broni angielskiej i poparciu Imperium, zaczęli nawać na Wybrzeżu Atlantyckim i w Zławi Północnej. Powstało nawet Królestwo Miskitów.

RAMAS — najmniejsza z grup etnicznych Wybrzeża Atlantyckiego. Przybyli prawdopodobnie w XIV w. z Ameryki Południowej. Dzisiaj można ich spotkać przede wszystkim na małej wyspie Rama Cay w zatoce Bluefields oraz w Waring Cay, Monkey Point i Punta Gorda. Język Ramas praktycznie zaginął; pamiętają go tylko bardzo starzy ludzie.

CRIOLOS — pochodzą od niewolników afrykańskich zmieszanych z białymi i Europejczykami. Są czarni, lecz pawien pisarz z Bluefields powiedział, że nie wyglądają „miświadectwo, a kultura. Kreol nikaraguański jest „anglopariante” (anglojęzyczny), de religión protestante (wymaga luteranizm) y con una dieta a base coco (a podstawie jego wyżwienia stanowią orzechy kokosowe!).

GARIFONA — mieszanka Indian Karaibskich i Murzynów; ich język, aczkolwiek wyszedł praktycznie z użycia, przypomina francuszczyznę odkształconą pod wpływem dialektów ludowych. Pod względem wierzeń religijnych, obyczajów i kultury plemię zachowało wiele cech afrykańskich.

W 1980 roku mniejszości zaproponowały oddzielenie Wybrzeża Atlantyckiego od Nikaragui i utworzenie nowego państwa. Rząd nie mógł się na to zgodzić, gdyż owe tereny (Zława Północna, Centralna i Południowa) zajmują 50 proc. powierzchni kraju.

Zaczęto mówić o autonomii. Obecnie jest ona przedmiotem szerokiej, ogólnonarodowej dyskusji. Sandiniści przyznali niejako, iż popelnili błąd próbując wprowadzić do zwycięstw rewolucji alfabetyzację w języku hiszpańskim, ponieważ Wybrzeże Atlantyckie posługuje się także innymi, wspomnianymi wyżej językami z dominacją angielskiego.

Ale nie chodziło tylko o autonomię językową i kulturalną. W 1983 roku rząd nikaraguański oświadczył, że za lata (1986) nowa Konstytucja Republiki obejmie prawa autonomiczne dla Wybrzeża Atlantyckiego, uwzględniając również kwestie administracyjne, ekonomiczne i społeczne.

Mniejszości twierdzą: Jesteśmy za rewolucją. Domagamy się obecności wojsk sandinistycznych na naszych terenach, gdyż żołnierze bronią nas przez kontrasami. Ale chcemy mieć jednocześnie przywileje decydujące w sprawach, które dotyczą nas bezpośrednio i od których zależy nasza przyszłość.

Tomas Borge, jeden z dziesięciu komendantów rady rewolucyjnej (odpowiedzialny za sprawy wewnętrzne), stwierdził:

— Wyzwolenie narodowe dopóty nie będzie całkowite, dopóki pewne rejonny i społeczności będą czuły się ograniczone w swoich prawach, dopóki Miskiti i Kreole nie będą mogli nauczać swoich dzieci w języku ojczym i dialekcie, dopóki Ramasi i Sumosi (najmniejsze grupy etniczne) nie przestaną trwożyć się o swoje narodowe przetrwanie.

Autonomia jest więc tylko kwestią czasu. Już w tej chwili naucza się w szkołach w trybie dwujęzycznym (angielsko-hiszpańskim lub miskito-hiszpańskim), wydrukowano pierwsze książki i podręczniki w języku ludowym, zaktywizowano regionalne ośrodki kulturalne i utworzono załazki przyszłych władz. Zaczęto inwestować w radio, w telekomunikację, w dwujęzyczne gazety, w asfaltowe szosy i mosty, które powstały na bezdrożach, we fote zrzeczną, caszierska i towarowa, która w polowie została zniszczona przez kontrasy w Zławi Południowej; w zbiorniki wody pitnej (w 1983 roku ukończono budowę takiego zbiornika w Puerto Cabezas, lecz w lipcu 1985 roku zdemolowali go kontrasi); w elektryfikację miast i wsi, w szpitale i regionalne ośrodki zdrowia, w przemysł drzewny wreszcie i agrolkulturę, które ucierpiały poważnie na skutek akcji sabotażowych.

Przy tym wszystkim nie należy zapominać, że licząca trzy i pół miliona obywateli Nikaragua (128 tys. km kw. powierzchni, 25 mieszkańców na km kw.) zaludniona jest w głównej mierze po stronie jezior i Pacyfiku. W tych rejonach panuje wciąż język hiszpański i nie ma problemów etnicznych. Do tych rejonów ściągają coraz więcej ludzi z buszu, gdzie toczy się wojna.

„Strefy chronione...”

Bezpośrednim powodem do napisania artykułu pt. „Strefy chronione” było to, iż jeden z współpracowników redakcji „UJ TUEKOER” podał krytykę błędne — jak twierdził — zarządzenie jednej z dziełnicowych rad narodowych Budapesztu, na co władze tej dzielnicy zareagowały z ogromnym oburzeniem. Ukazując to za klasyczny przejaw tłumienia krytyki węgierski publicysta Sandor Fekete podkreśla na wstępie artykułu, że jak twierdzi Marks Engels i Lenin „krytyka jest nie tylko prawem, ale również obowiązkiem”.

„Nawet i Stalin — pisze autor — początkowo uznawał konieczność wysłuchania krytyki, jeśliby zawierała ona „choćby pięć procent prawdy”. Później oczywiście owo twierdzenie stało się jedynie pustym frazesem. Stalin, a za nim mniejsze „figurki stalinowskie” obsesyjnie nie znosili nawet i takiej krytyki, która zawierała stuprocentową prawdę...”

Sandor Fekete przypomina, że prasa węgierska stała się w tamtym okresie tak „zakłamaną, służalczą, iż później Komitet Centralny musiał zlikwidować oficjalny organ partyni SZABAD-NEP, a ostatni numer tej gazety „zwyoloco pałł na ulicach Budapesztu wszyscy ci, którym obrzydł już podawanie w niej kłamstwa...”. Węgierski publicysta podkreśla, że od tamtego czasu nastąpił na Węgrzech historyczny zwrot. Nie idealizuje on wprawdzie dzisiejszej orszki węgierskiej i w ogóle środków masowego przekazu, ale — jak pisze — „w porównaniu z latami 30-tych na Węgrzech, a także z obecnym okresem w niektórych innych krajach, węgierska prasa nie ma powodu do wstydu. Ale nie miejmy tu złudzeń — dodaje — gdyż nie jest to wciąż jeszcze prasa, która bez zastrzeżeń odpowiadałaby zasadom klasycznej marksizmu”.

Sandor Fekete pisze następnie o dziwacznych i niezrozumiałych różnicach występujących między „krytyką zasad” a krytykowaniem instytucji. „Oczywiście musi cieszyc” — pisze — wzrost liberalizmu dotyczącego „krytyki zasad”. Publikuje się wiersze i powieści, które ironizują również z idei ustroju, jeden po drugim ukazują się utwory i artykuły, które „swobodnie sprzeczą się z zasadami”. Taki postępek cieszyc, gdyż nie mają prawdziwej wartości idee, których trzeba milicyjnie strzec przed jakąkolwiek krytyką...

„Ciekawym zjawiskiem jest jednak to, że podczas gdy na „krytykę zasad” liczne miarodajne czynniki lub osoby machają jedynie ręką, to w przypadku krytyki — choćby najmniejszej — jakieś instytucje czy też któregoś z funkcjonariuszy, zaraz „wybuchają ogólna czujność bojowa”. Pod adresem nie dość ostrożnego reportera lub publicysty zaraz wysuwane są takie zarzuty jak: „psucie rejonny”, „podważanie autorytetu”, „oczernianie”, „oszczerstwo” lub nawet „wywołanie wrogich nastrojów”. Autor pisze dalej: „Jeśli słuszny i interesujący opinie publicznej reportaż dotyczy „nieżywej osoby” wówczas nikomu nie przychodzi na myśl, że krytykę trzeba i wówczas przyjąć, jeśli zawiera ona choćby pięć procent prawdy... I odwrotnie. Jeśli reportaż zawiera ewentualnie tylko pięć procent nieprawdopodobnych danych, to stanowi to już powód, aby krytykującemu dziennikarzowi „wypoczą sprawę sądową czy postępowanie dyscyplinarne”.

Autor podaje tu konkretny przykład. Ośm współpracownik czasopisma „UJ TUEKOER” Zoltan Brady ujawnił w obszernym raporcie opublikowanym w 1985 roku kolidujące z prawem machinacje. Może nieco przesadnie sprytny „bohater” reportażu wykorzystał swe znajomości i kontakty, wskutek czego sprawa początkowo natury gospodarczej nabrała również „politycznego rozgłosu” i groziła skompromitowaniem osób, które nic nie wiedziały o podejmowanych manipulacjach, jak i o tym, że właśnie na nie powoływał się ów netałentliwy „bohater reportażu”. Zresztą zaraz po ukazaniu się reportażu właśnie on wniósł oskarżenie przeciwko dziennikarzowi. Rozpoczęto dochodzenie. W kilka miesięcy później pewna „oficjalna osoba”, która nie tylko pełni funkcję w sądownictwie, ale posiada również poczucie sprawiedliwości” złożyła oświadczenie, że stwierdzenia zawarte w raporcie są słuszne i prawdziwe. Jednak mimo to Zoltan Brady stanął przed sądem.

Węgierski publicysta zwraca uwagę, że dziennikarze wiedzą z doświadczenia, iż w wypadku próby uzyskania informacji np. z jakiegoś urzędu reporter na pewno spotka się z żądaniem przedstawienia treści reportażu przed jego opublikowaniem. To właśnie „budzi oburzenie Sandora Fekete’go, który zapytuje: Dlaczego — powiedzmy, właśnie władze rad narodowych mają posiadać prawo kontrolowania reportażu o mawiającego braku i niedonagania występujące w ich pracy? S. Fekete przypomina następnie, że sprawa krytyki prasowej była już „zrumionie” rozpatrywana na zebraniu partyjnym w Węgierskim Związku Pisarzy w roku 1953. Zdażyło się wówczas, że z powodu bardzo ostrych i sztyderych wierszy poety Laslo Beniamin wycofano jeden z numerów literackiej gazety „IRODALMI UJSAG”. W jednym z opublikowanych tam wierszy można było dostrzec się aluzji do osoby Matyasa Rakosi’ego, zaś w drugim — do ówczesnego ministra — literata Josefa Darvasa. Ponieważ nikt nie miał odwagi i głośno zastanowił się nad tym, czy wolno krytykować Rakosi’ego, dyskusja ograniczyła się do tego, czy wolno krytykować Darvasa, czy też nie...

W dyskusji zabrał wtedy głos cieszący się ogólnym uznaniem poeta Enll Madarasz, który oświadczył, że „krytyka jest wprawdzie cechą bolszewicka, ale co stanie się z socjalizmem, jeśli ni stał ni zowąd będzie można krytykować ministra”. Jako rozwiązanie owego „niełatwego dylematu” Madarasz zaproponował, aby istniała „możliwość poddawania krytyce każdej osoby, ale tylko do szezebla kierownika wydziału”. Długo wówczas na Węgrzech śmiano się z owej „odważnej propozycji”.

ANDRZEJ CZURKOWSKI (PAP)

Kiedy przez podium przedeflowały już wszystkie kandydatki dziewcząt, nial mi się ulubiony mój szlagier najulubieńszego idola piosenki, Krzysztofa Krawczyka: „...tysiąc pięknych dziewcząt z mego snu...”. Dziewcząt było nie tysiąc a sto, ściśle 83, a wszystkie zgrabne, urocze, śliczne. Takie, co to właśnie mogą się przysnąć w nocy. Nie tylko małolatowi — starszemu panu, jak niżej podpisany, tym bardziej!

Impreza pt. „Miss Ziemi Łódzkiej” była wspaniała. No bo te sto wspaniałych dziewcząt, ale nie tylko. Organizacja, oprawa itp., wszystko na duży, złoty medal!

Sala kawiarni „Centralu” była dobrze strażona — i słusznie, niepożądany element mógł tylko zakłócić imprezę. Organizatorzy, w tym koledzy z „Expressu Ilustrowanego” zadbał nawet o to, żeby żurnalistów nie było za dużo — nie respektowano legitymacji prasowych, w czym była myśl głęboka. Wiadomo, przedostanie się jeden z drugim malkontent z wy-

W przerwach między pokazami tłumek ciakawskich panów wcisnął się do garderoby. Jednak sprawna obsługa eliminuje przypadkowych oglądaczy. Biletem wstępu jest aparat fotograficzny albo mikrofon, toteż Romanowi Kubiakowi nie udaje się wcisnąć. Słusznie. Ze zdumieniem stwierdzam, że reporterów radiowych jest na imprezie więcej niż wszystkich rozgłośni w kraju, a fotoreporterzy reprezentują zapewne wszystkie polskie gazety.

I oto pani dyrektor Danuta Hammerowa ogłasza, iż jury, po długich i namiętnych sporach postanowiło z trzynastki wyłonić sześć finalistek. Ponieważ uroda kandydatek uniemożliwiła dokonanie wyboru, który nikogo by nie krzywdził, dyrektor Lech Sosnowski zaproponował kryterium obiektywne: „Central” ufundował dla finalistek sześć kostiumów kąpielowych. Do finału wejdą te dziewczęta, których wymiary pasują do kostiumów. Proste, obiektywne i dla wszystkich jasne kryterium.

Za chwilę oglądamy szczęśliwe finalistki. Kostiumy ufundowane przez „Central” są na te o-

Szturm na kawiarnię „Centralu” gdzie raz w roku na miejscu spedu niezamierzonych, bezdziałnych łodziaków, w których nie ustępował atakom na stoisko garmateryjne, gdzie właśnie rzucili świeżo opatrzone gaski. Z tą jedną różnicą że na garmat parły raczej zamienne, wieloletnie, a na spędy raczej bruchate głowy codzienne. Wejście do lokalu bronił oddział kulturystów dyplomowanych, który bramy raję otwierał tylko wybrancom — jak raz osobnikom ze starego portfela. Nas, autentycznych kawalerów, służbowo oddelegowanych do prasowej obsługi tej poaż się. Boże imprezy rozrywkowej, było zaledwie trzech i wszyscy ucadowaliśmy kłamkę. Za to mój redakcyjny kolega, który samowolnie przypałał się na pokaz damskich ciał — chociaż lekarze zabronili mu wstąpienia — wszedł bez najmniejszych problemów. Potem wpuszczono jeszcze dwa tuziny byłych playboyów, jakiegoś faceta z siłkiem

starunku pracy. Służba „Drovia” wcześniej zapowiedziała ostry dyżur zespołów kardiologicznych oraz wytypowała na wybory kilka pielęgniarek, które nie pierwszej urody, za to gruntownie przeszkolonych w pierwszej pomocy. Wzorem sklepów monopolowych, wywieszono też ostrzegawcze hasła mówiące, że nadmierna pobudliwość może być przyczyną wielu groźnych chorób.

Ogłoszenie składu jury, jurorów weryfikujących musiało wywołać sprzeciw, nie tylko z powodu braku w nim znanego sportowca, lecz z uwagi na obecność dwóch sędziów dociżńskiej — szefowej „Telimey” i skuratnie zdezonizowanej miss. Tu padły okrzyki że na sali jest więcej osób bardziej kompetentnych i chyba trochę bardziej doświadczonych, a mój bezwstydnny kolega zgłosił nawet wniosek o dokoptowanie go w skład rzeczoznawców. Te dzięki zapędy ostudziła nieco, w porę zauważona, obecność na widowni pięściarzy „Gwardii”. Jurorzy mogli więc spokojnie odczytać nowy regulamin wy-

ANDRZEJ KAROL

Sto pięknych dziewcząt ze snu...

brzydaczem i obsmaruje ziośliwie. Jednak miękkie serce kolegi redaktora Juliana Becka skruszało i wypuścił — niestety — niejakiego Romana Kubiaka, znanego przemiewcę i śledziennika, któremu nikt i nie nie dogodzi.

Na sali sami profesjonalści, filmowcy, radiowcy i telewizorowcy nie licząc dziennikarzy gazet i fotoreporterów. No, jeszcze paru kibiców spoza branży. Widać nie tylko red. Julian Beck miał miękkie serce...

W przerwach między pokazami tłumek ciakawskich panów wcisnął się do garderoby. Jednak sprawna obsługa eliminuje przypadkowych oglądaczy. Biletem wstępu jest aparat fotograficzny albo mikrofon, toteż Romanowi Kubiakowi nie udaje się wcisnąć. Słusznie. Ze zdumieniem stwierdzam, że reporterów radiowych jest na imprezie więcej niż wszystkich rozgłośni w kraju, a fotoreporterzy reprezentują zapewne wszystkie polskie gazety.

...wesolych staruszków

ROMAN KUBIAK

osadzonym na kiju od szczytki — podającego się za radiowca, oraz batalion podtatusiałych artystów z aparatami marki „Smiena” i „Druh” — podobno fotoreporterów znanych z osobism. Dopiero na ostatku pozwolono wejść nam trzem ale tylko warunkowo, na wstawienie niktymem przyjaciel z bratniego „Expressu”. Dostaliśmy przydział na miejsca w ostatnim rzędzie, za palmą i kolumnami głosnikowymi. Zreszta pierwsze rzędy już od świtu były zajęte przez spoonych i rozdygotanych z emocji jegomościów, wśród których dostrzegłem redakcyjnego kolegę.

Opis dantejskich scen, które rozgrywały się w czasie pokazu mocno odsłoniętych ciał finalistek, zmuszony jestem pominać gdyż wstyd ujawniać, jak zachowywali się na co dzień przykładni otcowie i dziadkowie. Stwierdzam jedynie, iż zostałem solidnie podparty, zaś lokal kawiarni wymaga gruntownego remontu. Jeszcze solidnie oberwał pewien operator kamery, który przywałony stołikiem i pięcioma grubasami, zdołał jednak nakręcić film o

W jury pani dyrektor Danuta Hammerowa, pan dyrektor Lech Sosnowski, redaktor Julian Beck oraz sekretarz, red. Sylwester Mudzo. O krassa, ozdoba i smaczkiem tego szacownego grona była, miłościwie nam panująca właśnie do tego dnia, ułębioroczna miss Łodzi, Katarzyna Pierwsza.

W przerwach między pokazami tłumek ciakawskich panów wcisnął się do garderoby. Jednak sprawna obsługa eliminuje przypadkowych oglądaczy. Biletem wstępu jest aparat fotograficzny albo mikrofon, toteż Romanowi Kubiakowi nie udaje się wcisnąć. Słusznie. Ze zdumieniem stwierdzam, że reporterów radiowych jest na imprezie więcej niż wszystkich rozgłośni w kraju, a fotoreporterzy reprezentują zapewne wszystkie polskie gazety.

Tymczasem w szatni: z rak do rak krążyło dyżurne nędzo, także pomocne w trudnej sztuce zdejmowania ślubnych obrączek. Kilku optymistów niepoprawnych toczyło heroiczne boje z paskami od spodni — by tym sposobem poskromić wylazące na horyzont sadelka. Zapach wody kolońskiej przenikał dyskretna woń odświeżonych garniturów.

dziewczynach — ale tylko od kolan w dół.

Potem jurorzy udali się na tajna naradę, a sala dyskuutowała o nagrodach. Ponieważ obiecane upominki były skromne, paru nachalnych czterdziestolatków — wzorem olesianinza Marco Antonellego — zgłosiło chęć ufundowania nagród specjalnych w postaci rodzinny spędzonej sam na sam z laureatką. Propozycje te zostały jednakże odrzucone przez finalistki, jako mało atrakcyjne. Wtedy kierownictwo „Centralu” posłało po sześć równorzędnych nagród słownych. Były to stroje gimnastyczne z grubszą przyciętą watacją. Musze też dodać — panie prokuratorce — że w następnej kolejności podano szampana, choć była dopiero godzina dwunasta minut dziewiętnaście.

No i zaczęło się! Jeszcze tylko drobna kosmetyka uroczych kandydatek, ostatnie instrukcje, udzielane życzliwie przez Janusza Kubiaka młodszemu, mniej doświadczonemu fotoreporterom (jesteśmy wściele zobowiązani, zdjęcia, które państwo oglądacie zrobił Grzegorz Galasiński pod artystyczną opieką fotoreportera „Expressu” Janusza Kubiaka).

Z prawdziwym żalem muszę tu dodać, że kandydatek nie poddawano tego roku testom na inteligencję — szkoda, te dziewczęta tak błyszczące urodą niewątpliwie zabłysnęłyby także bystrością umysłów...

Trudne zadanie spoczywało na konferansjerze, który musiał tak pokierować ruchem, żeby nie doszło do stłuczki. Raz po raz informował on rozpedzone panny, że lewa rączka to ta, na której nosi się zegarek. Zdecydowanie najlepiej radziły sobie weteranki podobnych konkursów, natomiast debiutantki jakby nieco zórzeł. Ta część eliminacji nie wzbudziła zbyt wielkich emocji, bowiem lubieżna publika ani myślała kryć, że bardziej interesuje ją ów towar po zdjęciu opakowań.

Kiedy impreza miała się ku szluznemu końcowi, starsi panowie ruszyli w kulury by namówić dziewczęta na wywiad, pozowanie do zdjęć artystycznych oraz inne atrakcje. Ci z różnych powodów odtrącałi, nagle zmieniłi zdanie o eliminacjach i ziośliwie przebaskiwali oś na temat konieczności ofiarowania dziewczynom luster.

Na podium, płatkami, wspaniale dziewczyny! Konferansjer, pan Jerzy Korsztyn dwoi się i troi, jurorzy pośpiesznie notują, fotoreporterzy i kamerzyści szaleją!

Sześć pięknych dziewcząt, wśród nich faworytka, pielęgniarka Magda o wspaniałej bład grzywie, poczeka jeszcze tydzień na uroczysty moment ogłoszenia wyników i koronacji.

Salę wypełniało zbiorowe podniecenie, wznagane komunikatami o tym, że zgłosilo się już sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, a nawet dziewięćdziesiąt kandydatek. Wtenczas paru gości z wyiekami na twarzach musiło sięgać po kropelki luh nitrogliceryne, bo powstała obawa, iż zejda na po-

Spoglądam, z trudem oderwawszy oczy od podium, po sali. Dostrzegam szefa łódzkiego PAP — Bogusława Sikorskiego z małżonką, szkoda, że nie w jury. Red. B. Sikorski znany jest przecież jako wytrawny koneser dziewczęcej urody... W jury brak także w tym roku przedstawiciela świata sportu — wielka to szkoda i bolesna luka...

Wszyscy poczekamy z wielką niecierpliwością!

Trudne zadanie spoczywało na konferansjerze, który musiał tak pokierować ruchem, żeby nie doszło do stłuczki. Raz po raz informował on rozpedzone panny, że lewa rączka to ta, na której nosi się zegarek. Zdecydowanie najlepiej radziły sobie weteranki podobnych konkursów, natomiast debiutantki jakby nieco zórzeł. Ta część eliminacji nie wzbudziła zbyt wielkich emocji, bowiem lubieżna publika ani myślała kryć, że bardziej interesuje ją ów towar po zdjęciu opakowań.

W przerwie do damskiej garderoby wcisnęła się ekipa ra-

Narada jury, zapowiedziana na pięć minut, trwa czterdzieści. Wszyscy przyjmują to ze zrozumieniem, wybór jest rzeczywiście trudny, dziewczęta wspaniałe!

Na zakończenie mam małą radę dla „Centralu”, który obdarował szczerze upominkami wszystkie kandydatki. Proponuję, aby w przyszłym roku „Central” na miesiąc przed konkursem rozpoczął sprzedaż — z bonifikatą tylko dla kandydatek! — luster. Lustro przyda się każdej kandydatce. Lustro przyda się każdej dziewczynie, niech na lustro każda z „tysiąca pięknych dziewcząt z mego snu...”

W przerwie do damskiej garderoby wcisnęła się ekipa ra-

W przerwie do damskiej garderoby wcisnęła się ekipa ra-



Foto: Grzegorz Galasiński

Zbliżała się połowa września, a Cezar wciąż medytował na gigantach. Były to smutne medytacje, bo chociaż ukończył dopiero siedemnaste lat, życie obrzydło mu z kretelem. Nie mógł już patrzeć ani na mury rodzinnego miasta, ani na tomaszowską milicję, ani nawet na własną babcię, która wychowywała go od małości. Bo ojciec Cezara był — jak pisał w kronikach — typu NN, matka zaś założyła nową rodzinę, wyniosła się na Wybrzeże i z synem w ogóle się nie kontaktowała. Staruszka babcia nie mogła sobie z chłopcem poradzić. Porzuciła naukę, kradła, uciekała w Polskę, tak że trzeba go było oddać do domu dziecka. Jednakże stamtąd Cezar również uciekał, bo to nie był jego dom. Dokonywał włamań i rozbojów, był zatrzymywany w wielu milicyjnych izbach na terenie kraju. Gdy nie pomogły tłumaczenia i perswazje, umieszczono go w poprawczaku.

Po roku pobytu tam zmienił się do tego stopnia pod względem zachowania, że na sierpień wydano mu miesięczną przepustkę. Cezar tak się zachłystał wolnością, że nie wrócił z przepustki do poprawczaka. Ostatnio jego dane personalne przedstawiały się następująco: ukończone 7 klas szkoły podstawowej, zawód wyuczony — stolarz, miejsce zameldowania — Tomaszów Mazowiecki, miejsce zamieszkania — Dom Poprawczy w Krakowie, miejsce zatrudnienia — dorywco cementownia, pracownik fizyczny.

Cezar miał nad czym medytować. Podejrzewał, że zdradza go jego dziewczyna o imieniu Marysia, szesnastoletnia uczennica klasy szóstej. Była w gruncie rzeczy niewinna dziewczyna, milicja podejrzewała ją tylko o włamanie do sklepu.

Cezar usiłował nawiązać z nią kontakt poprzez Januszka, piętnastoletniego ucznia klasy szóstej, który nie grzeszył tak niewinnością, jak Maria. Był sprawcą kilku włamań i kradzieży i zaliczył pięć miesięcy schroniska dla nieletnich w Tarnowie.

W sobotę wierny Januszek udał się na rozkaz Cezara do domu Marysi i zaczął ją wywoływać głosem „nieletniego herolda”. Maria poczuła się obrażona i ponizona, bo wrzaskliwy herold naraził na szwank jej reputację. Uznała, że nie jest dziwka na każde

skinięcie i dumnie milczała, zamknięta w czterech ścianach. Potem jednak duma w niej pękła. O godzinie siedemnastej wyszła dobrowolnie z domu i wkrótce spotkała na ulicy Cezara z Januszkiem.

— Mariol! jeśli naprawdę mnie kochasz — oznajmił Cezar — to wyjedź z mną pod namiot do Gdańska.

— Zagłupiałeś?! Tak nagle? Nie jestem przygotowana.

— Za to ja gotów jestem na wszystko. Dokładnie to przemyślałem.

RYSZARD BINKOWSKI

Gigant z wkrętakiem

— Słuchaj, ja muszę się uciąć, Cezarku — kręciła białymie Marysia.

— Ja się na to piszę! Gigant pod namiotem to radość życia! — zawołał przypochiebnie Januszek.

— Nie chcę o tym słyszeć! — sprzeciwiła się Maria.

— Ach, tak! — wrzasnął Cezar. — No, to zaraz zobaczysz, co ja potrafię, kochana.

Popatrzył okiem samobójcy w twarz ukochanej, odwrócił się i poszedł prosto do kiosku „Ruch”. Pragnął odegrać na ulicy taką scenę, którą Tomaszów długo by pamiętał. Gdy Maria zobaczyła, że szalony Cezar kupuje żyłki, zbladła z przerażenia. Nie, nie bała się o własną urodę. Pomyślała ze strachem, że Cezar dokona publicznie, samookaleczenia, bo już nieraz próbował tego numeru.

— Ty głupku! — wrzasnęła. — Myślisz, że pokocham takiego porzniętego. Wstyd się pokazać z takim siekańcem na ulicy, a co dopiero jechać do Gdańska.

— Pozalujesz tego, Mariol! — zgrzytnął zębami Cezar. — W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak oddać się w ręce milicji. Ale bez rozlewu krwi się nie obejdzie...

Co rzekłszy Cezar wszedł do budki telefonicznej i wykręcił numer pogotowia milicyjnego. Następnie podał swoje dane personalne oraz miejsce, skąd dzwonił, po czym jął wrzaskować, aby słyszeli go także Maria z Januszkiem:

— Uwaga, nędzne gliny! Jeżeli chcecie zobaczyć trupę we krwi, to przyjeżdżajcie natychmiast! Jestem na gigantach i na życiu mi nie zależy, jasne?! Pójdę do szpitala albo do grobu, ale nigdy do poprawczaka!

Kiedy odłożył słuchawkę, Maria szepnęła z nabożnym zdumieniem:

— Cezarze, taki numer? Boże, i to dla mnie? Myślę, że już się trochę lubię, Cezarku...

— Stwierdziwszy, że zrobił na obojgu pewne wrażenie, Cezar

osiągnął. Zajeżdża własnym autem, przedstawia narzeczoną, a matka płacze ze wzruszenia. Nie dbała o swego syna, a ten się jednak wybił.

Zaintrygowani Maria z Januszkiem krążyli po uliczkach czekając, co też wyniknie z tej wyprawy Cezara do RUSW. Spotkali go po trzech godzinach. Nie był ani pocięty żyłką, ani też spalowany, czym wielu lubi się teraz chełpić, że to niby ofiary reżimu, łtepe.

— Byłeś tam? — spytał zdumiony Januszek.

— Jasne. Zameldowałem się jako gigantowiec, naplotłem różnych legend i zwałiem.

Tego już było za wiele. Cezar dokonał tylu niezwykłych, bohaterkich czynów, że Maria całkowicie się rozkleiła.

— Nie gniewaj się, Cezarku — szepnęła nieśmiało.

— Wiesz, chyba pojedę z tobą pod ten namiot.

Około północy esteta Januszek znalazł przed blokiem samotnego fiata 126 w koloście piasku pustyni. Chodziło im o malucha, bo Cezar umiał jeździć tylko takim autem. Tamci stali na lipku, a on otworzył śrubokrętem zamek od strony kierowcy. Następnie odepchnął fiata na odległość dwustu metrów od miejsca parkowania. Tutaj Cezar spokojnie rozmontował stacyjkę, połączył przewody elektryczne i uruchomił silnik. Usiadł za kierownicą, Maria z Januszkiem zajęli miejsca z tyłu i ruszyli w pełen przygód długi rejs, albo tak im się przynajmniej wydawało. Jedynym narzędziem zbrodni, jakie zabrał na gigant, był wkrętak.

O drugiej w nocy znaleźli się na peryferiach Łodzi.

— Słuchajcie, bracia! Jeśli mamy dotrzeć nad morze, to trzeba się postarać o benzynę — oświadczył Cezar. — Chyba, że chcecie wracać do mamy.

— Dla mnie to się jeszcze taka nie urodziła — mruknął Januszek.

— O, nie! Teraz nie ma już

co pokazywał się zgrębom — zdecydowała Marysia.

Opuszcili więc fiata i Cezar włamał się za pomocą wkrętaka do innego samochodu, skąd zabrał butle gazową i kanister z benzyną. Przelali paliwo do baku auta skradzionego w Tomaszowie, znaleźli bezpieczne miejsce na strychu i przespali się do szóstej. Potem udali się do koleżanki Oli, którą Cezar znalazł ze swych licznych wędrówek po kraju.

Miała szesnaste lat, była w szóstej klasie i mieszkała na stałe w pobliżu stadionu RTS Widzew. Ola jak zwykle była wolna, nie przywiązana łańcuchem do kółka, bo teraz rodzice sa nowoczesni i pozwalają swym progeniturom na samowolność, żeby te nie wpadały w kompleksy. Cezar przeto bez trudu wyciągnął panienkę z domu i zaproponował wyprawę pod namiot, na co Ola wyraziła radosną zgodę. Poszli więc we czwórce do porzuconego fiacika i ruszyli na przejażdżkę po ulicach Łodzi.

Szczerze mówiąc, nie była to żadna kawalerska parada, bo Cezar po prostu szukał drogi na Gdańsk. Poza tym prowadził to on umiał jako tako, ale z przepisami był mocno na bakier. W pewnej chwili wjechał na ulicę jednokierunkową i zaczął pruć jak kamikadze pod prąd.

— Ty, gliny! — wrzasnął zniecała Januszek.

— Cooo? Gdzie?

— Przyuważył nas radiowóz, baranie!

Dziewczyny zaczęły przeraźliwie piszczeć i szlochać, ale kolega Cezar nie stracił zimnej krwi. Wykonał ściśle cyrkowy skręt i uniknąwszy jakimś cudem kraksy, pojechał równo z prądem, a za nim ścigający ich radiowóz MO Cezar wydosłał się szczęśliwie na Pabianicką, ale gdy radiowóz nie przestawał ich gonić, skręcił nagle w pełną drogę. Porzućwszy fiacik, zaczęli uciekać w pola. Koleżanka Ola, choć mieszkała przy stadionie, była zupełnie bez formy, toteż milicjanci szybko ją ujeli. Po została trójka wymknęła się pogoni i kłucząc pośród stodół, ogródków i zagajników dotarła do przystanku. Wsiadli do tramwaju linii 41 i około ósmej rano wyładowali na „Zielonej Górze” w Pabianicach. Byli zmęczeni, wystraszeni, głodni i bez pieniędzy.

Cezar rozejrzał się wokół, po czym oznajmił:

— Stójcie tu, a ja już nie pozwolę nam umrzeć.

— Rozwalisz bank, co?

— Po co księdza, wiadomo, to nawiedzony dom, sam diabeł mógł przyjść w postaci kota — śmiało wystąpiła młoda kobieta.

— Pani Wando, żeby to powiedziała pani babcia to bym...

Dalsze słowa już nie docierały do gromady. Kilku mężczyzn rzuciło się w pogon za przerażonym zwierzątkiem umykającym do sąsiedniego pomieszczenia. Znalazła się siekiera. Do kłęczącego nad zwłokami lekarza i stojącego przy nim milicjanta docierały odgłosy szamotaniny, pisku i wreszcie śmiertelnego charczenia. Zaległa cisza. Krwawy strzęp kociego cielska położono przy starusce.

— Po co to? — lekarz wzdrygnął się z obrzydzenia. — Lepiej pomogliście zabezpieczyć ciało. Na milicję dzisiaj nie ma co liczyć.

Rozejrzał się po pokoju. Otaczali go niby ci sami ludzie, których znał i którym pomagał od lat, ale jakby trochę inni po jatce, w której przed chwilą uczestniczył.

— No, panie Zajdler — zwrócił się do milicjanta — niech pan gdzie zadzwoni do szpitala i po milicję.

— Może lepiej... — zaczął tłumaczyć funkcjonariusz. I nie wiadomo co miał na myśli, bo zakończył za niego ktoś z tyłu.

— Panie doktorze, może i jej nie zamordował, ale to nie jest taka normalna śmierć.

— To należy do ekipy dochodzeniowej. Przecież muszą zabrać stąd tę kobietę — doktor wyraźnie tracił cierpliwość. Ze stojącej za drzwiami gromady dał się słyszeć jeszcze jeden głos, który streszczał to, co inni myśleli.

— Może nie wolno jej stąd ruszać? Na wszelki wypadek trzeba to tak zostawić.

— Na wszelki wypadek? O czym wy mówicie! Przepuście mnie, ja pójde zawiadomić milicję — rzucił zdenerwowany lekarz i zaczął przeciskać się do drzwi.

Za progiem niemy tłum rozstąpił się. Szedł szybko, chciał mu się bieć, ale wstrzymywały go miloczące spojrzania z plecami. Na progu domu mijał zaniepokojoną żonę. Dobiegł do telefonu. Wykręcił numer powiatowego szpitala. Nagle odsunął firankę, bo zobaczył za oknem coś niepokojącego.

— Na wszelki wypadek — mruknął i odłożył słuchawkę.

Nad mokradłami rozlała się krwawa luna. Dom zielarki stał w płomieniach.

Soltys nie dawał za wygraną.

— Księdza by zapytać.

Luna nad mokradłami

BEATA SZUSZWEDYK

Czy młoda gospodyni, właścicielka wzorowej obory, w której czekała na zmechanizowany udój wysokomleczne krasule, można nastraszyc groźbą interwencji sił nieczyistych w postaci „kurzego moru” czy „zamówienia w krowach mleka”? Na pewno nie. Czynające w polu Południe na pewno skutecznie przepłoszy nowoczesny rolnik wjeżdżający kombajnem w nagrzane słońcem zboże. Ale ktoś z mieszkańców wioski potrafi obojętnie i bez delikatnego drżenia nóg przejść obok samotnej chatki na mokradłach, w której na dodatek mieszka staruszka w towarzystwie czarnego kota? A jeżeli dodać, że zajmuje się ona zbieraniem ziół, to już doprawdy czuć mrowie chodzące po plecach.

Od dawna wieść gminna niesła, że tam straszny. Mieszkańcy po zmroku skrzętnie omijali „nawiedzony dom”. Miejscowy milicjant jedynie będąc na służbie przyjmował do wiadomości, że żyje w drugiej połowie XX wieku i o mieszkankę domu na mokradłach wyrażał się jako o obywatelkę Sędziwej, prywatnie jednak wolał nie przebywać wieczorem w podejrzanych okolicach.

I tak życie w wiosce toczyło się leniwie zgodnie z rytmem pór roku, święta i wyświełanych seriali, aż do pewnego wieczoru.

Ceremonial uroczystej niedzielnej kolacji został naruszony z winy najważniejszej na wsi osoby, mianowicie soltysa. „Soltysowe sumienie” sprawiło, że nie smakowała mu zupa, a karp stawał przyswojową ością w gardle. Człowiek był porządny i dopiero po dłuższej chwili zadzwonił do mieszkającego obok lekarza. Poprzedniego wieczoru, gdy wracał z lasu, zobaczył wchodzące do chatki na mokradłach dwie meskie postacie. Początkowo myślał, że to ktoś z sąsiedniej wsi przyszedł do zielarki po jakąś miksturę. Zaniepokoiło go to, że weszli oni do ciemnego domu i dopiero po dłuższej chwili zapaliło się tam światło. Idąc do siebie cały czas obserwował ruch w domku, ale wychodzących nocnych gości nie widział. Zauważył jednak o wczorajszym zdarzeniu. Dopiero teraz przy ko-

lacji przypomniał sobie i zaniepokoił się. Mógł przecież wczoraj podejść do okna i zajrzeć czy starowince nie dzieje się krzywda, ale jakos nie zrobił tego.

Ustalił, że za kilka minut razem pomaszują na zwiad. Następnie wzmocnili ekipę milicjantem w towarzystwie żony, która tym razem nie dawała się przekonać, że to „obowiązkowe służbowe”, ale była raczej przekonana o możliwości „suto zakrapianej” dyskusji. W drodze na mokradła przyłączyło się do nich kilkunastu ciekawskich.

Dom, ku któremu zmierzali, stał cichy i ciemny, rozmowy powoli milkły, roześmiani panowie coraz ciszej dodawali sobie odwagi, a towarzyszące im niewiasty, początkowo żywo spekulujące na temat domniemyanych wydarzeń w domu Baby-Zielary, teraz skupiły się w małą gromadkę. W nocnej ciszy, przerywanej tylko tajemniczymi odgłosami utajonego życia zimowego mokradła, wszyscy poczuli się nie-swojo.

Milicjant, jako osoba urzędowa, trzymał fason i dzielnie maszerował na czele pochodu. Pierwszy też dotarł do okna domu staruszki. Było ciemno i nikt światła wciąż gasnącej latarki nie przekałał brudnych szyb. Lekarz pchnął drzwi i odwrócił się, żeby zatrzymać pozostałych, ale za swoimi plecami nie znalazł chętnych do wejścia. Z wnętrza wydostała się odurzająca woń trawy i ziół, która byłaby przyjemna, gdyby nie towarzyszący jej fetor. Milicjant usiłował naprawić latarkę, podczas gdy soltys po omacku szukał w pokoju świecy i zapalek. Signał na półkę i wtedy rozległ się przeraźliwy pisk. Towarzyszył temu łomot spadających naczyń. Ciekawscy w popłochu wycofali się za drzwi.

Nagle zrobiło się widniej i strumień światła z latarki zaczął penetrować zawieszona bukietami ziół ściany. Znalazła się lampa naftowa i dopiero wtedy żółte światło dotarło w najciemniejszą część pokoju. Przerazone kobiety z krzykiem zaczęły przepychać się przez zgromadzone za progiem tłumek, byle dalej od

1

Opowieści wschodnie

Cyrk reprezentacyjny

Regent Perszeronii był znany mecenasem sztuk wschodnich. Miał, że popierał artystów, hojnie ich wynagradzał i na wiele pozwalał, ale jeszcze dbał, żeby mieli okazję pokazać swój kunszt za granicą oraz aby z zagranicy przyjeżdżali różni wybitni artyści, dostarczający duchowego obrotu obrządkom regencji.

Perszeronscy artyści wiedzeli nawet z Oceanu. Wracali słońcami i z kiesiami wpełnionymi zaoceanicznymi, twardymi walutami.

Pierwsza skaza na domyślne rozwijającej się wymianie kulturalnej była porażka pewnego pięknego Araba o wdziaczynym imieniu Christopher. Pojechał on był za ocean szlakiem swego wielkiego imiennika Kariera, wszelako nie zrobił, nie za imponował miejscowym koniom i — wstyd powiedzieć — musiał zarabiać na życie jako zwykły koń pociągowy.

Półki sławny Christopher był w Zaoceni w miejscowej prasie nikt o jego zagranicznej karierze nie wspominał. Pisali, owszem, że jest tam, że występuje, że kiedyś wróci.

Tymczasem Christopher wrócił i — o zgrozo! — przyniósł z sobą wszystkie. Powiedział ciekawym dziennikarzom, że nie przyjechał do miejscowego rynku, sukcesu nie odniósł, pieniądze nie zarobił. Wprawdzie — zdaniem pięknego Araba — wina nie leżała po jego stronie, piękny bowiem jest i utalentowany nad podziw, ale Zaoceniowcy na tym się nie poznali, woleli własne produkcje artystyczne (o ileż gorsze, jak wiadomo), zainwestować też nie chcieli w perszeronskiego gwiazdora. A tam bez fotsy ani rusz!

Wówczas władze kulturalne, zaniepokojone tym faktem, a już szczególnie niepotrzebna gadatliwość pięknego rumaka, urządziły mu — jako rekompensatę — cały festiwal jego twórczości. Produkcie gwiazdora niemal bez przerwy transmitowały różni radio, we oraz centralna telewizja Perszeronii. Wymyślono ponadto chwytliwy sposób na ratowanie imienia artystów własnych: srodawczono mianowicie z zagranicy artystę nader miernego, żadna popularność nie cieszącego się we własnym kraju, ot, mizerna chabele. W zamierzeniu miał to być blamaż tegoż zagranicznego artysty, kleska kompletna i ukazanie światu całego, że nie tylko u nas są niedoścignieni, ale także — proszę o to przykład — zza najdalej granicy da się też osiągnąć artystę tak miernego, że nawet nasi są lepsi.

Chytrzy zamiar spalił jednak na białej, a to z powodu rutynny w jaką podali perszeronscy dziennikarze. Z przyzwyczajenia narobili szumu, że oto gwiazdor przez wszystkich wytestowany zmateriałizuje się na perszeronskich estradach spełni marzenia nie tylko młodych klaczków i stacjonarzy starców kobyl, podobnie publiczność i dostarczą niesłychanych wrażeń całemu ludowi Perszeronii.

Żeby utrzymać jeszcze po napisy gwiazdora ogłoszono różne konkursy dla wielbicieli tegoż samego srodawczono nie tylko samego artystę, ale jeszcze jego oca i brata na dodatek.

Sukces był pełny. Nawet jeden z rozsądniejszych krytyków pochwalił owo artystyczne zero, choć zrobił to w sposób przewrotny — napisał był, że w dalekiej Ameryce był niedość pewien wielki nieśmiały Elvis Presley i po jego śmierci zrobił karierę nieśmiały nieo mnielszy, ale bardzo owo Elvina przypominający nieśmiały Shakin Stevens. Była to prawda, ale tak się miała do przypadku owego gwiazdora, jak wschód słońca do zanadłoczek, bowiem wielki artysta którego śmierć miała utworzyć drogę nowemu gwiazdorowi, umarł

był już bardzo dawno a ten nadal nie mógł zrobić kariery...

Zapomniano też w Perszeronii o całej sprawie, kiedy nadarzyła się okazja „odebrania się” na występie zagranicy, zaprezentowania im sztuki takiej, że oko bieleje!

Otóż księstwo Zoofilli zaprosiło na gościnne występy reprezentacyjny cyrk Perszeronii!

Przysotowania trwały bardzo długo, cyrk powiększył swój zespół o nowe gwiazdy, wyszkolono kilkadziesiąt koni w tańcach na arenie, ucielesniono zebra wystąpiły jako clowni a kucyki zonglowały talerzami. Najwybitniejsi perszeronscy iluzjoniści wciągnęli masę koniki z cylindrów, a ośw ćwiczyli na batucie lub na trawie bez wysoko zawieszonym pod samą kopułą.

O jednym tylko zapomnieli szefowie z Wydziału Cereornii i Wydziału Wyciągów Wielkiego Urzędu Kancelarskiego, Otóż księstwo Zoofilli słynęło od lat jako ośrodek sztuki pyrrowej na najwyższym światowym poziomie i publiczność tamtejsza była bardzo wbredna...

Toteż występy Reprezentacyjnego Cyрку Perszeronii zakończyły się straszną klęską, artystów wywizdano i wydrwiono!

Na szczęście lud Perszeronii o niczym nie wie. Znow dzieło perszeroniskim dziennikarom, do Zoofilli delegowano komentatora telewizyjnego, który w swym słownictwie ma tylko ceterum przymiotniki: cudowny, wspaniały, olśniewający, znakomity, słownictwo to w żadnej mierze nie przydałoby mu się do opisanie kleski reprezentacyjnego cyрку...

Toteż korespondencje jego były cudowne, znakomite, wspaniałe i olśniewające, a po powrocie dyrektora Cyрку Reprezentacyjnego została przez niego — też niezgodnie z prawdą — udekorowana Złota Podkowa na białej szarfie.

Recenzent także dostał narode. I wszystko jest dobrze, po staremu...

BEN GRUNDIK

2

Na wszystko jest sposób

Cała noc śniły mi się barany. A to z tego powodu, że mam zwyczaj wieczorem czytać w łóżku gazetę. I właśnie wyczytałem o dziwnym sposobie walki z kretami. Dziwnym i śmiesznym.

Na wszystko można znaleźć jakiś sposób. Wybrałem się kiedyś z kolegami na ryby. Mieliśmy łapacz na ciasto i na blysk. Ale ani na ciasto, ani na blysk nie chciało się złapać. Wtedy któryś wrocił na pomysł, że zrobilibyśmy śle, bo nie wzięliśmy robaków. Na robaki na pewno by brało.

Rozczartłem się po face. Leto było suche. Laki raczej słaboczyste, bez trawy. No i nie mam łopat. Ot, kłopot. Ale laka idzie starszek.

— Dziadku — mówię — nie wiesz, jakby tu zdobyć trochę robaków, bo na ciasto nie bierze.

— Ano — mówi dziadek — trzeba nakopać.

— To wiemy, ale nie mamy łopat.

— W zagrodzie jest — mówi dziadek — ale daleko.

— Ano — mówię — daleko, inaczej nie da rady, trzeba mieć łopatę.

— Jest sposób — na to dziadek. — Trzeba wziąć kł... wsa-

dzię w ziemi i tak długo wiercić, aż wyjdą z ziemi wszystkie robaki.

Zaczętem rozgadać się za kłosem.

— Czego szukasz? — pyta Gienek.

— Kija — i odpowiadam, co trzeba zrobić, aby robaki same wyszły z ziemi. — I jak myślisz — ortam — wyjdą?

— Pewnie — mówi Gienek — żeby zobaczyć, co za durni wierci dziure w ziemi.

Niedawno znajomy opowiadał mi o pewnym małym chłopcu, który wymyślił sposób, aby nie mieć kłopotu z pasaniem gosi. Owe znajomy, gdy był chłopcem, musiał być pastuszkami. Miał on jednak szerokie zainteresowania i brał z sobą na pastwisko książki, które namietnie czytał, a gosi wlażył w szkole. Wziął więc sobie pomocnika. W ten sposób właśnie rośnie na ośi zatrudnienie Gosi, pasło zatem dwóch małych. Jeden większy, zainteresowany książkami, pełnił rolę kierownika, a drugi mniejszy pomocnik, wykonujący polecenia starszego.

— Kaziu! — krzyczał kierownik, podnosząc oczy nad książkę — ses, znow wlażył w żyto!

Kazio jednak nie był zachwycony swoją rolą, ciagle musiał biegać za stłumami gosi, a te bezustannie lały w szkole, zamiast paść się spokojnie w miejscach dozwoleń. Taki już jest los wykonalnych poleceń kierownictwa. Lubisz, nie lubisz, robić musisz. Kazio wolał się bawić, zamiast zaniąć za stłumami gosi. Ale starszy ciagle krzyczał.

— Kaziu, gosi!

Wiec Kazio, aby mieć spokój, postanowił usunąć przyczynę, która zakłócała mu zabawę. Po prostu, gdy ses znow wlażył w żyto, wyłapał je i potkrecal im zwie. Starszy spokojnie czytał książkę, młodszy bawił się, ale zawsze jest jeszcze widać widać, Matka czyli właścicielka gosi, zaniepokojona nadzwyczajnie ciszą, znalazła dowody zbrodni i... Lepiej nie wspominać, co się później działo. Mój znajomy dobrze to do dziś pamięta.

No, i teraz możemy zająć się baranami, które śniły mi się całą noc. Otóż przed snem wyczytałem w „Expressie Ilustrowanym” informację własną pod sensacyjnym tytułem: „Przed mistrzostwami Europy owca tuż przed wypłosa krety”. Przeczytałem to z zainteresowaniem. Czytam więc informację własną podpisaną przez (bądź) dowiaduję się z niej o mistrzostwach Europy w lataniu przyczynym. Maja one się odbyć w połowie sierpnia 1986 roku i już od zeszłego roku przygotowują się do tych zawodów lotnisko na Lublinku.

I tu jest sekopul. Otóż lotnisko nie jest w najlepszym stanie, a na dodatek tego powierzone rvia krety. I władze Aeroklubu Łódzkiego wadły, na pomysł, aby zawrzeć umowę z jednym z pobliskich rolników, który będzie pasł owce na polu lotniska, kosił trawę, i bardzo dobrze. Lubie bowiem baraninie i ciesze się, gdy hodowla owiec rozwija się.

— Ale, cawtam dalej!

„Przewiduję, że ich dłużej widać, które zruzi się wreszcie kretom, które zmaida sobie inne tereny”.

A jak polubia tu pot owiec? I nie wymiosa sie? To, co będzie?

Długo śmiałem się z tego pomysłu i później przez całą noc śniły mi się barany i owce.

Dawniej, jak ktoś chciał wypląsć krety z ogrodu, to wsadzał w kretowiska słowy no śledziach. Krety bardzo tego zapachu nie lubią i wymiosa się. Był to sposób skuteczny, ale — dziś — może okazać się zbyt kosztowny. Skąd wziąć tyle słów do śledzi? Chociaż jakby się chciało, to i na to znalazłby się sposób. Ale nie powiem, jaki. Zycie powadze, na obrzydzeniu kretom życia tunaniem owiec. Nie należy jednak kolarzyć tego z tunaniem mew.

ZENON POROWATY

3

Felieton pesymistyczny

Niedziela, szesnasta...

Szanowny Panie Redaktorze! W pierwszych słowach mego listu muszę Szanowna Redakcji przeprosić, iż dość długo się nie odzywałem, ale zmogły mnie, jak i wielu innych kuracjuszy, ekscyzy aury. Dopadła nas też epidemia grypy „wiatrowki”, zdziściakowały kalary, anginy i inne niesympatyczne infekcje. Na szczęście, najgorsze mamy już za sobą, niezastąpiony Lysol i jego ekipa naszpikowali nas otornymi ilościami piguł, zastrzyków, niektórym nie szczędzono nawet „baniek”, toteż szybko stanęliśmy na nogi, z niżej podpisanym na czele.

Nie ukrywam, że wiele zawdzięczamy też telewizji, zwłaszcza doskonalej, cyklicznej audycji „Studio 1”. Klauziumem niewiele, ma szansę zostać (eh, ten Kaligula to był kawalarz...), „Panem na Ziulwach” można się nie zachwycać, ale gdy wybijie godzina szesnasta w niedzielę, ziste trudno się dopchać przed telewizor w naszym klubie. Wiedzę doskonale, iż śmiech to zdrowie, bohaterowie „Studia” też zdrowi, zadowoleni, zawsze uśmiechnięci, widać, że katary ich się nie imają. A ciesza się! Jak dzieci...

Dziś również ci najwytrwalsi z pacjentów blokowali co lepsze miejsca, od południa, od „Robin Hooda”, wielu zrozgniewowało nawet z obiadu, były tylko, zaraz po znanym dobrze sygnale: „Ba, ba, ba, ba...” pokiwad z bliska, z pierwszego rzędu radosnej pani Zosi, pani Edycie, panu Markowi.

Zajęliśmy z magistrzem B. ledybe wolne miejsca na korytarzu, tuż obok siostry przełożonej, Halinki, która z wypiekami na twarzy oczekiwała na wiadomości o wyborach Miss Studia 1, która automatycznie wchodzi do trzydziestki najładniejszych dziewcząt w kraju, nie mówiąc o nagrodach, uściskach dłoni i innych splendorach. Dla ordynatora Lysola miejsce już nie stało, przywył z późno, więc jeno zarzymował zgryźliwie: „Niedziela, godzina szesnasta, ciesza się ze wsi, ciesza się z miasta...” i wściekły popędził do swego gabinetu, by zaliczyć najlepszy od wielu lat program rozrywkowy naszej telewizji na swym przenośnym, małowizyjnym odborniku.

A tu działy się rzeczy niezwykłe, rozczulające do łez nie miał. Oto pani Zosia przepięknie pani Urszule B. na okoliczność pobytu tej ostatniej w Japonii, Orladaja jakies souvenir, zachwycając się niczym małe dziewczynki:

— Jaka ładna matkatka, czy to recznik może?...

— Nie, nie, to bluzka, recznik malowane wzory, o tu kwiat wiśni...

— Piękna, a ta świeczka, taka kolorowa...

— Tak śliczna, to akurat pozycyjka jest... A jeszcze rozmawiałam z matką Michała Jacksona...

I już jedziemy dalej, i napowiem Grubba z Dziekanowskim, i kolejny odcinę tasieimowego „Banknotu”, a w tle przygrywa „Don Wasył i jego Cyganka” a za chwile byc może wystąpi młodzieżowy zespół „Trubadurzy 85” znow uczęsz nie beda się przekomarzać Kowalski z Nowakiem. Załowoleni wszyscy, radośni, eufornia udziela się telewizjom, wybuchy śmiechu pani Edyty wwołują odważny rezonans w studio i wśród kuracjuszy. Tyko magistr, wczasy malkontent, mruk, urodzony pesymista — narzeka jak zwykle:

— Panie, co oni wyprawiają! Jakie to infantylnie! Te uśmiechy, ukłony, mizdrzenie się do publiczności. No, powiedzmy te występy grafików, paru nie-

złych piosenkarzy, trochę jazzu — też bym zostawił. Ale reszta?

— Ależ daj pan spokój! — broniem radosnej telewizyjnej twórczości — przecież to dla ludzi, jest niedzielne popołudnie, niech każdy ma pare godzin relaksu...

— I to musi być w takim stylu! — zasyczał magistr. — Patrz pan co ten Kaziu wyrabiał! I Andrzej Dabrowski, którego tak kiedyś lubiłem, też wspiął się na szczyty chałtury. Jeszcze tylko zespołu „Bolter” brakuje z pięknym przebojem „Daj mi te noc”...

— Ale i pomyślałem to rzeczywiście nie tego — nagłe wtraciła się siostra przełożona. — Niechby na ten przykład zaproponowali coś nowego, choćby wybory „Mister Studia 1”. Ściągnęlibym paru dobrych satyryków — Jaroszyńskiego, Kaczmarka, Drozdę, Smolonia, Pietrzaka, Małna, Materne — sypała nazwiskami jak z rekawa. — A może nie mają ochoty tu się bawić? Nawet ten niezły „Omnibus” już się skończył...

— Jakież spotkania z ciekawymi ludźmi bym zorganizował — wszedł jej w słowo rozgnany niespodziewanym poparciem magistr — niekoniecznie ze sportowcami wyliczając, a zwłaszcza z Dziekanowskim, którego wszyscy tak ostatnio lubią, że tylko patrzeć jak Nobla dostanie, jakis kaciak polityki, od kuchni, choćby z Broniarkiem, paru dobrych aktorów bym zaprosił, reżyserów. Jednak chłopaki, „Jarmarku” są o wiele lepsi, niby założenie podobne, program też zwirowany, a jednak lepiej zorganizowany, z klasą, nie schlebiają tak naszym najniższym instyngtom...

— Cicho, do cholery... — zawył z przodu jakiś kuracjusz z wodziem wypiekami na twarzy. — Zaraz zaczynamy...

No i rzeczywiście. A co to, gorsi jesteście! Trzymając teren drugiego za biodra, ufornomowaliśmy pięknego „węza” i, na dany przez pana Dabrowskiego znak pomknęliśmy między stolkami, drac się o sił w płucach: „Szal baj naj, piękny slajd, pawie plóra...”. W telewizorze też tańczył, jeszcze bardziej radosnie...

A na korytarzu czekał tu sanitariusz Józio, z zastrzykami...

STEFAN ŻYCIOWY

4

Spojrzenie znad szachownicy

Rogalik LEX

1.

Dość długo byłem nieobecny na łamach, mam jednak solidne usprawiedliwienie w postaci ślicznego druku L 4, który wręczono mi przed wypuszczeniem na wolność. Formalnie jestem teraz zdrowy, choć czuję się nad wyraz kiepsko, w szpitalu czulem się lepiej, choć formalnie byłem chory, wszystko to jednak nie nikogo nie powinno obchodzić, ważny jest bowiem druk, nie samopoczucie.

Łatwo to sprawdzić na przykładzie szachów, które — wierzcie mi, proszę — są niepomierne bardziej okrutne niż tak zwane żywe życie. W życiu można się bowiem tłumaczyć, usprawiedliwiać, a nawet złożyć samokrytykę, gdy w szachach samokrytykę można składać, nie to jednak nie pomaga. Podstawiona figura to podstawiona figura, mat to mat, przegrana to przegrana, a ktoś, kto bredzi o „moralnym zwycięstwie” narazony jest na pośmiewisko.

2.

Jakże ja jednak mogłem grać dobrze w nieszczej dziennikarskiej drużynie „Ka-

zki”, gdy pomijając fatalne samopoczucie wciąż chodził mi po głowie sprawa rogalika? A ściślej szeroko opisywana przez prasę sprawa inwalidy Kazimierza S., który wpadł na pomysły dowodzenia z Przemysła do Stubna świeżych bułek i rogali, czego oczywiście nie robił ani uspołeczniony, ani spódizielczy handel.

Kazimierz S., przypomniał, czerpał z tego niejaki zyski, przeto — mimo iż działał na prośbę współpracowników i za zgodą przełożonych — został skazany na dwa lata więzienia z zawieszaniem, grzywnę, zwrot kosztów sądowych oraz zapadek oścrodności. Wyrok, acz zgodny z duchem ustaw wynierzonych przeciwko spekulacji, nie zyskał społecznej aprobaty, zwłaszcza iż sąd nie był władny orzec, iżby do Stubna świeże bułki dowoził ktoś inny.

3.

Nieżyjący już od dawna prof. Jerzy Sawicki (nawiasem mówiąc podczas seminarium przeznaczonych dla... teatralnych recenzentów) mocno akcentował, iż żaden kraj na świecie nie ma tak anachronicznych praw jak Wielka Brytania, wszelako w oparciu o te prawa — i o zdrowy rozsadek — angielski sędziwo potrafił ferować wyjątkowo mądre wyroki.

Wyszukują, powiedzmy, precedensowe orzeczenie z czasów Wilhelma Zdobywcy i wychodzi im nagłe, iż smaczniej jeść rogaliki niż placki owsiane, co pozwala ulewinid oskarżonego, a nawet udzielił mu pochwały w sentencji wyroku, ewentualnie z pouczeniem, iż w przyszłości zainteresowany powinien na dowód rogalików wykupić specjalną licencję.

Otóż w szpitalu, w redakcji, a nawet za szachownicą nie tylko łamałem sobie głowę — jest jakiś precedens w sprawie rogalików, czy go nie ma? Skutki były fatalne, bo ani porządnie nie wyzdrowiałem, ani niczym nie wyróżniłem się w pracy, ani nawet nie wygrałem tak zwanej wygranej partii, jednak — no proszę — znalazłem! Co prawda nie w orzecznictwie sądowym, lecz w felietonistyce, dobre jednak i to, zwłaszcza że mogę powołać się na autoritet Antoniego Słonimskiego.

4.

Dawno, dawno temu, bo w 1931 roku, Słonimski opisał barwnie działalność niejakiego Cynjana, który nie tylko sprzedał kmiotkowi kolumnę Zygmunta, a komuś tam innemu wydzierżawił Dworzec Główny w Warszawie, ale zebrał ludzi i mięgiem rozebrał waskotorową kolejkę, siebie zabierając szyny, a miejscowej biedocie za darmo rozdając podkłady. Na czym zreszta wpadł, bo urzędnik państwowo wy tak by nie postąpił.

Zreferowawszy to wszystko Słonimski konkluduje:

„Powinno powstać nowe prawo, „CINIAN LEX”. Niekróć przestępca okazuje się mądrejszy od praw, które naruszyl, bezkarny jest. Jeżeli można przysięć sobie rano, zwołać ludzi i rozebrać kolejkę, to odpowiadać powinien nie ten, który to zrobił, ale ci, którzy na to pozwolili, a jeżeli rozbierający był specjalnie zły, czy i pomysłowy, nikt nie powinien odpowiadać, a rozbierający powinien dostać państwową posadę i order”.

Z orderem to może przesada, Antoni Słonimski zapalił się trochę, ale byłoby całkiem nieźle, gdyby ktoś w sposób odpowiednio uczony zechciał sformułować PRAWO ROGALIK LEX. Stanowiłoby ono, iż odsiadkę z zawieszaniem, grzywnę oraz zapadek mienia należą zasądzić temu, kto odpowiada za dostawę świeżego pieczywa, lecz swoich obowiązków spełniać nie raczy. Ten, kto dostawiał — wulny jest, co najwyżej z poczuciem... i tak dalej, patrz fragment o Wilhelmie Zdobywcy.

JERZY P.

Nic z tego obrazu nie było prawdziwe — leśnicy nie posiadali broni służbowej, a jeśli już mieli broń, gdyż należeli do kółka łowieckiego, nie wolno im było jej nosić w czasie służby. Rdzewiały trąbki i rzadko który miał lornetkę. Coraz mniej spotykało się takich jak Zkonrad, z małym gospodarstwem, koniem, dwiema krowami, maciorą i pasieką; osiedlali las ludzie podobni do Stęborca, z tytułami, ale bez ochoty na babranie się w gnoju, w ziemi, oprzątanie choćby stadka kur. Zresztą ani tamci, ani ci co przyszli teraz, w niczym nie przypominali bohaterów leśnych powieści. W takim, który przez kilka lat obserwował jak z głuchym loskotem walał się na ziemię wspaniałe sosny, graby czy buki, jak kończą żywot potężne deby, też się coś zawałowało duszy, rujnowało, obojętniało na piękno, które musiał niszczyć motorowymi pilami drwali. Coś więc w nim umierało, ale czy coś się nowego nie rodziło, powstawała jakaś nowa warstwa moralna? Masłocha nie zauważył jej ani w sobie, ani w innych. Niektórzy jeszcze przez jakiś czas potrafili grać komedię przed turystami i przybyszami z miasta, wraz z nimi zachwycać się pięknem sosnowego starodrzewu, lecz gdzieś w głębi duszy, patrząc na starodrzew, już obliczyli w myślach, kiedy będzie można przystąpić do zębów, ile też zrobi się tarcicy, a ile przemaczy na opał. Jak długo można mordować piękno bez skazy na duszy? W końcu, aby istnieć i pracować, trzeba w sobie wyrobić odruch samobrony, zacząć po trosze lekceważyć lub nawet gardzić pięknem, stepić w sobie pewien rodzaj wrażliwości. I to nazywał Sobota „pozabawieniem się duszą”.

O dziesiątej rano panna Marylka, sekretarka Masłochy, zobaczyła przed swoim biurkiem strażnika łowieckiego, Józefa Maryna, w mundurze, z raportówką przewieszoną przez ramię. Nie pamiętała, czy strażnik łowiecki znajdował się na liście osób zaproszonych na naradę do nadleśnictwa, tak jednak musiało być, skoro zjawił się w sekretariacie nadleśniczego, choć spóźniony o dwie godziny.

Nadleśniczy nie lubi spóźniających się — odezwał się cierpko do Maryna, zaraz jednak uśmiechnęła się miło, gdyż bardzo się jej podobał ten mężczyzna.

Była drobna blondynka, miała dwadzieścia trzy lata i uważała, że znajduje się u początków swojej kariery życiowej. Urodziła się w zasytej w lasach gajówce i od małości marzyła, aby wyrwać się w wielki świat, który oglądała na ekranie telewizora. Obiecywała sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż za człowieka w leśnym mundurze, nigdy nie da się znowu sprowadzić w lasy. Tak się jednak stało, że na prośbę ojca, gajowego, nadleśniczy zgodził się zatrudnić ją w swoim sekretariacie w Bartach. Lecz nie przestała marzyć, że ktoś porwie ją do wielkiego miasta.

O strażniku łowieckim, jak wszyscy w nadleśnictwie, słyszała wiele plotek. Nawet i te, że być może zmienił się w wilka, którego ślady odkrył Masłocha. Przyjmowała tylko te plotki, które były jej wygodne i stwarzały szanse wyrwania się z Bart. A więc przede wszystkim interesował ją fakt, że strażnik łowiecki przybył z wielkiego świata, prawdopodobnie za karę, jak wielu których tu przysłano z innych nadleśnictw za jakieś niedopatrzności, nawet niewielkie kradzieże drewna. Masłocha zwierzył się jej, że dla Maryna stworzono specjalny etat strażnika łowieckiego, gdyż żaden strażnik łowiecki nie był w tych lasach potrzebny. Znaczyło to, że kiedyś ów Maryn powróci tam, skąd przybył i kto wie, czy nie mógłby zabrać za sobą także Marylki. Kilkakrotnie przyjeżdżała niby to służbowo do leśniczówki Kuleszy, bo tam mieszkał Maryn. Nigdy go nie zastała, a niechęć jaką jej okazywała Weronika (objawiała ją zresztą wobec wszystkich ludzi związanych z lasami) odstraszała ją od dalszych przyjazdów. Po tem Maryn wyniósł się do Horsta Soboty. Marylka bała się starego Horsta, gdyż od ojca, od nadleśniczego i wszystkich leśniczych wiedziała, że nienawidzi lasu i jest szalony. Jeszcze później Weronika odezła do Kuleszy i wróciła do Horsta Soboty. W nadleśnictwie plotkowano, że spodobał się jej Maryn, ale Kulesza temu zaprzeczał. Kilka razy szczerze wyznał Marylce, że Weronika nie była prawdziwą kobietą i dlatego może, aby Kulesza przekonał się jaką ona jest prawdziwą kobietą, pozwoliła mu nocować w Bartach w swoim wynajętym pokoiku. Po jakimś czasie Kulesza postrzął się o stanowisko leśniczego w drugim końcu kraju i zaproponował Marylce, aby za nim pojechała. Wahała się, niecierpiała lasów tak mocno jak Horst Sobota.

Teraz stał przed nią Józef Maryn, strażnik łowiecki i Marylce zadysgotała kolaną, ukryte pod biurkiem.

— Nie przyjechałem na naradę. Chcę się widzieć z nadleśniczym. I to natychmiast — powiedział i uśmiechnął się ładnie. Miał piękne białe zęby, u Marylki zaś mimo jej dwudziestu trzech lat, niemal wszystkie zęby były mniej lub bardziej dziurawe, trudno bowiem dbać o zęby, gdy mieszka się w leśniczówce zasytej w lasach. Mogła by zacząć leczyć już w Bartach, ale leśnicy mieli też popuste zęby i nikogo takie sprawy nie raziły.

— Z nadleśniczym każdy chciałby się zobaczyć i to natychmiast — odrzekła Marylka, kokietyrnie przekrzywiając swoją główkę. — To jest jednak niemożliwe, gdyż na naradę. Proszę, niech pan usiądzie i zaczeka aż narada się skończy.

Wskazała mu krzesło obok swojego biurka i nawet zapytała, czy nie chce herbaty. Właśnie zagotowała się woda w elektrycznym czajniku, który stał na podłodze przy biurku.

Maryn odmówił poczęstunku i usiadł na wskazanym krześle. Marylka powinna była ostrzec Maryna, że narada może potrwać aż do popołudnia, chciała jednak porozmawiać ze strażnikiem łowieckim („zapoznać go”, jak to nazywała), więc przemilczała tę kwestię.

— Pewna kelnerka z Gaud chwaliła się kilku leśnikom, że została pana narzeczoną — zaczęła rozmowę Marylka, przyrządzając herbatę.

— Nic o tym nie wiem — wzruszył ramionami Maryn.

— Pomyślałam, że ona kłamie. Twierdzi, że była w domu Horsta Soboty. Pan ją zaprosił.

— U Horsta Soboty rzadki miłodo i ładna kobieta. Nie pozwala mi nikogo zapraszać do siebie.

— Weronika? — Marylka uśmiechnęła się niedowierzająco. — Znałam jej męża, Kuleszę. On mi wiele o niej opowiadał. To nie jest prawdziwa kobieta.

— A ja nie jestem prawdziwym mężczyzną — odparł trochę szorstko Maryn.

Nie wiedział dlaczego, ale fakt, że wstydliwą tajemnicę Weroniki znało aż tyle osób, poirytował go.

— Ta kelnerka mówiła zupełnie co innego. Zresztą, Weroniki mi naprawdę żal. Tyle ją miłko, że takiej kobiecie trudno jest żyć. Ukryła się u Horsta Soboty i w końcu zwariuje tak samo jak i stary.

— Sobota nie jest wariatem.

— Pan tak mówi, bo pan u niego mieszka. Ale nadleśniczy twierdzi co innego.

— Wiem — skinął głową. — Ale to prawda, że Weronikę po prostu zgwałcono. A pani nie miała żadnego mężczyzny?

— Nie wolno pytać o takie sprawy — zachichotała Marylka.

— A mówić o innej kobiecie wolno właśnie w taki sposób? — zapytał Maryn.

— Myślałam, że pan zna się na żartach.

— Troszeczkę się znam. Przyjedźcie pani do mnie?

— Weronika mi nie pozwoli — roześmiała się nieco sztucznie.

Z urody przypominała mu o wiele bardziej Erykę niż kelnerka z Gaud. Tylko że Eryka nie miała zepsutych zębów. Myśl o Eryce nie budziła w nim jednak pożądania. Zresztą, czy nie szukał miłości wielkiej i prawdziwej? Wyobrażał sobie oczy Weroniki, gdy być może powtórzy jej słowa Marylki. Ujrzy w nich wstyd, cierpienie i ból. Dlaczego już sama myśl o tym, podniecała go?

Wyjął z raportówki notes, napisał na kartce kilka słów i podał kartkę Marylce.

— Proszę to podać dyskretnie nadleśniczemu — poprosił.

— A jeśli nie? — znowu kokietyrnie przekrzywiła główkę.

Przepadł ów ładny uśmiech z twarzy Maryna, zacisnął mu się szczerki. Znieruchomiała oczy i stracił blask, przez co upodobnił się do oczu martwego zwierzęcia. Poczuli na swoich nadgarstkach palce Maryna, które zacisnęły się z ogromną siłą. Z trudem powstrzymała okrzyk bólu.

— Idź mała do Masłochy i zaniś mu tę kartkę. Ma natych-

Wielki las

(32)

ZBIGNIEW NIENACKI

miast stawił się tutaj — cicho powiedział strażnik łowiecki uwalniając nadgarstki dziewczyny z uścisku swoich palców.

Wstała sztywno i wyszła z kancelarii. Tak samo sztywno weszła do sali konferencyjnej, wymieniła siedzących wokół stołu ludzi w mundurach i u szczytu stołu podała nadleśniczemu kartkę od Maryna. Masłocha niedbale położył tę kartkę przed sobą, nawet do niej nie zajrzał. Zaniepokoił go dopiero widok stojącej wciąż przy nim Marylki i leż, które zaczęły się zbierać w jej oczach. Marylka bała się wracać do kancelarii.

— Co się stało? — zapytał ją szeptem, a potem zajrzał do kartki.

Leśniczy Stęborca właśnie mówił o usychaniu modrzewi na jego uprawie. Zastanawiał się, dlaczego jeden z modrzewi jednak rośnie, zieleni się, gdy inne uschły. Obiecywał, że w następnym roku znowu dosadzi modrzewie, gdyż jego zdaniem siedlisko jest odpowiednie i on, Stęborca, pracuje przy pomocy metod naukowych.

Nadleśniczy wstał od stołu i razem z Marylką opuścił salę konferencyjną, choć na końcu języka miał radę dla Stęborca. Aby wydupczył żonę na swojej uprawie. Taka luźna wtrącona uwaga wywołałaby zapewne rechot radości u innych leśniczych. Masłocha chciał mieć opinię człowieka wesołego i bardzo ludzkiego.

Maryn podniósł się z krzesła i przez chwilę stali naprzeciw siebie. Maryn wyższy od Masłochy o głowę, ale szczuplejszy. Nadleśniczy był krepki, rozrośnięty w ramionach, jego wciśnięta w kark głowa sprawiała wrażenie jak gdyby miał mały garb.

— Czego pan właściwie chce ode mnie? — zapytał ostro nadleśniczy.

Maryn podał mu cztery kartki papieru z oświadczeniami, które czterech ludzi napisało dla niego tej nocy. Masłocha przybliżył do oczu pierwszą kartkę owym trochę nonszalanckim gestem, z jakim zazwyczaj przyjmował podania i skargi od leśnych ludzi. Potem — pierwszy raz odkąd tutaj pracowała — ujrzała Marylka jak palce nadleśniczego zaciskają się mocniej na krawędzi kartki. Nic się nie zmieniło w postawie Masłochy, a przecież Marylka wyczuła, że nadleśniczy poczuł strach. Ow strach był czynnym niewidzialnym, lecz Marylka miała wrażenie, że gdyby wyciągnęła dłoń i wsunęła ją w przestrzeń między dwoma mężczyznami, dotknęłaby czegoś tak twardego jak stal.

— Pan pozwoli ze mną — rzekł nadleśniczy i wskazał Marynowi drzwi do swojego gabinetu.

Nadleśniczy Masłocha nie uważał się za człowieka łatwo ulegającego lękowi. Bez odbitiny strachu nocami przemierzał pieśzo swój wielki las, lubił na polowaniach zabijać zwierzęta i patrzeć jak się wykrwawiają. Twarzą w twarz stanął na zrebie z oszalalym od wódki robotnikiem, który wymachiwał siekierą i tę siekierę wyjął z jego rąk. Przed zwierzątkami czuł niekiedy co najwyżej lekką obawę, nigdy strach. A jednak, gdy przeczytał owe cztery kartki wręczone mu przez Maryna, przelknął go jakiś dziwny rodzaj odurzenia od czola aż do palców u nog. Opanował go w sobie i przyzedeł nie znany mu dotąd rodzaj uczucia, chyba właśnie strach. Te kartki oznaczały rozmowę z prokuratorem, sąd, degradację, zakaz zajmowania kiedykolwiek kierowniczego stanowiska, ponieważ jak to zostanie powiedziane w sentencji wyroku „mocą swojego stanowiska wymusił na podległych mu ludziach składanie fałszywych oświadczeń”. Strach więc był tak konkretny, że można by go chyba nożem wykroił jak wątrobę z dzika. Ow strach także zaciskał mu się na gardle jak kły dzikiego zwierzęcia, choć Masłocha nie wierzył w bajdy o samotnych wilkach atakujących w lesie ludzi. To człowiek, który siedział przed nim, taki delikatny i jasny, miał wilcze kły. Od kilku miesięcy przemierzał samotnie wielki las, przeważnie nocą, aż upodobnił się do samotnego wilka. Jak wiele tajemnic kryje jeszcze wielki las i jak trzeba być wciąż ostrożnym i nieufnym wobec swojej wiedzy o lesie.

Podniósł wreszcie głowę znad czterech kartek i spojrzal na Maryna, który siedział w fotelu po drugiej stronie biurka.

— Czego pan żąda ode mnie? — zapytał rzeczowo.

A Maryn odniósł wrażenie, że znowu jest Bullowsen i poraz setny słyszy podobne pytanie. Takie małe karteczki, oświadczenia, fotografie zawsze czyniły ludzi postusznymi i miękkiymi.

— Pragnę mieć w panu przyjaciela — powiedział Maryn tak samo jak mówił to dziesiątki razy.

— To dobrze. I ma pan już we mnie przyjaciela.

— Komuś stała się krzywda, bo ktoś inny uczynił bardzo źle. Trzeba naprawić tę krzywdę i ukarać człowieka, który zrobił źle.

— I tak się stanie — oświadczył cicho Masłocha.

Wtedy Maryn bez słowa wyszedł z gabinetu nadleśniczego, w milczeniu minął Marylkę nawet nie spojrzawszy na nią. Po chwili opuścił swój gabinet także i Masłocha.

— Zawołaj do mnie Wojtczaka — rozkazał.

Wskazał Wojtczakowi swoje miejsce za biurkiem, podsunął mu arkusz próbowego papieru i polecił napisać podanie o wcześniejszą emeryturę. „Na własną prośbę” — dodał groźnie.

Po południu, kiedy narada w nadleśnictwie zmieniła się ku końcowi, Masłocha poprosił o głos i wobec dwóch inspektorów z Okręgowego Zarządu z prawdziwą przykrością poinformował leśników o zniszczeniu starego cmentarza w Wilczym Rogu, a także konsekwencjach, jakie z tego faktu wynikają. Na koszt nadleśnictwa odebędzie się ekshumacja zepchniętych do bagna kości ludzkich i zawiezienie ich na cmentarz wioskowy. „Nadleśniczy Wojtczak poprosił o przeniesienie go na wcześniejszą emeryturę” — zakończył. Potem — a trwała długa chwila zupełnego milczenia — Masłocha przebiegł oczami po twarzach zebranych przy stole ludzi, których fałszywe oświadczenia miał w szufladzie swojego biurka, i zycił się strachem jaki dostrzegł w ich oczach. W nim samym strach zupełnie już ustąpił, ale świadomość, że ci ludzie zdolni są do zrobienia każdego draństwa na rozkaz swego zwierzchnika, dawała mu nową gorzką wiedzę o władzy.

Wieczorem nadleśniczy Masłocha zatelefonował do swego zwierzchnika, z którym niekiedy wspólnie polował i zapytał, co by się stało, gdyby przesłał do okręgowego zarządu pismo stwierdzające, że na terenie tutejszego lasu nie zauważa się działalności kłusowników, w związku z czym etat strażnika łowieckiego może być przydatny w innym nadleśnictwie.

— Nie rób tego. — powiedział mu ten człowiek.

— Dlaczego?

— Nie rób tego — padła ta sama odpowiedź. Usłyszał też brzęk odkładanej słuchawki. Wówczas dotarł do Masłochy też ten jeden fragment wiedzy o świecie: przyjaciel mówiwa się nie tylko ze świadomego wyboru i sympatii, lecz także z przypadku i ze strachu.

Tego dnia późnym popołudniem Maryn powrócił do domu na zdrojonej klaczy, zakurzony i wyraźnie zmęczony. Od razu skierował swoje kroki do szopki, gdzie leżał Horst Sobota. Rozmawiali ze sobą krótko, ale Weronika wydawało się, że trwało to bardzo długo. Nie podsłuchiwała, wiedząc, że i tak dotrą do niej dobre i złe wieści. I stary Horst Sobota wstał z trumny, na zdziwiałych nogach przyszedł do kuchni, kazał sobie podać dobry obiad. Maryn zaś pognał klacz na łąkę i choć zaprzęsała go na posiłek, położył się u siebie i zasnął.

— Odnaleziono stare mapy Wilczego Rogu — opowiadał podczas obiadu Horst Sobota. — Na tych mapach jest uwidoczny cmentarz i nikt już nie może uznać mnie za szalonego. Zgodnie z przepisami, leśni ludzie zbiorą szczątki ludzkie do trumien i przewożą na wioskowy cmentarz. Wojtczak zaś, który był winien w tej sprawie, poprosił sam o karę w postaci wcześniejszego przeniesienia na emeryturę. Maryn znowu zwyciężył las i musimy mu jakoś okazać swoją wdzięczność.

— Po prostu znalezione stare mapy. — Weronika starała się zbagatelizować zasługi Maryna.

— O tak, Weroniko. Ale trzeba było chcieć znaleźć te mapy — rzekł Horst. — Dlatego pójdziesz dzisiaj do Gaud i zaprosisz tutaj te, co już u nas była.

— On jej nie chce.

— Dlaczego?

— Powiedział mi, że szuka miłości.

— Miłość też można kupić, Weroniko, a ja mam bardzo dużo pieniędzy. Widzi mi się, że gdy trochę wypocznę po tej nocy w trumnie, będę musiał wyjechać gdzieś do miasta i kupić dla Maryna nie tylko piękną kobietę, ale i jej miłość.

— O tak, można ją kupić w sklepie, albo na bazarze, w kolorowych pudełkach — zakpiła Weronika.

— Co ty wiesz o świecie albo o życiu? — wzruszył ramionami Horst Sobota. — Nigdy tak naprawdę nie wychyliłaś nosa poza swoją wioskę i poza nasz dom w lesie. Miłość kupuje się tak samo jak konis czy wóz. Gdybym w swoim czasie zechciał sprzedać ten dom i zająć kupił synowi piękny samochód i przesiadł się gdzie indziej, miałbym i miłość żony, i miłość syna. Jutro pojedź do miasta w tej sprawie. Muszę to zrobić, gdyż nie chcę utracić Maryna.

— Nie zmiosę w tym domu żadnej innej kobiety — wybuchnęła żalem.

— Rozumiem cię, nie jednak na to nie mogą poradzić. Kocham cię jak córkę, ale kiedy odeszła do Kuleszy, miłość we mnie ostygła. Przytępiło mi to powieść, lecz od swojego powrotu stałaś się w tym domu podobna do bardzo cennej i potrzebnej rzeczy. Gdyby mnie Maryn o ciebie poprosił, darowałbym mu nawet ciebie.

— Nie jestem niczyją własnością. Odejdę stąd — oświadczyła Weronika.

— Dokąd pójdziesz? — zapytał. — Chcesz, żeby znowu świat cię skrzywdził i pohańbił. Tylko tutaj jesteś bezpieczna. Jesteśmy obydwoje bezpieczni, dopóki jest z nami Józwa. Zresztą, bądź spokojna, on mnie o ciebie nie poprosi.

— Skąd wiesz?

CDN



Rys. Janusz Szymański-Glanc